

EVE

ANNA CAREY

Moim rodzicom

Może tak naprawdę wcale nie chcę się dowiedzieć, co się dzieje.

Może wolałabym nie wiedzieć.

A może nie zniósłabym tej świadomości.

Upadek był krokiem od niewinności do wiedzy.

Margaret Atwood Opowieść podręcznej

23 maja 2015

Moja słodka Eve,

kiedy dzisiaj wracałyśmy z zakupów, z bagażnikiem załadowanym mlekiem w proszku i ryżem, a Ty nuciłaś coś w swoim foteliku, ujrzałam góry San Gabriel. Zobaczyłam je po raz pierwszy, tak naprawdę. Jeździłam tą drogą już wcześniej, ale tym razem było inaczej. Góry wznosiły się tuż za przednią szybą, zielono - niebieskie szczyty trwały w ciszy i spoglądały na miasto. Były tak blisko, że wydawało mi się, że mogę ich dotknąć. Zjechałam na pobocze tylko po to, żeby popatrzeć.

Wiem, że wkrótce umrę. Zaraza dotyka wszystkich, którzy dostali szczepionkę. Wstrzymano loty. Pociągi nie kursują. Drogi wyjazdowe z miasta zostały zablokowane i teraz musimy czekać. Telefony i Internet nie działają od dawna. W rurach nie ma wody, miasto traci źródła zasilania, jedno za drugim. Niedługo na świecie zapanuje ciemność.

Ale jeszcze żyjemy. Być możemy jesteście żywsi niż kiedykolwiek wcześniej. Ty śpisz w pokoju obok. Z tego miejsca słyszę dźwięk Twojej pozytywki, tej z małą baletnicą na wieczku, wygrywa właśnie ostatnie takty.

Kocham Cię, kocham Cię, kocham Cię,
mama

Rozdział 1

Zanim słońce schowało się za piętnastometrowym murem, boisko zalały uczennice dwunastej klasy. Młodsze dziewczynki wychylały się z okien dormitoriów i wymachiwały flagami Nowej Ameryki, podczas gdy my śpiewaliśmy i tańczyliśmy. Złapałam Pip za rękę i okręciłam ją, gdy orkiestra grała szybszy kawałek. Jej krótki urywany śmiech wybił się ponad muzykę.

To był ostatni wieczór przed zakończeniem szkoły, więc świętowałyśmy. Prawie całe życie spędziłyśmy wewnątrz tych murów, nigdy nie byłyśmy w lesie, który się za nimi rozciągał, a to było największe przyjęcie, w jakim kiedykolwiek brałyśmy udział. Zespół umiejscowił się nad jeziorem - składał się z dziewczyn z jedenastej klasy - a strażniczki zapaliły pochodnie, żeby odstraszyć sokoły. Stoły zastawiono moimi ulubionymi potrawami: udźcem jelenia, stekami z dzika, kandyzowanymi śliwkami i miskami pełnymi owoców.

Dyrektorka, pani Burns, nalana kobieta z twarzą dzikiego psa, dostawiała kolejne półmiski i zachęcała wszystkich do jedzenia:

- Chodźcie, nie może się zmarnować. Chcę, żeby moje dziewczyny były utuczone jak świnki! - Tłuszcz na jej ramionach falował, gdy machała rękami.

Muzyka zwolniła i przycisnęłam Pip do siebie, prowadząc ją krokami walca.

- Jesteś dobrym chłopakiem - pochwaliła, gdy zwróciłyśmy się w stronę jeziora. Rude włosy kleiły jej się do spoconej twarzy.

- Jestem przystojny - powiedziałam i zmarszczyłam brwi w, jak mi się wydawało, męskim wyrazie. To był szkolny żart, bo od ponad dziesięciu lat nie widziałyśmy żadnego chłopca ani mężczyzny, chyba żeby wziąć pod uwagę portrety Króla rozwieszane w głównym holu. Błagałyśmy nauczycielki, żeby

opowiadały nam o czasach sprzed zarazy, kiedy dziewczyny i chłopcy chodzili do szkoły razem, ale mówiły tylko, że nowy system wprowadzono po to, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Mężczyźni manipulowali, knuli i stanowili zagrożenie. Jedyńm wyjątkiem był Król. Tylko jemu można było ufać i należało być mu posłuszną.

- Eve, już czas! - zawołała pani Florence. Stała nad brzegiem jeziora, a w starych pomarszczonych dłoniach trzymała złoty medal. Nauczycielski mundurek, składający się z czerwonej koszuli i niebieskich spodni, zwisał z jej chudego ciała. - Zgromadźcie się tu, dziewczęta!

Zespół przestał grać i w powietrzu zaroilo się od dźwięków otaczającego nas lasu. Poczulaam zawieszony na szyi metalowy gwizdek, dzięki niemu żadne stworzenie nie powinno stanowić zagrożenia. Mimo tylu lat spędzonych w szkole nie przyzwyczaiałam się do odgłosów walk psów, odległego rat - tat - tat - tat karabinów maszynowych i potwornego wycia pożeranego żywcem jelenia.

Dyrektorka Burns wzięła z rąk pani Florence złoty medal.

- No, zaczynamy! - zawołała, a czterdziestka uczennic dwunastej klasy zebrała się wokół. Ruby, nasza przyjaciółka, aż wspięła się na palce, żeby lepiej widzieć. - Podczas nauki w szkole pracowałyście bardzo sumiennie, ale najciężej pracowała Eve. - Mówiąc to, zwróciła się w moją stronę. Pomarszczona i zwisająca skóra tworzyła pod jej brodą niewielkie podgardle. - Eve okazała się jedną z najlepszych i najbystrzejszych uczennic w historii szkoły. Na mocy przyznanej mi przez Króla Nowej Ameryki chciałabym uhonorować ją Medalem za Zasługi. - Dyrektorka wcisnęła mi zimny medal do rąk, a dziewczęta klaskały. Pip zagwizdała nawet na palcach.

- Dziękuję - powiedziałam cicho. Spojrzałam na długie, przypominające fosę jezioro, które rozciągało się od jednego

końca muru do drugiego. Zatrzymałam wzrok na ogromnym, pozbawionym okien budynku na drugim brzegu. Następnego dnia, zaraz po tym, jak wygłoszę pożegnalną mowę przed całą szkołą, strażniczki opuszczą most i klasa przejdzie za mną na drugą stronę. W tej gigantycznej budowli będziemy się uczyć naszych zawodów. Spędziłam tu tyle lat, szlifując łacinę, pisanie, malarstwo. Godzinami grałam na pianinie, Mozarta i Beethovena, zawsze mając w zasięgu wzroku ten gmach - ostateczny cel.

Sophia wygłaszała pożegnalną mowę trzy lata temu. Stała na tym samym podium i odczytywała przemówienie na temat ciężającej na nas odpowiedzialności za przyszłych rządzących Nową Ameryką. Mówiła, że chce zostać lekarzem i przeciwdziałać następnym zarazom. Teraz prawdopodobnie ratowała życie w królewskiej stolicy, Mieście Piasku. Podobno Król wznosił je na pustyni, w miejscu, gdzie kiedyś nie było nic. Nie mogłam się doczekać, kiedy tam pojedę. Chciałam być artystką, malować portrety jak Frida Kahlo albo pejzaże jak Magritte. Moje freski mogły zdobić potężne mury wokół Miasta.

Pani Florence położyła mi rękę na plecach.

- Jesteś ucieleśnieniem Nowej Ameryki, Eve, inteligentna, pracowita i piękna. Jesteśmy z ciebie takie dumne.

Zespół zaczął grać żywszą melodię, a Ruby знаła słowa piosenki. Dziewczyny na błoniach śmiały się, tańczyły i wirowały, dopóki nie zakreśliło im się w głowach.

- Chodź, zjedz jeszcze - dyrektorka szturchnęła Violet, niską dziewczynę z czarnymi oczami w kształcie migdałów, i wskazała stół.

- O co jej chodzi? - Pip przysunęła się do mnie. Wzięła do ręki medal i przyjrzała mu się z bliska.

- Znasz ją - zaczęłam, chcąc przypomnieć Pip, że nasza najstarsza nauczycielka była dręczoną artretyzmem siedemdziesięcioletką, która całą rodzinę straciła w czasie zarazy, zakończonej przed dwunastoma laty. Ale Pip pokręciła głową.

- Nie jej. Jej.

Arden, jako jedyna z uczennic dwunastej klasy, nie bawiła się. Stała ze skrzyżowanymi ramionami oparta o ścianę budynku dormitoriów. Nawet w szarym swetrze z wyhaftowanym na piersi herbem Nowej Amerykańskiej Monarchii, nawet wściekła, była piękna. Większość dziewczyn miała długie włosy, ale ona strzygła się na krótkiego boba, który sprawiał, że jej alabastrowa skóra wydawała się jeszcze bielsza. Brązowe oczy miała nakrapiane na złoto.

- Coś knuje - szepnęłam Pip, nie spuszczać z dziewczyny wzroku. - Zawsze to robi.

Pip przesunęła palcami po gładkiej powierzchni medalu.

- Ktoś widział, jak pływała w jeziorze - odparła.

- Pływała? Wątpię. - Żadna z nas nie umiała pływać. Nie uczono nas tego.

Pip wzruszyła ramionami.

- A kto ją tam wie.

Prawie wszystkie uczennice dwunastej klasy przybyły do szkoły w wieku pięciu lat, gdy skończyła się zaraza, ale Arden pojawiła się, gdy miała lat osiem, więc od początku było w niej coś dziwnego. Jej rodzice oddali ją do szkoły dopiero wtedy, gdy urządzili się w Mieście Piasku. Uwielbiała przypominać nam, że w przeciwieństwie do nas nie jest sierotą. Kiedy skończy uczyć się fachu, wróci do mieszkania rodziców. Nie będzie musiała przepracować ani jednego dnia.

Według Pip to determinowało inną cechę Arden: ponieważ miała rodziców, nie bała się wyrzucenia ze szkoły. Jej bunt

przejawiał się często w nieszkodliwych złościwościach - wrzucała innym do owsianki zgniłe figi albo zdechłe myszy do umywalki i wyciskała na nie całą tubkę pasty do zębów. Ale bywała też naprawdę wredna, a nawet okrutna. Raz obcięła Ruby jej długi, piękny koński ogon, tylko po to, żeby obśmiać swoją słabszą ocenę z egzaminu z Zagrożeń Wywoływanych przez Mężczyzn i Chłopców.

Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy Arden podejrzenie ucichła. W jadalni zjawiała się jako ostatnia i wychodziła zawsze pierwsza, ciągle była sama. Miałam coraz silniejsze przeczucie, że na jutrzejszą ceremonię pożegnania planowała swój największy figiel.

W jednej chwili Arden ruszyła z miejsca i, wzbijając tumany kurzu, skierowała się w stronę stołówki. Zmrużyłam oczy, gdy patrzyłam, jak się oddala. Nie potrzebowałam żadnych niespodzianek w czasie ceremonii, wystarczająco przejmowałam się swoim przemówieniem. Mówiło się nawet, że po raz pierwszy w historii szkoły na zakończeniu zjawi się Król we własnej osobie. Wiedziałam, że to tylko plotka puszczona przez zawsze przesadzającą Maxine, ale mimo wszystko. To był ważny dzień, najważniejszy w naszym życiu.

- Pani dyrektor? - zapytałam. - Czy mogę na chwilę odejść? Zostawiłam w dormitorium witaminy. - Udając niezadowolone, przeszukiwałam kieszenie mundurka.

Dyrektorka stała za długim stołem zastawionym jedzeniem.

- Ile jeszcze razy będę wam przypominać, żebyście trzymały je w torbach? Leć, ale nie guzdraj się. - Mówiąc to, pogładziła po pysku leżącego na półmisku dzika, a jego futro załśniło na czarno.

- Oczywiście - przytaknęłam i przez ramię obejrzałam się za Arden. Minęła już róg stołówki. - Zaraz wrócę. - Zaczęłam

biec, a Pip powiedziała tylko szybko, że za moment będę z powrotem.

Skręciłam i biegłam w stronę głównej bramy. Arden skuliła się, gdy mijała budynek i zanurkowała pod krzak. Ściągnęła przez głowę mundurek i włożyła czarny sweter, a jej biała skóra zaśniła w promieniach zachodzącego słońca.

Podeszłam do niej, gdy wkładała buty, z takiej samej czarnej skóry jak buty strażniczek.

- Cokolwiek zamierzasz zrobić, zapomnij o tym - rzuciłam i z zadowoleniem obserwowałam, jak sztywnieje na dźwięk mojego głosu.

Zatrzymała się, a potem dalej ściągała sznurówki tak mocno, jak gdyby chciała zmiażdżyć sobie kostki. Minęła minuta, zanim się odezwała, ale nawet wtedy nie podniosła wzroku.

- Proszę cię, Eve - powiedziała cicho. - Po prostu idź stąd.

Uklękłam przy ścianie budynku i zebrałam poły sukienki, żeby jej nie ubrudzić.

- Wiem, że coś planujesz. Ktoś widział, jak przepływałaś jezioro.

Ruchy Arden były szybkie. Patrzyła na buty, gdy zawiązywała sznurowadła w podwójne węzły. Plecak leżał schowany w krzakach, a teraz upychała do niego szarą sukienkę.

- Gdzie ukradłaś mundur strażniczki?

Udawała, że nie słyszy i wpatrywała się w przestrzeń między gałązkami. Spojrzałam w tę samą stronę. Brama powoli się otwierała. Czarno - zieiony rządowy dżip przywiózł właśnie dostawę jedzenia na jutrzejszą ceremonię.

- Tu nie chodzi o ciebie, Eve - powiedziała w końcu.

- Więc o co chodzi? Przebierasz się za strażniczkę? Sięgnęłam do zawieszzonego na szyi gwizdka. Nigdy jeszcze nie doniosłam na Arden, nie powiedziałam dyrektorce o

żadnym jej przewinieniu, ale jutrzejsza ceremonia była zbyt ważna. Dla mnie i dla wszystkich innych.

- Przykro mi, Arden, ale nie mogę ci pozwolić... Zanim zdążyłam przytknąć gwizdek do warg, Arden zerwała mi łańcuszek z szyi i rzuciła w krzaki. Jednym płynnym ruchem przyparła mnie do ściany budynku. Oczy miała wilgotne i przekrwione.

- A teraz posłuchaj - zaczęła powoli. Ramię przyciskała do mojego gardła, więc trudno mi było oddychać. - Opuszczę to miejsce za dokładnie minutę. Jeśli ci życie miłe, wrócisz prosto na przyjęcie i będziesz udawać, że nic nie widziałaś.

Sześć metrów dalej strażniczki otwierały samochód i zaczęły wypakowywać skrzynki, a inne stały z karabinami maszynowymi wycelowanymi w ścianę lasu.

- Ale tam nie ma dokąd pójść - wyrzeziłam.

- Obudź się - syknęła. - Myślisz, że nauczysz się tu zawodu? - Wskazała na ceglany budynek po drugiej stronie jeziora. W zapadającym zmroku prawie go nie widziałam. - Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego absolwentki nie wychodzą na zewnątrz? Dlaczego mają oddzielną bramę? Albo dlaczego w budynku nie ma okien? Myślisz, że wysyłają cię tam, żebyś mogła malować? - To powiedziawszy, wreszcie mnie puściła.

Pocierałam szyję. Skóra piekła mnie w miejscu, gdzie szarpnął pękający łańcuszek.

- Oczywiście - przytaknęłam. - A co innego miałabym tam robić?

Arden roześmiała się i zaczęła zakładać plecak. A potem pochyliła się ku mnie. Czułam w jej oddechu zapach przyprawionego mięsa dzika.

- Dziewięćdziesiąt osiem procent populacji nie żyje. Umarli. Jak twoim zdaniem ma rozwijać się świat? Nie

potrzeba im artystów - szepnęła. - Potrzeba im dzieci. Najzdrowszych dzieci, jakie znajdą albo... stworzą.

- O czym ty mówisz? - zapytałam. Wyprostowała się, nie spuszczać oczu z ciężarówka.

Strażniczka zaciągnęła brezentowe płachty na pace dżipa i wsiadła za kierownicę.

- Myślisz, że dlaczego tak bardzo przejmują się naszym wzrostem, wagą i tym, co jemy i pijemy? - Arden strzepnęła kurz z czarnego swetra i spojrzała na mnie po raz ostatni. Pod oczami miała opuchliznę, a pod cienką i białą skórą widać było purpurowe żyłki. - Widziałam je. Dziewczyny, które skończyły szkołę przed nami. Nie mam zamiaru tkwić w szpitalnym łóżku, rodząc miot za miotem, co roku przez następnych dwadzieścia lat.

Zachwiałam się, jakby uderzyła mnie w twarz.

- Kłamiesz - powiedziałam. - Nie masz racji.

Ale Arden tylko pokręciła głową. A potem ruszyła w stronę dżipa, zakrywając włosy czarną czapką. Zaczekała, aż strażniczki bramy odwrócą się, i dopiero wtedy zawołała:

- Jeszcze ja!

A potem weszła na zderzak i wspięła się na pakę.

Dżip potoczył się zakurzoną drogą i zniknął w głębi lasu. Brama powoli się zamknęła. Słuchałam, jak zatraskuje się zamek, i nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie zobaczyłam. Arden opuściła szkołę. Uciekła. Wyszła za mur, na dzikie tereny, gdzie nikt ani nic nie mogło jej ochronić.

Nie mogłam też uwierzyć w to, co powiedziała. Nie potrafiłam. Może Arden za kilka godzin wróci tym samym dżipem. Może właśnie to był jej najbardziej szalony żart. Ale kiedy odwróciłam się w stronę pozbawionego okien budynku po drugiej stronie muru, nie mogłam opanować drżenia rąk i fali gorzkich wymiocin, która napływała mi do ust.

Zwymiotowałam na ziemię, a jedna myśl nie dawała mi spokoju: A co, jeśli Arden ma rację?

Rozdział 2

Kiedy wyszczotkowałyśmy włosy i zęby, umyłyśmy twarze i ubrałyśmy się w identyczne białe koszule nocne sięgające kostek, położyłam się do łóżka, udając, że jestem zmęczona. W dormitorium aż huczało od plotek o zniknięciu Arden. Co chwilę do pokoju zaglądała jakaś głowa, by przekazać najświeższe doniesienia: w krzakach znaleziono spinkę do włosów, dyrektorka przesłuchuje strażniczkę bramy. W tym wszystkim pragnęłam tego, co w szkole było prawie niemożliwe do zdobycia, o co nawet nie było sensu prosić.

Chciałam zostać sama.

- Noelle twierdzi, że Arden ukrywa się w szpitalu - powiedziała Ruby do Pip. Przetasowała trzymane w rękę karty. - Wykładaj rybę.

Siedziały na wąskim materacu łóżka Pip i grały w grę, o której czytały w szkolnej bibliotece. Stara talia kart z rysunkami z filmu Gdzie jest Nemo była blada i postrzępiona, a niektóre karty pokleił wyschnięty sok figowy.

- Założę się, że po prostu nie chce uczestniczyć w ceremonii - dodała Pip. Na piegowatej skórze twarzy miała zaschnięte kropki z pasty do zębów. Nazywała to swoją „kuracją na wywabienie piegów”. Spojrzała na mnie, oczekując, że powiem coś na temat domniemanej kryjówki Arden albo grupki strażniczek przeczesujących błonia, ale ja nic nie mówiłam.

Myślałam o tym, co Arden powiedziała. W ciągu ostatnich miesięcy dyrektorka coraz bardziej przejmowała się naszą dietą i upewniała się, że jemy wystarczająco dużo. Co tydzień robiła nam badania krwi i pomiary wagi, pilnowała też, czy łykamy witaminy. Wysłała nawet Ruby do doktor Hertz, gdy dostała okresu tydzień później niż wszyscy w szkole.

Podciągnęłam cienki biały koc pod samą szyję. Od dzieciństwa słyszałam, że wiąże się ze mną plany, z nami

wszystkimi. Dwanaście lat w szkole, potem przejście na drugą stronę jeziora i cztery lata nauki zawodu. A potem prosto do Miasta Piasku, gdzie czekało na nas życie i wolność. Miałyśmy tam żyć i pracować pod kuratelą Króla. Zawsze słuchałam nauczycielek, nie miałam powodu, by tego nie robić. Nawet teraz teoria Arden nie miała sensu. Dlaczego uczono nas strachu przed mężczyznami, podczas gdy nie miałyśmy mieć własnej rodziny? Dlaczego nas uczono, jeśli miałyśmy się tylko rozmnażać? Kładli na nasze wykształcenie nacisk, mówili o samorealizacji...

- Eve? Słyszałaś, co powiedziałam? - Pip przerwała moje rozmyślenia.

Ona i Ruby gapiły się na mnie.

- Nie, co takiego?

Ruby zebrała w dłoni karty. Włosy miała wciąż krótkie, odkąd Arden obcięła jej warkocz. - Chcemy usłyszeć początek twojej mowy, zanim pójdziemy spać.

Gardło ścisnęło mi się, gdy przypomniałam sobie o przemówieniu zapisanym na trzech stronach złożonych w szufladzie szafki nocnej.

- To ma być niespodzianka - powiedziałam po chwili. Napisałam o roli wyobraźni w dziele budowania Nowej Ameryki. Słowa, których użyłam, i wizja przyszłości, jaką opisałam, wydawały się teraz niepewne.

Ruby i Pip gapiły się na mnie, ale odwróciłam się, bo nie mogłam spojrzeć im w oczy. Nie potrafiłam powiedzieć o tym, co zasugerowała Arden. Że utożsamiana z zakończeniem szkoły wolność była tylko iluzją mającą zapewnić nam spokój i satysfakcję.

- W porządku, jak uważasz. - Pip zdmuchnęła świecę na swoim stoliku nocnym. Zamrugałam kilka razy, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Po chwili jej okrągła twarz ukazała się we wpadającym przez okno szarym świetle

księżycu. - Ale my jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółkami.

Po kilku minutach ciche pochrapywanie Ruby wypełniło pokój. Zawsze zasypiała pierwsza. Pip wpatrywała się w sufit. Ręce miała złożone na sercu.

- Nie mogę się doczekać zakończenia. Wreszcie będziemy się uczyć... prawdziwych rzeczy. A za kilka lat wyjdziemy na świat, dotrzemy do miasta za lasem. To będzie niesamowite, Eve. Będziemy jak... prawdziwi ludzie. - Odwróciła się do mnie i miałam nadzieję, że nie widzi łez zbierających mi się w kącikach oczu.

Myślałam o tym życiu, które naprawdę czeka Pip i mnie. Chciała być architektem jak Frank Lloyd Wright. Chciała budować domy, które nie zmurszeją nieotoczone troską. Domy ze schronami pełnymi zapasów puszkowanej żywności, do których nie mogłyby się dostać nawet najmniejsze i najgroźniejsze wirusy. Powiedziałam jej, że kiedy zakończymy naukę zawodu, zamieszkamy razem w Mieście Piasku. Kupimy mieszkanie, o jakim czytałyśmy w książkach, z dużymi łózkami i oknami, przez które będziemy mogły obserwować różne części miasta oddalone od nas. Nauczymy się jeździć na nartach na ogromnych sztucznych stokach, o których opowiadała nam pani Etta. Zaprezentujemy też dobre maniery w restauracjach ze stolikami nakrytymi wykrochmalonymi białymi obrusami i zastawionymi srebrną zastawą. Zamówimy posiłki z menu i poprosimy, żeby mięso było przygotowane tak, jak będziemy miały ochotę.

- Wiem - wyjąkałam. - Będzie super.

Z ulgą zamknęłam oczy, gdy wreszcie usłyszałam spokojny oddech Pip. Ale potem nadeszło poczucie winy i rosnący strach przed jutrem. Być może nie tylko wygłoszę pełną złudzeń i mrzonek przemowę, ale także zaprowadzę przyjaciółki na pewną zgubę.

Czekałam na sen, który nie nadchodził. O trzeciej nad ranem zrozumiałam, że nie dam rady dłużej leżeć. Wstałam i podeszłam do okna; wyjrzałam na zewnątrz. Nie licząc samotnej strażniczki, było pusto. Nie umiałam jej rozpoznać tylko po kroku, którym przemierzała przestrzeń.

Nasza sypialnia znajdowała się na drugim piętrze. Kiedy strażniczka zniknęła, otworzyłam okno jak zwykle w ciepłe noce. Potem usiadłam na parapecie. Co roku w szkole uczono nas, co robić w przypadku najazdu, trzęsienia ziemi, ataku bandy psów, pożaru. Teraz, przypominając sobie proste rysunki rozdawane na koniec zajęć przez dyrektorkę, zsunęłam się z parapetu po zewnętrznej stronie budynku i trzymałam się, przygotowując się do skoku.

Puściłam i mocno uderzyłam o ziemię. Poczułam przeszywający ból w kostce, ale podniosłam się z kurzu i, najszybciej jak mogłam, pomknęłam w stronę jeziora. Za lśniąca wodą ceglany budynek był czarnym prostokątem odcinającym się na tle purpurowego nieba.

Kiedy stanęłam na brzegu, a delikatne fale polizały mnie po palcach u stóp, odwaga mnie opuściła. Nie umiałyśmy pływać. Nauczycielki często opowiadały, jak w czasach przed zarazą ludzie tonęli w morzu albo dawali się zwieść pozornemu spokojowi przydomowych basenów.

Odwróciłam się i spojrzałam na otwarte okno. Za chwilę zza rogu wyłoni się strażniczka z latarką i wyłowi mnie z mroku. Już raz znalazła mnie w krzakach, po ucieczce Arden, z sukienką umazaną wymiocinami. Wytłumaczyłam, że denerwuję się jutrzejszą ceremonią, ale nie mogłam dawać więcej powodów do podejrzeń.

Ruszyłam. Brzeg porastały kolczate krzaki. Zdjęłam skarpetki i owinęłam nimi dłonie, żeby móc chwycić się ostrych gałęzi. Powoli wchodziłam coraz głębiej, woda sięgała mi już do szyi. Byłam dopiero metr od brzegu, gdy nagle

miękkie dno usunęło mi się spod stóp. Woda wlała mi się do ust i mocniej ścisnęłam gałęzie, które pokaleczyły mi dłonie. Nie mogłam stłumić kaszlu.

Strażniczka zatrzymała się pośrodku trawnika. Strumień światła omiótł błonia i przystanął na powierzchni jeziora. Wstrzymałam oddech, a płuca szalały mi z bólu. Wreszcie biały snop światła wrócił z powrotem na trawę i strażniczka po raz kolejny zniknęła za murem.

Wydawało mi się, że to trwało co najmniej godzinę. Brnęłam naprzód, zatrzymując się, gdy tylko pojawiała się straż. Pilnowałam, by nie wydać dźwięku. Gdy wreszcie dotarłam na drugi brzeg, wdrapałam się na błotnistą trawę. Skarpetki nałożone na dłonie przesiąknięte były krwią, a lodowata mokra koszula przykleiła mi się do ciała. Zdjęłam ją i, siedząc w cieniu ogromnego budynku, wycisnęłam z wody.

Ta strona jeziora była dziwnie opustoszała, nie licząc długiego drewnianego mostu biegnącego nad trawnikiem i gotowego na jutrzejszą ceremonię. W przeciwieństwie do szkoły tego budynku nie okalały kwiatowe klomby. Mówiono nam, że absolwentki są zbyt zajęte, żeby wychodzić na zewnątrz, dyscyplina naukowa jest nawet ostrzejsza niż w szkole, a czas, którego nie poświęcały na sen, jedzenie albo naukę, wykorzystywały na doskonalenie zdobytych umiejętności. Uczennice dwunastej klasy szeptały między sobą i martwiły się utratą słońca i wolności, ale dla mnie takie poświęcenie zawsze było czymś pięknym.

Trawa sięgała wysoko, ale nie była to dostateczna kryjówka. Wilgotną koszulę naciągnęłam z powrotem na siebie i podbiegłam do narożnika budynku. Jednak miał okna, jakieś półtora metra nad ziemią, po prostu na ścianie niewidocznej ze szkoły.

To przyniosło mi nadzieję, która nadała lekkość kolejnym krokom. Pod ścianą znalazłam zardzewiałe wiadro, które

przystawiłam do góry dnem do muru, żeby się na nie wspiąć. Wewnątrz była moja przyszłość i kiedy sięgałam do parapetu, marzyłam, żeby ujrzeć to, co sobie wyobrażałam, a nie to, o czym mówiła Arden. Modliłam się o sypialnię pełną śpiących dziewcząt i ściany zawieszzone olejnymi obrazami przedstawiającymi dzikie psy na łąkach. O stoły kreślarskie założone wydrukami, szafki nocne uginające się od ciężaru książek. Pragnęłam mieć rację i moc wierzyć, że jutro skończę szkołę, a jasna przyszłość, taka jak ją sobie wymarzyłam, rozpostrze się przede mną niczym promienie porannego słońca.

Zacisnęłam palce na krawędzi parapetu, przesuając się bliżej. Przycisnęłam nos do szyby. Pod drugiej stronie szklanej tafli zobaczyłam dziewczynę w wąskim łóżku. Na brzuchu miała opatrunek z zakrwawionej gazy. Jej jasne włosy były zmierzwiłone. Skórzane pasy unieruchamiały jej ramiona.

Obok niej leżała druga. Gigantyczny, rozciągnięty do granic możliwości brzuch górował nad jej ciałem na wysokości prawie metra. Pod cienką skórą widać było purpurowe żyły. Nagle otworzyła oczy w kolorze głębokiej zieleni i przez chwilę się we mnie wpatrywała, a potem znów oczy uciekły jej w głąb czaszki. To była Sophia. Sophia, która trzy lata temu mówiła w pożegnalnej mowie o tym, że zostanie lekarzem.

Zakryłam dłonią usta, żeby stłumić krzyk.

Stały tam całe rzędy łóżek, w których leżały dziewczęta z gigantycznymi brzuchami okrytymi białymi prześcieradłami. Niektóre były obandażowane, a jedna miała głębokie, spuchnięte i zaczerwienione blizny na boku. Po drugiej stronie pokoju jedna wiała się z bólu, usiłując uwolnić nadgarstki. Otworzyła usta i krzyczała coś, czego nie słyszałam zza szyby.

Pojawiły się pielęgniarki, weszły przez drzwi tego przypominającego halę fabryczną pokoju. Za nimi szła doktor

Hertz, jej stalowoszarych włosów nie można było pomylić. To ona zapisywała nam mieszanki witaminowe, które łykałyśmy codziennie, i raz w miesiącu sprawdzała, czy jesteśmy zdrowe. To ona układała nas na stole i szturchała zimnymi instrumentami, nigdy nie odpowiadając na nasze pytania i nie patrząc nam w oczy.

Dziewczyna szarpała głową, gdy doktor Hertz zbliżała się do niej, a potem przycisnęła dłoń do jej czoła. Od jej krzyku przebudziło się kilka innych pacjentek. Podnosiły się na tyle, na ile pozwalały im więzy, i krzyczały, ledwie słyszalnym chórem. A potem lekarka płynnym ruchem wbiła igłę w ramię dziewczyny i ta zastygła w potwornym bezruchu. Lekarka uniosła strzykawkę i jako straszak pokazała innym dziewczynom. Krzyk ustał.

Dłonie ześlizgnęły mi się z parapetu, a wiadro uskoczyło spod nóg. Poleciałam w tył, poturlałam się po twardej ziemi, wnętrzości mi się przewracały. Teraz wszystko nabrało sensu. Zastrzyki doktor Hertz, po których miałyśmy mdłości, byłyśmy rozdrażnione i obolałe. Dyrektorka głaszcząca mnie po włosach, gdy łykałam witaminy. Puste spojrzenie pani Agnes, gdy mówiłam o planach na przyszłość.

Nie będzie zwodu, nie będzie miasta, mieszkania z dużymi łózkami i oknem wychodzącym na ulicę. Nie będzie obiadów w restauracjach podawanych na srebrnych talerzach i wykrochmalonych białych obrusów. Będzie tylko ta sala, zgniły smród starych basenów lekarskich, skóra rozciągnięta tak, że pęka. Będą dzieci wycinane z mojego łona, wyrywane z moich ramion i wywożone gdzieś poza mury. Zostanę sama, z wrzaskiem na ustach, krwawiąca, a potem znów znajdę się w tym wywołanym zastrzykami śnie bez snów.

Stałam na nogi i spojrzałam na brzeg. Noc była ciemniejsza, powietrze zimniejsze, a jezioro o wiele szersze i głębsze niż przedtem. Ale nie odwracałam wzroku. Musiałam

oddalić się od tego budynku, tej sali i tych dziewcząt o martwych oczach.

Musiałam uciec.

Rozdział 3

Po powrocie do szkoły byłam całkiem mokra, a krew spływała mi z dłoni. W drodze powrotnej przez jezioro nie zwracałam sobie nawet głowy owijaniem rąk skarpetkami, tak byłam skoncentrowana na oddalaniu się od budynku. Kolce wbijały mi się w skórę, ale byłam obojętna na ból, wpatrywałam się tylko w okno sypialni.

Kiedy strażniczka była na tyłach dormitorium, przebiegłam przez trawnik w ciężkiej od wody koszuli. Kilka pochodni wciąż się paliło, ale błonia były pogrążone w ciemności, a w lesie słyszałam pohukiwanie sów. Brzmiały jak chirliderki zagrzewające mnie do wysiłku. Aż do tej nocy nigdy nie złamałam regulaminu. Byłam w klasie jeszcze przed rozpoczęciem lekcji, książki miałam otwarte przed sobą. Każdego wieczoru uczyłam się dwie godziny. Nawet jedzenie kroiłam według zaleceń, przyciskając palec wskazujący do trzonka noża. Ale teraz liczyła się tylko jedna reguła: Nie przechodź na drugą stronę muru. Tak mówiła pani Agnes na zajęciach z Zagrożeń Wywoływanych przez Mężczyzn i Chłopców, gdy omawiała zjawisko gwałtu. Gapiła się na nas wodnistymi, zaczerwienionymi oczami, dopóki nie powtórzyłyśmy po niej monotonnym chórem.

Nie przechodź na drugą stronę muru.

Ale żadna grupa mężczyzn ani wataha głodnych wilków nie mogła równać się z przeznaczeniem, z którym przed chwilą stanęłam twarzą w twarz. Na wolności miałabym wybór, nawet jeśli niebezpieczny i przerażający. Mogłabym decydować, co zjem, gdzie pójdę. Słońce wciąż ogrzewałoby mi skórę.

Może uda mi się wyjść przez bramę jak Arden. Zaczekam do rana, gdy przybędzie ostatni transport produktów na ucztę. Gorzej będzie z wyjściem przez okno. To biblioteczne było blisko muru, ale znajdowało się na wysokości piętnastu

metrów, będę potrzebowała liny albo jakiegoś innego sposobu, żeby się opuścić.

Już w środku skuliłam się w wąskiej, mrocznej klatce schodowej i starałam się nie wydawać żadnych dźwięków. Nie mogłam ocalić wszystkich, ale musiałam dostać się do sypialni i obudzić Pip. Może weźmiemy ze sobą Ruby. Nie będzie czasu na wyjaśnienia, musimy zapakować ubrania, figi i te cukierki w złotych papierkach, które Pip uwielbia. Uciekniemy dzisiaj i znikniemy na zawsze. Nie będziemy się oglądać za siebie.

Wspięłam się na drugie piętro i szłam korytarzem. Mijałam pokoje zastawione łózkami, w których smacznie spały dziewczęta. Przez szparę w drzwiach zauważyłam Violet, gdy zmieniała pozycję i uśmiechała się przez sen nieświadoma tego, co ją czeka nazajutrz. Już tylko kilka kroków dzieliło mnie od naszej sypialni, gdy korytarz rozjaśniło straszliwe światło.

- Kto tam? - zapytał straszliwy głos.

Odwróciłam się powoli, a krew zastygła mi w żyłach. Na końcu korytarza stała pani Florence z lampą naftową w ręce. Płomień rzucał na ścianę za nią czarne ruchome cienie.

- Ja tylko... - zaczęłam. Woda z jeziora skapywała ze skraju mojej koszuli i tworzyła u moich stóp kałużę.

Pani Florence podeszła bliżej, a na jej piegowatej twarzy widziałam wyraz niezadowolenia.

- Przedostałaś się na drugą stronę jeziora - powiedziała. - Widziałaś absolwentki.

Skinęłam głową i przypomniałam sobie Sophię w szpitalnym łóżku, jej podpuchnięte puste oczy i siniaki na nadgarstkach i kostkach, gdzie zaciskały się skórzane pasy. Ciśnienie mi rosło, jak w czajniku tuż przed wrzeniem. Chciałam krzyknąć. Wykurzyć wszystkich z ich łóżek. Złapać tę kruchą kobietę za ramiona i wbić w jej skórę palce, żeby

zrozumiała ból, jakiego doznałam, moją panikę i nierozumienie. Poczucie zdrady.

Ale całe lata siedzenia w ciszy z rękami złożonymi na kolanach i odzywania się tylko za pozwoleniem uniemożliwiły mi to. Co by się stało, gdybym teraz zaczęła krzyczeć? W środku nocy? Nie miałam żadnego dowodu, który mógłby przekonać dziewczyny. Nie uwierzyłyby, że to wszystko kłamstwo. Pomyślałyby, że oszalałam. Eve załamała się pod presją. Eve, wariatka, która bredzi coś o ciężarnych absolwentkach. Ciężarne absolwentki! Uśmiełyby się tylko. Zostałabym tam odesłana jeszcze wcześniej niż one i zmuszona do wiecznego milczenia.

- Przepraszam - zaryzykowałam. - Ja tylko... - Z oczu pociekły mi łzy.

Pani Florence wzięła mnie za rękę i przesunęła palcem po zadrapaniach, w których zebrała się, a potem zaschła, krew.

- Nie mogę ci pozwolić na wyjście za bramę - rzekła, pochylając się nad moją poranioną skórą tak nisko, że jej białe sztywne włosy musnęły mój policzek.

- Wiem, przepraszam. Wrócę do łóżka i...

- Nie - zaprzeczyła spokojnie. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że ma łzy w oczach. - Nie w takim stanie. - Wyciągnęła z kieszeni nocnej koszuli chusteczkę i zawiązała mi ją na dłoni. - Pomogę ci, ale musimy się tym zająć. Szybko. Jeśli pani dyrektor się dowie, obie zostaniemy ukarane. Idź po swoje rzeczy i spotkamy się na dole.

Uściskałabym ją, gdyby nie popchnęła mnie w kierunku drzwi. Ruszyłam więc do sypialni gotowa, żeby obudzić Pip i Ruby, gdy pani Florence zawołała mnie i powiedziała szeptem: *

- Eve, idziesz sama. Nie wolno ci powiedzieć nikomu więcej. - Zaczęłam protestować, ale była nieugięta. - To

jedyny sposób - powiedziała uroczyście i już szła korytarzem, z rozkołysaną lampą naftową w dłoni.

Poruszałam się w ciemności, bezszelestnie pakując rzeczy do jedynej plecaka, jaki miałam. Pip leżała bez ruchu. Idziesz sama. Rozkaz nauczycielki dudnił mi w uszach. Ale przecież całe życie robiłam to, co mi kazano, żeby na koniec zostać zdradzona. Mogłabym obudzić Pip i błagać panią Florence, żeby pomogła nam obydwu. Ale czy Pip mi uwierzy? A co, jeśli obudzi pozostałe dziewczyny? A jeśli pani powie, że nie może pomóc nam obu, że we dwie nie mamy rady uciec niezauważone? To byłby koniec dla nas obydwu, na zawsze.

Pip przewróciła się na drugi bok i wymamrotała coś we śnie. Zabrałam spodnie, w których ćwiczyłam, a do jedwabnego woreczka wzięłam kilka ulubionych rzeczy, między innymi małego plastikowego ptaszka, którego znalazłam lata temu, kopiając w błocie, złoty papierek z pierwszego w życiu cukierka, jakiego dostałam od dyrektorki, małą, zepsutą srebrną bransoletkę, którą miałam ze sobą, gdy przybyłam do szkoły w wieku pięciu lat, i wreszcie jedyne list od mojej mamy, napisany na pożółkłym dziś papierze rozrywającym się na każdym zagięciu.

Zapięłam torbę, marząc jednocześnie, by mieć więcej czasu. Błada twarz Pip przyciśnięta była do poduszki, a usta wydymały się od oddechu. Przeczytałam kiedyś w jednej z książek sprzed zarazy, że miłość to towarzyszenie. Przyglądanie się czyjemuś życiu, żeby powiedzieć temu komuś: twoje istnienie warte jest tego, by na nie patrzeć. Jeśli to prawda, nigdy nie kochałam nikogo bardziej niż Pip. I nikt mnie nie kochał bardziej. Pip była przy mnie, gdy, stojąc na rękach, zwichnęłam nadgarstek. Pip pocieszała mnie, gdy zgubiłam ukochaną niebieską spinkę, która, jak mi powiedziano, należała do mojej matki. I to ona śpiewała ze

mną pod prysznicem piosenki, które znalazłyśmy na starych taśmach w bibliotece.

- Let it be, let it be! - śpiewała poza tonacją, a szampon spływał jej po twarzy. - Whisper words of wisdom, let it be!

Ruszyłam do drzwi i spojrzałam na nią po raz ostatni. Pierwszego wieczoru w szkole Pip usłyszała, jak płakałam, usiadła obok mnie na łóżku i pozwoliła mi wtulić twarz w jej szyję. Pokazała palcem na sufit i powiedziała, że nasze mamy patrzą na nas z nieba. Kochały nas stamtąd.

- Wrócę po ciebie - powiedziałam i prawie załkałam. - Obiecuję.

Gdybym nie wyszła teraz, nie zrobiłabym tego w ogóle, więc puściłam się biegiem przez korytarz, potem schodami w dół aż do drzwi gabinetu lekarskiego, gdzie czekała na mnie pani Florence z torbą pełną jedzenia.

Pęsetą wyjęła mi z dłoni drzazgi, a potem opatrzyła je, wpatrując się w bandaż, gdy zawijała go warstwa za warstwą. Chwilę milczała, a potem przemówiła:

- Zaczęło się od lekarzy leczących bezpłodność - zaczęła. - Król uważał, że nauka jest kluczem do szybkiego i efektywnego zaludnienia Ziemi, bez takich komplikacji jak rodzina, małżeństwo i miłość. Uważał, że jeśli będziecie się bały mężczyzn, chętnie rozmnożycie się bez ich udziału. I pierwsze absolwentki potwierdziły tę teorię. Ale ten proces jest okrutny. Cięża mnogie często powodują komplikacje. W ciągu ostatnich lat sytuacja się pogorszyła i obawiam się, że to będzie się pogłębiać.

Zerknęłam na szafkę, w której doktor Hertz przechowywała nasze cotygodniowe zastrzyki, od których bolały nas piersi, a dziewczęta były szarpane przez skurcze. Na blacie stały słoiczki z witaminami, które pojawiały się w naszych pudełeczkach na leki. Połykałyśmy je rano, po południu i wieczorem, jak kolorową, słodką truciznę.

- A więc zawsze wiedziałyście o absolwentkach? - zapytałam.

Nauczycielka opuściła żaluzje. Gdy upewniła się, że strażniczka odeszła, skinęła na mnie, żebym poszła za nią do tylnych drzwi i wyszła na pograżony w mroku dziedziniec. W oddali wyły dzikie psy, od tego dźwięku łomotało mi serce. Szliśmy wzdłuż muru. Pani Florence odwróciła się, by się upewnić, że znajdujemy się poza zasięgiem wzorku straży. Kiedy odezwała się znów, mówiła znacznie ciszej niż wcześniej.

- Najpierw była zaraza - zaczęła - a szczepionka tylko pogorszyła sprawę. Świat został spustoszony przez śmierć. Nie było decydentów, ludzie nie wiedzieli, co robić. Bali się. Władzę przejął Król i trzeba było dokonać wyboru: iść za nim albo zostać samemu, w dziczy.

Nie patrzyła na mnie, ale widziałam, że ma łzy w oczach. Pomyślałam o corocznych orędziach, kiedy zbierałyśmy się wszystkie w jadalni i słuchałyśmy jedyne w szkole odbiornika radiowego, ustawionego na stoliku przed dyrektorką. Król, nasz Wielki Wódz, Jedyne Mężczyzna Godzien Szacunku, przemawiał do nas przez stare głośniki. Mówił o rozwoju Miasta Piasku, o drapaczach chmur, murach, które mogły powstrzymać najazdy wroga, wirusy i zagrożenia pochodzące z otaczającej Miasto dziczy. Mówił, że tam rodzi się Nowa Ameryka, nasza jedyna szansa na odrodzenie. Obiecywał, że nic nam nie grozi.

- Wierzyłam mu, Eve - kontynuowała. - Miałam już pięćdziesiąt lat. Moja rodzina zginęła. Nie miałam wyboru. Nie przetrwałabym sama. Ale ty masz szansę, jakiej ja nie miałam.

Dotarliśmy do jabłoni, która rosła przed murem. Pip i ja siedziałyśmy w jej konarach setki razy, zajadałyśmy się jabłkami, a zgniłymi owocami karmiłyśmy wiewiórki.

- Dokąd mam iść? - zapytałam drżącym głosem.

- Idź trzy kilometry prosto, a dojdiesz do szosy. - Wąskie wargi poruszały się powoli, gdy mówiła. Usta miała złuszczone i spierzchnięte. - Tam nie będzie bezpiecznie. Znajdź znaki oznaczone liczbą 80 i kieruj się nimi, idź na zachód, w stronę zachodzącego słońca. Trzymaj się blisko szosy, ale nie idź nią.

- A co potem? - pytałam dalej. Sięgnęła do kieszeni szlafroka i wyciągnęła klucz mieniący się w jej pomarszczonych dłoniach jak klejnot.

- W końcu dotrzesz do morza. Po drugiej stronie czerwonego mostu jest obóz. Słyszałam, że nazywa się Kalifia. Jeśli tam dotrzesz, zajmą się tobą.

- A co z Miastem Piasku? - drążyłam, gdy szła wzdłuż muru. Rozmowa dobiegała końca, czułam to, a od pytań aż kręciło mi się w głowie. —Co z dziećmi, które się rodzą? Kto się nimi zajmuje? Czy absolwentki zostaną kiedyś zwolnione?

- Dzieci są zabierane do Miasta. A absolwentki... - Spuściła głowę, przesuwając się po ścianie muru. - Znajdują się pod kuratelą Króla. Wyjdą na wolność, jeśli Król podejmie taką decyzję i kiedy zostanie wyprodukowanych wystarczająco dużo dzieci.

Za gałęziami znajdowała się dziura, tak mała, że trudno byłoby ją wypatrzeć nawet w dziennym świetle. Pani Florence wetknęła klucz do dziurki i po jednym obrocie fragment kamiennej ściany odskoczył, ukazując wąskie przejście. Potem zerknęła za siebie, na drugą stronę muru.

- To wyjście ewakuacyjne na wypadek pożaru - wyjaśniła.

Las rozciągał się przede mną, oświetlany jedynie przez idealnie okrągły lśniący księżyc. Oto to miejsce. Stąd przybyłam i tam wracałam. Moja przeszłość i przyszłość. Chciałam pytać dalej o to dziwne miejsce zwane Kalifią, o

mogące mnie czekać niebezpieczeństwa, ale za rogiem dormitorium zobaczyłam błysk strażniczej latarni.

Pani Florence popchnęła mnie.

- Idź, teraz! - ponagliła. - No idź!

Drzwi zamknęły się za mną tak samo szybko, jak się otworzyły i zostawiły mnie samą pośród tej zimnej bezgwiazdnej nocy.

Rozdział 4

Otworzyłam oczy i zobaczyłam niebo: niebieska nieskończona kopuła, znacznie większa niż sobie wyobrażałam. W ciągu dwunastu lat spędzonych w szkole widziałam tylko jej skrawek pomiędzy jedną ścianą muru a drugą. Teraz stałam pod nią i obserwowałam żółte i purpurowe smugi pojawiające się na tej ogromnej parasolce, dobrze widoczne w delikatnym świetle świtu.

Poprzedniej nocy biegłam tak szybko, jak mogłam, bo bałam się zatrzymać. Przebiegałam pod walącymi się mostami i przez strome wąwozy, aż wreszcie w świetle księżyca ujrzałam upragnioną tabliczkę oznaczającą drogę numer 80. Wtedy też położyłam się spać w rowie, nogi nie uniosłyby mnie już dalej. Nogawki spodni miałam uwalane błotem, w gardle mi zaschło.

Wdrapałam się na skraj wąwozu i rozejrzałam po skąpanej w świetle okolicy. Zbocze pagórka zarośnięte było rozbuchanymi ukwieconymi krzewami, wysoką, przejmująco zieloną trawą i drzewami, których gałęzie wyrastały pod najróżniejszymi kątami, wywijając się we wszystkie strony i okręcając wokół siebie wzajemnie. Nie mogłam powstrzymać śmiechu, gdy przypomniałam sobie zdjęcia świata sprzed zarazy. Widniały na nich wypielęgnowane, przystrzyżone trawniki, rzędy domów stojące wzdłuż brukowanych ulic, a ogródki miały kształt idealnych kwadratów. To, co widziałam, nie mogło się od nich różnić bardziej.

Gdzieś daleko dostrzegłam jelenia przechodzącego przez starą stację benzynową. Przed zarazą prawie wszystko zasilane było benzyną, ale ponieważ nie miał kto prowadzić rafinerii, stacje pozamykano. Teraz ropy używał tylko królewski rząd, użyczający koniecznej ilości szkołom. Jeleń zatrzymał się i zaczął skubać trawę wyrastającą spomiędzy zardzewiałych dystrybutorów. Stada ptaków latały w różnych

kierunkach, a ich opalizujące piórka lśniły w świetle poranka. Tupnęłam w ziemię i poczułam pod stopą kamień, twardy i płaski. Szosa była pokryta trzycentymetrową warstwą mchu.

- Halo? - Usłyszałam głos. - Halo?

Odwróciłam się za siebie, szukając źródła głosu, a na dźwięk słów wypowiedzianych męskim głosem strach powrócił. Przypomniałam sobie opowieści o gangach renegatów mieszkających w lesie. Zauważyłam zdezelowaną budę kilka metrów ode mnie. Zarastał ją bluszcz, a drzwi były zamknięte. Zaczęłam czołgać się w tamtą stronę.

Głos przemówił ponownie:

- Zamknij się!

Zamarłam. W szkole nie wolno nam było mówić w ten sposób. Takie wyrażenia traktowano jako „niedopuszczalne” i znałyśmy je tylko z książek.

- Zamknij się! - Rozległo się znów gdzieś nad głową. Spojrzałam w niebo. Na dachu chaty siedziała duża, czerwona papuga i przyglądała mi się, przekrzywiając głowę. - Dzyń, dzyń. Dzyń, dzyń. Kto tam? - Dziobnęła w coś na dachu.

Widziałam kiedyś papugę w książeczce dla dzieci. To była historia o piracie, który rabował skarby. Pip i ja czytałyśmy ją w archiwum, przesuwając palcami po zniszczonych przez wodę ilustracjach.

Pip. Daleko stąd odkrywała właśnie moje puste łóżko, pościel zmiętoszoną i zimną. W pośpiechu przygotowywany jest nowy scenariusz ceremonii. Ona i Ruby pewnie boją się, że zostałam porwana, bo nie przychodziło im do głowy, że mogłam odejść z własnej woli. Może nadgorliwa uczennica Amelia wygłosi za mnie przemówienie i przeprowadzi dziewczęta przez most. Kiedy poznają prawdę? Gdy tylko postawią stopy na gołym drugim brzegu jeziora? Czy dopiero, kiedy otworzą się drzwi i ujawnią wybetonowaną salę?

Wyciągnęłam do ptaka rękę, ale odskoczył.

- Jak masz na imię? - spytałam.

Przestraszyłam się swojego głosu. Ptak popatrzył na mnie czarnymi oczkami.

- Peter! Gdzie jesteś, Peter? - wrzeszczał, podskakując.

- Peter to twój właściciel? - zapytałam. Papuga czochrała piórka pazurami. - Skąd się tu wzięłaś? - Wyobrażałam sobie, że Peter umarł dawno temu, w czasie zarazy, albo porzucił ptaka w następującym po niej chaosie. Papuga przeżyła już ponad dziesięć lat. To dało mi nadzieję.

Chciałam zadać papudze więcej pytań, ale nagle zerwała się do lotu i wkrótce była tylko czerwonym punkcikiem na niebieskim niebie. Odprowadziłam ją wzrokiem, aż zupełnie straciłam ją z oczu. A potem zauważyłam postacie zbliżające się do drogi; szły przez wzgórze, między drzewami. Nawet z odległości sześćdziesięciu metrów widziałam, że na plecach mają broń.

Przez chwilę stałam sparaliżowana widokiem tych obcych i wrogich istot. Byli o wiele wyżsi i potężniejsi niż kobiety. Nawet chodzili w inny sposób, jak gdyby do udźwignięcia ich ciężaru potrzebna była inna motoryka. Wszyscy mieli na sobie spodnie i buty, ale niektórzy nie nosili koszulek i widziałam ich brązowe klatki piersiowe.

Szli w grupie, a potem jeden z nich uniósł broń i wycelował w żerującego w ruinach stacji benzynowej jelenia. Ten upadł po jednym wystrzale, a nogi drgały mu z bólu. Dopiero wtedy wpadłam w panikę. Byłam w środku dziczy, doskonale widoczna w bezlitosnym dziennym świetle. Byli już tylko trzydzieści metrów ode mnie. Dopadłam do drzwi starej chaty i szarpałam łądygi bluszczu, aż znalazłam zardzewiały zamek.

Grupa mężczyzn zbliżała się coraz bardziej. Szamotałam się z zamkiem, ciągnęłam i uderzałam w niego z nadzieją, że puści. Otwórz się, błagałam, proszę. Wyjrzałam za róg chaty i

zobaczyłam, że dotarli do stacji i zgromadzili się nad ciałem jelenia. Jeden zaczął oprawiać zwierzę, zdejmować z niego skórę, jak gdyby obierał owoc. Jeleń zaczął wierzgać, był wciąż żywy.

Szarpnęłam zamek i nagle zapragnęłam, żeby dyrektorka pojawiła się na tej zamkniętej drodze i straż wciągnęła mnie do rządowego dżipa. Wrócilibyśmy tam, skąd przybyłam, a strzelający mężczyźni wkrótce byłiby tylko czarnymi punkcikami na horyzoncie. Byłabym bezpieczna.

Ale to marzenie szybko rozwiało się jak mgła przepłoszona przez poranne słońce. Dyrektorka nie była moim obrońcą, a szkoła nie była już bezpiecznym miejscem.

Nigdzie nie było bezpiecznie.

Zamek w końcu odpuścił i wpadłam prosto do ciemnego wnętrza chaty. Wciągnęłam do środka plecak i zamknęłam drzwi. Szłam dalej wąskim korytarzem, który przechodził w większy pokój. Brudne szyby zarośnięte były winoroślą, nic więc nie było przez nie widać. Zdałam sobie sprawę, że to nie chata, tylko długi budynek znikający wewnątrz wzgórza, częściowo zarośnięty trawą. Szłam dalej. Ściany były nierówne i nieregularne, jak gdyby zbudowano je z kamieni.

Usłyszałam dziwny głos.

- Chodź, Raff, wrzuc skórę do torby i spadamy stąd.

- Schowaj to, zawszony gnoju - rzucił kto inny. Głosy mieli głębokie i chrapliwie. Nie mówili wyrafinowanym językiem, jakim porozumiewaliśmy się w szkole.

Przez cały rok na zajęciach uczyłam się tego, że kobiety są bezbronne wobec płci przeciwnej. Najpierw przerabialiśmy rozdział Manipulacje i złamane serce. Starannie czytałyśmy Romea i Julię i analizowałyśmy sposób, w jaki Romeo uwiódł Julię i doprowadził do śmierci. Pani Mildred opowiedziała nam o swoim związku, w którym była przed zarazą, i o tym, jak szybko ekstaza zmieniła się w desperacką i pełną gniewu

tragedię. Płakała, mówiąc, jak to jej „miłość” odeszła, kiedy urodziła pierwsze dziecko, dziewczynkę, która później zmarła w czasie zarazy. On twierdził, że jest „skołowany”. W czasie przerabiania rozdziału o zniewoleniu domowym oglądałyśmy stare zdjęcia kobiet w fartuszkach. Ale najbardziej przerażająca była lekcja o mentalności gangu.

Pani Agnes pokazała nam zdjęcia z ukrytych kamer umieszczonych na murze. Choć niewyraźne, widać było sylwetki trzech mężczyzn. Dopadli czwartego, obrabowali go i zastrzelili. Przez całe tygodnie budziłam się w środku nocy zlaną potem. Wciąż widziałam rozbłysk wystrzału i zwiotczałe ciało padające na ziemię, z wykrzywionymi nogami.

- Nie potrzebowałeś jeszcze jednego, ty zabijako! - krzyknął ktoś. Weszłam jeszcze głębiej, trzymając się nierównej, niestabilnej ściany. Było gorąco i śmierdziało pleśnią i czymś ostrzejszym, chemicznym. Naciągnęłam koszulkę na twarz i usiłowałam stłumić oddech, gdy mężczyźni mijali budynek.

Byli już blisko. Słyszałam każdy krok, pod ich stopami pękały gałązki. Któryś zatrzymał się przed chatą. Miał chrapliwy oddech i odkrztusił flegmę.

- Spójrzcie tu! - zawołał inny. Jego głos był wyższy i dochodził z wysoka, być może stał na drodze.

Odchrząknął, a serce stanęło mi w piersi. Złapałam się kamiennej ściany i usiłowałam utrzymać się na nogach. Zamknęłam oczy i zaklinałam: odejdźcie, proszę, proszę.

- Zamek jest wyłamany. Chodźcie, trzeba to sprawdzić.

Cofnęłam się, jak mogłam najdalej, i modliłam się, żeby zimne kamienie przyjęły mnie, żebym mogła wsiąknąć między nie i skryć się za ich dziobatą powierzchnią. Pani Helene pokazywała nam zdjęcia kobiety, której połowę twarzy odgryzł dziki pies. Ale zawsze tylko straszono nas tym, co

może się stać, gdy znajdziemy się na zewnątrz, ale nie uczono sposobów przetrwania. Nie potrafiłam rozpać ognia, nie umiałam polować i nie dam sobie rady z tymi mężczyznami.

- Po prostu wracajcie - mówiła nauczycielka - zróbcie wszystko, żeby jak najszybciej dostać się z powrotem do szkoły.

Drzwi się otworzyły. Byłam przygotowana, że on wbiegnie tu z krzykiem i wyciągnie mnie na zewnątrz.

Ale gdy do wnętrza chaty wpadło światło, przestałam przejmować się gangiem na drodze, zdjęciami, które widziałam w szkole, i mężczyzną czającym się za rogiem, pięć metrów ode mnie. Słońce pokazało bowiem, że ściany nie są wcale zrobione z kamieni, tylko z czaszek, z setek czaszek, które wpatrywały się we mnie pustymi oczodołami. Zakryłam dłońią usta, żeby powstrzymać się od krzyku.

- To tylko kostnica! - krzyknął mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi i zostawił mnie w ciemności samą z kościotrupami. Nie wyszłam stamtąd przez wiele godzin, trzęsąc się, czekałam, aż mężczyźni odeszli.

Rozdział 5

Ósmego dnia nogi mnie bolały, a w gardle paliło. Szłam powoli przez gęste krzaki na poboczu i odsuwałam gałęzie kijem, którego używałam jako laski. Powtarzałam sobie, że dotrę do Kalifii. Że znajdę się tam wkrótce i że tak długo, jak przebywam w krzakach, poza zasięgiem wzroku, gangi mnie nie dopadną. Ale moja butelka z wodą była pusta już od kilku dni. Zmęczenie mnie wykańczało. W jednej chwili pociałam się, a w następnej drżałam z zimna.

Szłam na zachód, jak kazała pani Florence, w stronę zachodzącego słońca. Nocą, gdy temperatura spadała, spałam w szafach opuszczonych domów albo w garażach, obok wraków porzuconych dawno temu samochodów. Kiedy znalazłam miejsce, które wydawało mi się wystarczająco bezpieczne, siadałam tam i jadłam jabłka zapakowane mi przez nauczycielkę i rozmyślałam o szkole. Wciąż wracałam myślami do tamtej ostatniej nocy i zastanawiałam się, czy mogłoby być inaczej, czy mogłam ocalić Pip. Może powinnam była zaryzykować. Obudzić ją. Chociaż spróbować. Targał mną szloch, gdy wyobrażałam ją sobie przywiązaną do łóżka, samotną, przerażoną i nierozumiejącą, czemu ją zostawiłam.

Niedługo potem skończyło mi się jedzenie. Spizarnie w domach były już dawno ogołocone przez tych, którzy przetrwali zarazę. Zbierałam jagody, ale nawet kilka garści nie było w stanie zaspokoić ssania w żołądku. Byłam coraz słabsza, szłam coraz wolniej, aż w końcu nie byłam w stanie przejść nawet kilometra bez odpoczynku. Siadałam w korzeniach drzew, które mnie podtrzymywały, i patrzyłam na jelenia pasącego się w wysokiej trawie.

Czasem, tuż przed zachodem słońca, wyjmowałam z plecaka moje rzeczy i patrzyłam na nie. Oglądałam bransoletkę, tak małą, że obejmowała tylko trzy moje palce.

Tak jak wszystkie dziewczęta w szkole, byłam sierotą. Miałam pięć lat, gdy moją mamę zabrała zaraza. Nigdy nie znałam ojca. Te rzeczy były jedynym śladem przeszłości, z wyjątkiem kilku wspomnień, a może raczej przeczuć: mama czesząca moje wilgotne włosy albo zapach jej perfum, gdy układała mnie do snu. Czytałam kiedyś o bólach fantomowych po amputowanych kończynach. Od tamtej pory uważałam, że to najlepszy sposób na opisanie moich uczuć wobec matki. Teraz był to już tylko ból po czymś, co straciłam dawno temu.

Szłam dalej, coraz ciężiej opierając się na mojej lasce. W oddali zobaczyłam plastikowy basen, w którym zebrała się deszczówka, przejrzysta, turkusowa oaza pośród krzaków. Zamrugałam niepewna, czy nie mam halucynacji wywołanych upałem. Podbiegłam do baseniku i upadłam na kolana; dotknęłam ustami chłodnej wody. Zastanawiałam się, od jak dawna tu stoi i czy jest bezpieczna do picia, ale smakowała tak cudownie w zaschniętych ustach, że nie przestawałam pić, dopóki brzuch mnie nie rozbolał. Kiedy zaspokoiliłam pragnienie, zauważyłam na powierzchni wody odbicie. Kilka metrów dalej był dom, w którym paliło się światło.

Ruszyłam w jego stronę, gdy słońce zaczęło już całować czubki drzew. Nie wiedziałam, kto tam jest ani czy mi pomoże, ale musiałam przynajmniej spróbować.

W ogródku stał prawie zrujnowany drewniany plac zabaw. Wokół przerdzewiałego łańcucha huśtawki oplatała się winorośl i przyciągała ją do ziemi. Po krótkiej walce z zasuwką dotarłam do uchylonego okna i zajrzałam do wnętrza domu. Salon był mały, stała w nim tylko zniszczona kanapa, a na ścianach wisiało kilka zdjęć za potłuczonym szkłem. Nad ogniem ktoś się pochylał i gotował.

Dym unosił się aż do sufitu i wydostawał się na zewnątrz, napełniając moje nozdrza obietnicą mięsnego posiłku. Postać

wzięła króliczą nogę i łapczywie wgryzła się w nią. Na myśl, jakie to musi być pyszne, napłynęła mi do ust ślina.

Widziałam już kiedyś Bezpańskich, przez okno w bibliotece, z którego widać było przestrzeń poza murem.

Bezpańscy nie byli członkami gangów ani poddanymi Króla, po prostu żyli w dziczy. Mówiono nam, że są niebezpieczni, ale wydawało mi się, że osoba, na którą patrzę, jest kobietą i to mnie uspokoiło.

- Przepraszam! - zawołałam przez okno. - Potrzebuję pomocy.

Postać podniosła się, przyskoczyła do ściany i wyciągnęła nóż.

- Pokaż się! - Miała tak wielki kaptur, że nie było widać jej twarzy, ale w świetle ognia rzucały się w oczy jej lśniąca od tłuszczu ładne usta.

- Wszystko w porządku - powiedziałam i podniosłam rękę. Popchnęłam okiennicę i zardzewiałe zawiasy odłamały się, a okno prawie wpadło do pokoju, na podłogę. Weszłam do środka, nadal trzymając obie ręce na widoku. - Skończyło mi się jedzenie.

Wciąż trzymała nóż wyciągnięty w moją stronę. Miała na sobie ciemnoniebieski mundur, podobny do tych noszonych przez pracowników rządu i czarną, o wiele za dużą bluzę z kapturem. Nie widziałam jej oczu.

A potem, kiedy opuściłam rękę, zobaczyłam otwarty plecak ze szkolnym mundurkiem w środku. Niebiesko - czerwony krzyż Nowej Ameryki rzucał się w oczy. Cofnęłam się i obserwowałam jej czarne wojskowe buty, wysoką sylwetkę i zamię nad wargą.

- Arden?! Ściągnęła kaptur. Krótkie czarne włosy były brudne, a jasna twarz opaliła się tak, że skóra schodziła jej z nosa.

Objęłam ją i przytuliłam tak mocno, jakby była jedyną osobą, która może uratować mnie przed upadkiem. Wdychałam jej zapach, nie zważając na to, że obydwie śmierdziałyśmy przepoconymi ubraniami.

To Arden. Żywa. Tutaj.

- Co ty wyrabiasz? - Odepchnęła mnie. - Jak się tu dostałaś?

Twarz wykrzywił jej gniew i nagle przypomniałam sobie, że przecież ona mnie nienawidzi. Zszokowana usiadłam na podłodze.

- Uciekłam. Miałaś rację, ja też je widziałam. Dziewczyny. W tym wybetonowanym pokoju. - Arden kucnęła przy ogniu, ale cały czas trzymała nóż. - Szłam za znakiem z liczbą 80... - Zdałam sobie sprawę, że musiała zrobić to samo. - Kalifia nie może być dalej niż tydzień drogi stąd. Niedługo zobaczymy czerwony most...

Arden uderzała tępą stroną ostrza w nogę. - Nie możesz zostać ze mną. Nie mogę cię przygarnąć, przykro mi, ale musisz...

- Nie. - Pomyślałam o gigantycznych szczurach, które nocami pełzały mi po nogach, i o nieudanych próbach upolowania królika. - Nie możesz, Arden. Nie odtrącisz mnie.

Arden przesunęła ostrzem po ceglany gzymsie kominka. Od zgrzytliwego dźwięku przeszył mnie dreszcz.

- To nie jest zabawa, Eve. To nie są krótkie wakacje, odpoczynek od szkoły. - Wskazała na okno. - Tam są mężczyźni i psy, i cała masa dzikich zwierząt, które chcą nas zabić. Nie nadążysz za mną. Lepiej się rozdzielimy.

Usiadłam na swoich roztrzęsionych dłoniach, które zapadły się w zapleśniałym dywanie. Byłam wstrząśnięta okrucieństwem Arden. Nawet gdybym znalazła w dżungli uczennicę drugiej klasy ze złamaną nogą, nie zostawiłabym jej tam, nie potrafiłabym. To byłby wyrok śmierci.

- Wiem, że to nie zabawa. Dlatego powinniśmy trzymać się razem. - Potrzebowałam Arden, ale nie mogłam wymyślić powodu, dla którego ona mogłaby potrzebować mnie. Wytężałam umysł i starałam się dotrzeć do tej zimnej, darwińskiej części niej. - Mogę ci pomóc.

Arden usiadła na starej kanapie, podziurawionej miejscami przez wyłazące na wierzch sprężyny.

- A niby w jaki sposób? - Wyciągnęła ze skołtunionych włosów martwego żuka i wrzuciła go do ognia, w którym eksplodował z hukiem.

- Jestem bystra. Pomogę ci przy mapach i kompasie. Poza tym dodatkowa osoba przyda się jako wartownik.

Arden wypuściła powietrze z płuc.

- Nie ma żadnych map ani kompasów, Eve. A ty jesteś bystrą kujonką - skorygowała mnie, podnosząc palec. - Tutaj to nic nie znaczy. Umiesz łowić ryby? Polować? Zabiłabyś kogoś, gdyby mi groził?

Z trudem przełknęłam ślinę, bo wiedziałam, że odpowiedź brzmi: nie. Oczywiście, że nie. Nigdy nie zabiłam nawet ślimaka. Powiedziałam nauczycielce o dziewczynach, które posypywały ślimaki solą, żeby zobaczyć, jak się skręcają z bólu. Ale chciałam udowodnić Arden, że te wszystkie lata, które spędziłam w bibliotece, podczas gdy ona rzucała na dziedzińcu podkowami, miały sens.

- Dyrektorka przyznała mi Medal za Zasługi... Arden odchyliła głowę i się roześmiała.

- Jesteś zabawna! Dobrze radziłam sobie sama, a ty...

Popatrzyłam na siebie jej oczami. Szkolny sweter miałam poszarpany przez gałęzie. Dłonie miałam zakrwawione, a ramiona gołe, mimo że był zimny wiosenny wieczór. Czuję się słaba. W szkole nigdy taka nie byłam, nigdy nie brakowało mi jedzenia, picia ani choćby perspektywy na jedno i drugie. Łzy napłynęły mi do oczu.

- Nic nie rozumiesz. Ty masz rodziców, masz dokąd iść. Nie wiesz, jak to jest być samej.

Zakryłam rękami twarz i rozpłakałam się. Nie chciałam zgnić w lesie, samotnie. Nie chciałam głodować ani zostać schwytana przez mężczyznę. Nie chciałam umrzeć.

Dopiero po minucie zorientowałam się, że Arden wstała z kanapy i położyła na ogniu drugi kawałek królika.

- Nie musisz się mazać jak dziecko - powiedziała i podała mi patyk z mięsem. Wgryzłam się w nie łapczywie, a sok spływał mi po brodzie, nawet nie pomyślałam o dobrych manierach. - Nie mogę tracić czasu. Być może moi rodzice wiedzą już, że opuściłam szkołę... Może mnie szukają - dodała Arden, kiedy skończyłam.

Poczułam przemożną chęć znaczącego wywrócenia oczami, ale powstrzymałam się. Nawet teraz, na tym pustkowiu, Arden przechwalała się, że ma rodziców. Za chwilę zaczniesz opowiadać o czteropiętrowym domu, w którym mieszkali, i o ogromnym łóżu, w którym sypiała jako dziecko. Było jej tak trudno się z tym rozstać, nawet jeśli tylko na kilka lat. Brakowało jej pomocy służących, obiadów serwowanych na chińskiej porcelanie i rodziców, którzy zabierali ją do teatru i pozwalali opierać się brodą o balustradę balkonu, dzięki czemu miała lepszy widok na scenę.

- Możesz zostać na noc. Potem zobaczymy - powiedziała Arden i podała mi poszarpany szary koc.

Owinęłam się nim, gdy ogień przygasł i została z niego tylko kupka żarzącego się popiołu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Arden obróciła się w swoim stosie kołder, które ułożyła wokół siebie na kanapie jak wielkie ptasie gniazdo. - Znalazłam go na jakimś trupie kawałek stąd.

- Roześmiała się cicho.

Ściągnęłam koc z ramion i wcisnęłam się w kąt. Nie przeszkadzało mi, że szczękam zębami, w końcu tak działo się każdej nocy.

W świetle półokrągłego księżyca widziałam na ścianach zdjęcia. Przed domem pozowała młoda rodzina. Uśmiechali się i obejmowali ramionami, nieświadomi przyszłości tak samo, jak ja nieświadoma byłam swojej.

Rozdział 6

Następnego popołudnia szłam za Arden przez pole słoneczników, odpychając czarnookie potwory, które zaglądały mi w twarz. Prawie nie rozmawialiśmy, nie licząc ustalenia, że na śniadanie zjemy pieczonego królika, co poczytywałam za dobry znak. Byłam prawie pewna, że kiedy się obudzę, nie będzie ani jedzenia, ani koców, ani Arden. Ale nie zostawiła mnie i zastanawiałam się, czy jej milczenie oznacza zgodę na wspólną wędrówkę. Miałam nadzieję, że tak właśnie jest, choćby przez wzgląd na stan mojego żołądka.

Szliśmy przez zarośniętą trawą ulicę w najbliższym sąsiedztwie. Dachy domów były zapadnięte, czasem pojawiały się resztki koszy do koszykówki oplecionych tak ściśle winoroślą, że wyglądały jak ozdobne słupy. Mijałyśmy wraki samochodów z powybijanymi przednimi szybami, ale za to drzwiami tak zardzewiałymi, że nie dawało się ich otworzyć. Na zarośniętym podjeździe stały dwie przegniłe trumny, jedna dla dorosłego, druga dla dziecka.

W czasie ostatnich dni życia mojej mamy bawiłam się przed domem sama. Nie wpuszczała mnie do sypialni, bo bała się mnie zarazić. Kładłam lalkę na kamiennym krawężniku w ogrodzie i karmiłam ją miksturami z gniecionych liści i błota.

- Niedługo poczujesz się lepiej - mówiłam jej, słysząc przez okno płacz mamy. - Lekarz już jest w drodze - szeptałam. - On cię uratuje, po prostu teraz nie ma czasu.

- Co z tobą? - Arden szarpnęła mnie za ramię. Stałam przy trumnach i wpatrywałam się w tę mniejszą.

- Przepraszam. - Ruszyłam dalej, starając się odrzucić melancholijny nastrój. Czułam się źle i jeszcze bardziej samotnie, bo wiedziałam, że Arden nie zrozumiałaby. Zrywałam kolorowe kwiaty i układałam z nich bukiet.

- Postanowiłam, że do Kalifii możemy iść razem - oznajmiła Arden, przedzierając się przez wysoką trawę. - Ale

później zostaniesz sama. Ja odpocznę, a potem ruszę dalej, do Miasta, żeby znaleźć rodziców.

- Naprawdę? - zapytałam, a smutek ustąpił miejsca uldze.
- Arden, ja...

Arden odwróciła się w moją stronę, a jej oczy zalśniły w słońcu.

- Nie marudź, bo zmienię zdanie.

Przez jakiś czas szłyśmy w milczeniu. Wracałam myślami do szkoły, do tej nocy, kiedy uciekłam. Do plotek, że Arden przepłynęła jezioro. Teraz nie wydawały się już tak niedorzeczne, jadłam przecież mięso, które upolowała, opracowała i ugotowała.

- To prawda, że umiesz pływać? - dociekałam.

- Skąd o tym wiesz? - Arden zdjęła czarną bluzę z kapturem i obnażyła blade ramiona zsypane piegami.

- Ktoś cię widział. - Nie wspomniałam nic o tym, że mnie droga na drugi brzeg zabrała godzinę i polegała na chwytaniu się kolczastych gałęzi.

Arden uśmiechnęła się, jak gdyby przypomniawszy sobie coś zabawnego.

- Nauczyłam się. Tobie nie przysłoby to pewnie do głowy, Panno Zamykająca Ceremonię?

Zignorowałam przytyk.

- Nie bałaś się, że cię złapią? - Drogę przeciął nam szary królik.

- Strażniczki zwykle nie chodzą po północy, chyba że w wyjątkowych sytuacjach. Przez większość czasu błonia są zupełnie puste.

Arden skradała się z wyciągniętym nożem do zająca. Zamarł, gdy się zbliżyła. Nie mogłam pozbyć się wizji jej pływającej. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś, kto by to robił. Czy wchodziła do wody i machała rękami? Trzymała się czegoś? Drzewa, liny?

- Nie bałaś się, że utoniesz?

Na dźwięk mojego głosu królik dał susa w pobliskie zarośla.

- Dobra robota, Eve - mruknęła Arden, gdy wkładała nóż z powrotem za pasek. - Chętnie porozmawiałabym z tobą od serca, ale muszę zdobyć obiad. - To mówiąc, weszła między budynki i nawet nie obejrzała się za siebie.

- Sama zdobędę swój obiad. Spotkamy się w chacie! - zawołałam za nią.

Nie odpowiedziała. Szłam dalej w kierunku ciągu zrujnowanych sklepów. Stara restauracja zarośnięta była wysoką trawą, a spod pędów winorośli i warstwy mchu wystawało tylko gigantyczne żółte M. Na końcu rzędu pawilonów stał duży budynek. Mur trzymał się dobrze, ale litery podpadały. Widać było tylko „Wal Mat”. A przez całe okno wystawowe biegł wypisany sprejem napis: „Kwarantanna. Wejście na własne ryzyko”.

Kiedy na teren objęty kwarantanną wjechała ciężarówka, żeby wywieźć zdrowe dzieci, moja mama błagała, żeby mnie zabrali. Trzymałam się skrzynki na listy, chude ramionka oplótłam wokół drewnianego słupka, za wszelką cenę chciałam zostać. Ale bez skutku. Kiedy pakowali mnie do ciężarówki, mama stała w drzwiach, a z nosa ciekła jej krew. Oczy miała zapadnięte, w kolorze zgniłej śliwki. Mostek sterczał z jej chudej piersi jak wisior pokutny. Stała i machała mi na pożegnanie. Przesłała pocałunek.

Teraz, kiedy szłam przez opuszczone miasteczko, starałam się nie patrzeć na wielkie drewniane krzyże na parkingu ani na pokryte mchem kości leżące pod nimi. Ale gdziekolwiek się obróciłam, zastawałam ślady śmierci. Po drugiej stronie ulicy witryna Biura Nieruchomości Kalifornii Północnej była zabita deskami. W salonie manikiuru Suzy stały trumny. Patrzyłam właśnie na czerwony znak X na ścianie kolejnego sklepu, gdy

coś się poruszyło. Drogą szedł niedźwiadek i patrzył na mnie. Potem się znudził i zajął zardzewiałą konserwą, którą próbował otworzyć pazurami.

Od razu pomyślałam o Kubusiu Puchatku, starej książce z archiwum, którą czytała nam pani Florence, gdy byłyśmy małe. Historia opowiadała o niedźwiadku i jego przyjacielu, Krzysiu. Pani ostrzegała nas przy tym, że większość niedźwiedzi nie jest tak przyjazna, ale ten niedźwiadek wyglądał na zbyt małego, żeby mógł stanowić zagrożenie. Ciekawa byłam, czy naprawdę lubi miód, czy to tylko fikcyjna część tamtej historii.

Wyciągnęłam ostrożnie rękę, żeby go nie spłoszyć. Miś obwąchał moją dłoń wilgotnym nosem. Pogłaskałam miękką, brązową sierść i upajałam się delikatnym dotykiem.

- Jesteś zupełnie jak Kubuś - powiedziałam. Ruszył dalej, szukając innych puszek. Zastanawiałam się, czy Arden pozwoliłaby mi zabrać go ze sobą do chaty. Może mogłybyśmy go tam trochę potrzymać. Nigdy nie miałam zwierzątka.

Ponownie wyciągnęłam rękę, ale cofnęłam ją zaraz, gdy usłyszałam ostrzegawczy warkot. Na drodze pojawił się ogromny niedźwiedź zbliżający się do mnie na tylnych łapach.

Niedźwiadek podbiegł bliżej, a jego matka otworzyła pysk i obnażyła zęby. Wyprostowałam się, a włoski na karku stanęły mi dęba. Ręce zaczęły mi się trząść. Niedźwiedzica szła prosto na mnie, z opuszczoną głową, a ja ze strachu nie mogłam się ruszyć. Nastawiałam się na atak, kiedy coś uderzyło ją w pysk.

Kamień. Niedźwiedzica zawarczała i w jej głowę trafił kolejny kamień, aż przysiadła. Odwróciłam się. Obdarty, brudny chłopak siedział na czarnym koniu, a w dłoniach trzymał procę. Był opalony na czerwono i brązowo, a umięśnioną pierś umazaną miał w błocie.

- Lepiej usiądź za mną - rozkazał i wetknął procę do tylnej kieszeni spodni. - To jeszcze nie koniec.

Zerknęłam na niedźwiedzicę, która potrzęsała głową ogłuszona. Nie wiedziałam, co będzie gorsze, zostać zabita przez zwierzę czy porwaną przez dzikiego neandertalczyka na koniu. Chłopak wyciągnął rękę. Miał brudne paznokcie.

- Chodź! - ponaglił.

Podalam mu rękę i wciągnął mnie na goły koński grzbiet. Śmierdział potem i dymem.

Krzyknął na konia i pomknęliśmy zarośniętą mchem drogą. Objęłam jego muskularną pierś i odwróciłam się, żeby popatrzeć na niedźwiedzicę. Podniosła się i biegła za nami, a jej ogromne brunatne ciało trzęsło się od wysiłku.

Chłopak pociągnął za skórzane lejce i skręcił z głównej drogi pomiędzy drzewa. Niedźwiedzica była tak blisko, że chwyciła koniec końskiego ogona.

- Szybciej! Jedź szybciej! - krzyknęłam.

Koń przyspieszył, ale zwierzę wciąż było blisko i nie wyglądało na zmęczonego. Czułam, że ześlizguję się, bo uda miałam mokre od potu. Mocniej chwyciłam się chłopaka i wbiłam paznokcie w jego skórę. Pochylił się i owionął nas wiatr. Niedźwiedzica znów kłapnęła potworną paszczą.

Wychyliłam się ponad jego ramieniem i zobaczyłam wąwóz. Miał prawie półtora metra szerokości i niemal pięć metrów głębokości. Wyglądał jak stary kanał ściekowy.

- Uważaj! - krzyknęłam, ale chłopak jechał dalej, nawet szybciej niż wcześniej.

- Daj mi jechać! - wrzasnął przez ramię. Za nami mknęła rozpedzona niedźwiedzica z oczami utkwionymi w końskim zadzie.

- Nie rób tego - powiedziałam cicho, gdy zbliżaliśmy się do kanału. Jeśli nie uda nam się uciec, zwierzę pożre nas żywcem. Uwięźniemy na dnie kanału, bez możliwości

ucieczki. - Proszę, nie - powtórzyłam, ale koń już podrywał przednie nogi i jednym susem przesadzał kanał. Żołądek podszedł mi do gardła, a później wrócił na swoje miejsce. Przez sekundę nic nie ważyłam, a potem kopyta twardo uderzyły o ziemię. Wokół nóg konia rosła łąka nagietków. Udało nam się, byliśmy po drugiej stronie!

Odwróciłam się po raz ostatni przerażona, że mimo wszystko niedźwiedzica będzie za nami, ale ona spadała na dno kanału. Ostatnie, co słyszałam, to jej pełen wściekłości ryk, gdy zsuwała się po ścianach śmiertelnej pułapki i lądowała ciężko na zamulonym dnie.

Rozdział 7

Minęło trochę czasu, zanim którekolwiek z nas się odezwało.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, odsunęłam się od chłopaka, jak mogłam najdalej. Był dziwny, na pół dziki. Nie należał do wyrafinowanych typów opisywanych na przykład w Wielkim Gatsbym. Ale nie wyglądał też jak te dzikusy, których spotkałam pierwszego dnia w lesie. Poza tym uratował mi życie. Miałam tylko nadzieję, że nie zrobił tego w jakimś niecnym celu.

Miał na sobie spodnie, podarte na kolanach, a długie do ramion włosy skręcone były w dredy. W przeciwieństwie do członków gangu nie nosił broni, co trochę mnie pocieszało, ale był tak samo potężny i umięśniony jak oni.

Nie miałam pojęcia, jakie myśli rodzą się w jego głowie na temat samotnej dziewczyny, którą znalazł w środku lasu. Poluźniłam podkoszulkę, żeby nie opinała mi się na piersiach.

- Cokolwiek masz zamiar zrobić, ostrzegam, że to się nie uda - powiedziałam i wyprostowałam się, żeby wydawać się większa, niż byłam. Spojrzałam na trzy martwe króliki przewieszane przez końską szyję. Nogi miały związane sznurkiem.

Chłopak odwrócił się do mnie z uśmiechem. Był brudny, ale zęby miał białe i proste.

- A co według ciebie mógłbym planować? Z przyjemnością posłucham.

Jechaliśmy teraz starą autostradą. Metalowych barierek nie było prawie widać spod pędów winorośli. W oddali stał zawalony most.

- Chcesz odbyć ze mną stosunek - stwierdziłam.

Chłopak roześmiał się i uderzył dłońmi w końską szyję.

- Chcę odbyć z tobą stosunek? - powtórzył, tak jakby za pierwszym razem nie usłyszał.

- Tak - powiedziałam głośniej. - Ale mówię ci, że to niemożliwe. Nawet gdybyś... - zamilkłam, szukając odpowiedniej metafory.

- ...był ostatnim mężczyzną na Ziemi? - rozejrzał się po rozciągającym się wokół pustkowiu i skrzywił się. Miał oczy w kolorze jasnozielonych winogron.

- Dokładnie tak. - Skinęłam głową. Cieszyłam się, że rozumie, co mówię i potrafi wypowiadać się poprawną angielszczyzną. Nie mieliśmy takich problemów komunikacyjnych, jakich się spodziewałam.

- To dobrze - stwierdził - bo tak czy siak nie chciałbym odbywać z tobą stosunków, nie jesteś w moim typie.

Roześmiałam się, ale przestałam, gdy zdałam sobie sprawę, że on nie żartuje. Patrzył wprost przed siebie, gdy sprowadzał konia z autostrady na zarośniętą mchem ulicę, w której zostawały dziury po kopytach.

- Co to znaczy, że nie jestem w twoim typie? - zapytałam.

W zarazie zginęło o wiele więcej kobiet niż mężczyzn. Jako jedna z nielicznych kobiet w Nowej Ameryce, do tego wykształcona i cywilizowana, myślałam, że jestem w typie każdego.

Chłopak popatrzył na mnie i wzruszył ramionami.

- A tam - powiedział.

A tam? Byłam inteligentna, pracowita. Mówiono mi, że jestem piękna. To przecież ja, Eve, dziewczyna wygłaszająca mowę na ceremonii zakończenia szkoły, a jedyne, co on był w stanie powiedzieć, to „a tam”?!

Zadrżały mu ramiona. Spojrzałam mu w twarz i zdałam sobie sprawę, pierwszy raz w czasie naszej podróży, że nabija się ze mnie. Żartuje.

- Uważasz, że jesteś bardzo zabawny, tak? - zapytałam i odwróciłam się, żeby nie widział rumieńca na moich policzkach.

Ściągnął lejce i skierował konia w stronę zachodzącego słońca. Kiedy chowało się za horyzontem, niebo było posiniaczone na fioletowo i niebiesko. Pojawiły się też szare chmury, a towarzyszyły im dochodzące z oddali dźwięki grzmotów.

- A teraz lepiej odwieź mnie z powrotem tam, skąd mnie zabrałeś. Czeka na mnie... mój bardzo wysoki i potężny przyjaciel. Jest bardzo straszny i... zabijaka z niego - dodałam, powtarzając słowo używane przez członków gangu.

Wciąż śmiał się do siebie.

- Przecież jedziemy z powrotem.

- Tak, wiedziałam od początku - powiedziałam, rozglądając się wokół. Nie byłam pewna, gdzie jesteśmy. Nie dojechaliśmy jeszcze do Wal Mat. Nie było też widać drogi. Dwie żółte tyczki sterczały z ziemi po naszej lewej stronie, oznaczając miejsce, gdzie kiedyś znajdowało się boisko do futbolu amerykańskiego, teraz zarośnięte kukurydzą.

- Jest coś, czego nie wiesz? - zapytał chłopak, uśmiechając się ponownie. Odwróciłam się i udawałam, że nie widzę dołeczka na jego prawym policzku ani tego, że oczy tak mu błyszczą, jakby były podświetlane od środka. Pani Agnes nazwała to kiedyś złudzeniem porozumienia. Czy to właśnie to?

Przez jakiś czas w milczeniu słuchaliśmy grzmotów, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie po raz ostatni widziałam Arden. Rozpoznałam znajomą huśtawkę z opon, od których odłaziła guma. Ulicą przebiegł dziki kot, brzuch prawie włókł po ziemi.

Chłopak zlustrował zarośnięte podwórze i wskazał na drobną figurkę kryjącą się za krzakami.

- Domyślałam się, że to jest twój „bardzo wysoki i potężny przyjaciel”?

Arden powoli wyszła z kryjówki. Kolana spodni miała mokre i ubłocone, jakby czołgała się po ziemi.

Zeskoczyłam z końskiego grzbietu i oczekiwałam, że zasypie mnie pytaniami, ale była zbyt zajęta przyglądaniem się chłopakowi, żeby w ogóle zwrócić na mnie uwagę. Przez chwilę wszyscy byliśmy cicho i jednym dźwiękiem wypełniającym przestrzeń był głośny oddech konia. Arden trzymała rękę na trzonku noża.

Chłopak pokręcił głową.

- Ty też masz obsesję? Niech zgadnę, dopiero co wyszłyście ze szkoły? - Jednym płynnym ruchem zeskoczył z konia. Znów zagrzmiało i pogładził końską szyję, żeby uspokoić zwierzę. - W porządku, Lila - szepnął.

- Co wiesz o szkole? - zapytała Arden.

- Więcej niż myślisz. Nazywam się Caleb. - Wyciągnął rękę do Arden. Nie drgnęła, wpatrując się w brud pod jego paznokciami i w załamaniach skóry na kłykciach. Potem, powoli, rozluźniła ramiona i zsunęła dłoń z rękojeści noża. Patrzyłam to na niego, to na nią.

Oswajał ją.

- Arden - syknęłam, bo nie chciałam, żeby go dotykała. Jej wzrok spoczął na tatuażu, który miał na piersi: koło z herbem Nowej Ameryki. - Chodźmy robić obiad. - Wiedziałam, że to nagłe pojawienie się mężczyzny zaskoczyło ją tak samo jak mnie, ale nie mogłyśmy dłużej tak stać, w odległości kilkunastu centymetrów od niego. Bezbronne. Patrzyłam na drogę i przywoływałam Arden do siebie. Ale się nie ruszyła.

- Nic nie upolowałam - powiedziała wreszcie i oddaliła się od Caleba. Patrzyła na trzy króliki zwisające z końskiej szyi. Potem rozwiązała worek, który miała przytroczony do paska, i pokazała mi, że jest pusty.

Burzowe chmury były coraz bliżej. Od grzmotów drżało powietrze. Kopnęłam kamień i zaczęłam żałować, że nie zabrałam małemu niedźwiadkowi tych zardzewiałych puszek. Dziś czeka mnie kolejny lodowaty, mokry i głodny wieczór.

Caleb wspiął się z powrotem na konia.

- Gdybyście miały ochotę się przyłączyć, w moim obozie jest mnóstwo jedzenia.

Roześmiałam się, ale Arden patrzyła to na mnie, to na Caleba, to na króliki.

- Nie... - mruknęłam pod nosem. Złapałam ją za rękę i odciągnęłam, ale nogi jakby jej wrosły w zakurzoną drogę.

- Jakiego jedzenia? - zapytała.

- Każdego. Są dziki, króliki, jagody. A kilka dni temu zabiłem jelenia. - Wskazał ręką bliżej nieokreślony kierunek. - To mniej niż godzina drogi stąd.

Wycofywałam się, krok za krokiem. Ale Arden rozmyślała, przebierając palcami w skołtunionych, czarnych włosach. Nie dawała mi się.

- Skąd mamy wiedzieć, że możemy ci zaufać?

- Znikąd. - Caleb wzruszył ramionami. - Ale nie macie konia ani jedzenia, a zbliża się burza. Ryzyko może się opłacić.

Arden popatrzyła w szare niebo, a potem na pusty worek przy pasku.

Po chwili wyswobodziła się z mojego uścisku. Obeszła konia od tyłu i wspięła się na jego grzbiet.

- Skorzystam z twojego zaproszenia - powiedziała, przyjmując wygodną pozycję.

Pokręciłam głową i nie poruszyłam się.

- Nie ma mowy, nie jedziemy do twojego „oboju”. - Zrobiłam palcami znaki cudzysłowu. Byłam pewna, że to pułapka.

- Jak sobie życzysz. Ale na twoim miejscu nie chciałbym zostać tu sam. Na pewno nie w tę pogodę. - Caleb wskazał na gęste burzowe chmury, które zbliżały się coraz szybciej, gotowe zalać las ścianą wody, a potem zawrócił konia i ruszył drogą. Arden pomachała mi na do widzenia, ale nawet nie odwróciła głowy.

Spojrzałam na pole, przez które tu przyszliśmy. Słoneczniki przechyliły się na jedną stronę, przyginane do ziemi przez wiatr. Nie wiedziałam, w którą stronę należało iść do domu ani jak daleko się znajdował. Nie umiałabym rozpalić ognia, nie potrafiłam polować i nie miałam własnego noża.

Wbiłam paznokcie w skórę nadgarstka.

- Zaczekajcie! - zawołałam i pobiegłam za koniem. -
Czekajcie na mnie!

Rozdział 8

To była najciemniejsza noc, jakiej doświadczyłam w życiu.

Jedynym źródłem światła były błyskawice przecinające czarne niebo. Byliśmy w drodze już od ponad dwóch godzin. Jechałam przyciśnięta do Arden i zadowolona, że oddziela mnie od Caleba. Kiedy jechaliśmy błotnistą drogą, rozważałam wszystkie możliwe scenariusze tego, w jaki sposób Caleb może pozbawić nas życia albo wmanipulować w robienie rzeczy, których nie powinnyśmy robić. Wśród kłamstw, jakimi karmiły nas nauczycielki, musiało być ziarno prawdy. Po tym, kiedy zobaczyłam członków gangu obdzierających ze skóry żywe zwierzę, wiedziałam już, że mężczyźni są dokładnie tak okrutni i nieczuli, jak nam mówiono. Myślałam o biednej Annie Kareninie i o tym, w jakie tarapaty wpędzili ją jej mąż Aleksy i jej kochanek Wroński. Pani Agnes odczytała nam na głos scenę, w której Anna popełnia samobójstwo, i kręcąc głową, powiedziała:

- Gdyby tylko wiedziała to, co wy wiecie. Gdybyż tylko!

Nie zostaniemy oszukane. Po dotarciu do obozu Caleba najemy się, a potem przeczekamy burzę. Nie zasnę. Przesiedzę noc oparta o ścianę i będę nasłuchiwać. Rano, kiedy niebo będzie znów niezmaczenie lazuru, odejdziemy. Ja i Arden. Same.

- Skąd wiesz o szkole? - zapytała Arden. Nie odzywała się wcale, nie licząc pytania o trasę, którą jechał.

Uniosłam głowę opartą o jej plecy, bo ich rozmowa mnie zainteresowała.

- Wiem o szkole więcej, niż chciałbym wiedzieć. - Caleb patrzył na drogę przed sobą. - Ja też jestem sierotą.

- A więc są też szkoły dla chłopców? - dopytywała Arden.
- Wiedziałam, że muszą być. Gdzie?

- Sto pięćdziesiąt kilometrów na północ. Ale to nie szkoły, raczej obozy pracy. Wiem, co widziałyście w szkole, to niewyobrażalne, dziewczyny wykorzystywane do rozmnażania... Ale wiedźcie... - Caleb zamilkł na moment. Mówił powoli i z przekonaniem, jak gdyby znał tę tajemnicę od lat - ...że chłopcy też cierpieli. Być może nawet bardziej.

Nie mogłam się powstrzymać od parsknięcia. Zawsze to kobiety cierpiały z rąk mężczyzn. To mężczyźni rozpoczynali wojny. Zatruli powietrze i morza dymem i ropą, rujnowali systemy ekonomiczne i przepełniali dawne więzienia. Ale Arden sięgnęła do tyłu i uszczypnęła mnie w udo tak mocno, że aż pisnęłam.

- Przepraszam za nią - powiedziała. - Była w szkole kujonką.

Caleb pokiwał głową, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. Potem pochylił się do przodu i skłonił konia do szybszego biegu. Wbiegliśmy galopem na strome wzgórze. Gałęzie drzew rozciągały się ponad zarośniętym trawą zboczem i rzucały złowrogie cienie. Deszcz padał coraz mocniej. Krople były jak małe kamyczki uderzające w moją skórę.

- O nie. - Caleb zatrzymał konia w błocie. Spojrzałam tam, gdzie i on patrzył. Jakieś sto metrów przed nami stał rządowy dżip. Nawet w strugach deszczu dobrze widziałam jego czerwone światła.

Caleb usiłował zawrócić konia, ale było za późno. Promień światła przedarł się przez mrok i zaświecił nam prosto w twarz.

- Zatrzymać się! To rozkaz Króla Nowej Ameryki! - Rozległ się głos wzmocniony przez megafon.

- Jedź - zarządziła Arden. - Szybko!

Caleb ściągnął lejce i pomknęliśmy w kierunku, z którego przybyliśmy. Nie mogłam się powstrzymać od oglądania się za siebie. Dżip też już zawracał, a spod jego tylnych kół

pryskało błoto. Ruszył za nami, a przednie światła oświetlały nas od tyłu.

- Zatrzymajcie się z rozkazu Króla albo użyjemy siły!

- Nie - szepnęłam do siebie i przycisnęłam się mocniej do mokrych pleców Arden. - To nie może się zdarzyć.

Może to wina wody, błota albo nadprogramowej trzeciej osoby, ale koń biegł wolniej niż poprzednio. Dżip nas doganiał.

- Nie możemy jechać tą drogą - powiedział Caleb. - Złapią nas. - Popatrzył na bok, w gęsto zarośnięty las. - Trzymajcie się! - krzyknął.

Gwałtownie przywarłam do Arden. Koń zeskoczył z głównej drogi i w jednej chwili znaleźliśmy się w gęstym lesie. Sztywne gałęzie drapały mnie po ramionach i plecach.

- Pochylcie głowy! - wrzasnął Caleb.

Zniknęły światła dżipa. Auto zatrzymało się na drodze.

- To tylko kawałek dalej - zapewnił nas Caleb, kiedy podskakiwaliśmy na nierównej powierzchni. Nie wiedziałam, czym jest owo „to”, ale miałam nadzieję, że szybko będziemy na miejscu.

Koń kluczył między drzewami, aż w końcu zatrzymał się nad brzegiem szerokiej na dziesięć metrów rzeki. Caleb zeskoczył na ziemię i pomógł zejść mnie i Arden. Klepnął konia w zad i ten ruszył. Przez moment w lesie panowała cisza.

Obejrzałam się w tył. Światła dżipa świeciły pośród zamglonej nocy. Trzasnęły drzwiczki.

- Tędy! - krzyknął ktoś.

- Dlaczego chcą cię złapać? - zapytałam.

Caleb pociągnął nas za głaz leżący na brzegu rzeki, za którym się schowaliśmy.

- Nie mnie - powiedział. Popatrzyłam na niego zdumiona.
- Chcą złapać was. - Z tylnej kieszeni spodni Wyciągnął kawałek papieru.

Arden wyrwała mu go z rąk. Z czarno - białego zdjęcia patrzyła na nas dziewczyna z długimi ciemnymi włosami i wydatnymi ustami w kształcie serca. Pod zdjęciem widniał podpis: „Eve, 170 centymetrów wzrostu, niebieskie oczy, brązowe włosy. Ma zostać złapana i żywcem dostarczona Królowi. Jeśli znasz miejsce jej pobytu, zawiadom placówkę okręgu północno - zachodniego". Arden trzymała papier w rękach dopóty, dopóki wielka kropla nie spadła dokładnie na moim imieniu.

Caleb wyrzwał zza głazu i patrzył na zakopanego w błocie dżipa.

- Znalazłem to dziś rano na drodze.

Zabrałam Arden kartkę i patrzyłam na swoją twarz. To było moje zdjęcie z dyplomu ukończenia szkoły - jedyne zdjęcie, jakie kiedykolwiek mi zarobiono. W zeszłym miesiącu przyjechała jakaś pracownica rządowa, ustawiła nas na zewnątrz w szeregu i każdej zrobiła zdjęcie. Stałam na brzegu jeziora, a za moimi plecami majaczył budynek bez okien.

- Ale dlaczego ścigają mnie? Arden też uciekła. Caleb spojrział w dół i jego twarz skryła się za skołtunionymi brązowymi włosami.

- Co jest? - zapytała Arden. - O co chodzi? Otarł deszcz z policzków.

- W Mieście Piasku mówi się, choć początkowo myśleliśmy, że to plotka - odnalazł moje oczy - że Król chce mieć dziedzica.

Arden pokręciła głową. Też wpatrywała się w zdjęcie.

- O nie... - wymruczała.

- Co? O co chodzi? - zdenerwowałam się, a serce w panice trzepotało mi w piersi.

Arden spojrzała z powrotem na drogę, gdzie między drzewami widać było przemieszczające się światła reflektorów.

- „Eve jest jedną z najlepszych i najinteligentniejszych uczennic w historii szkoły. Jest piękna, mądra i taka posłuszna”. - Słowa dyrektorki zabrzmiały w ustach Arden zupełnie inaczej. Złowrogo. - Tak się kończy bycie zdobywczynią Medalu za Zasługi. I tak nie posłabyś do tego budynku, Eve. Ty należysz do Króla.

Zemdliło mnie. .

- Co to znaczy należysz?

- Miałaś rodzić jego dzieci, Eve. - Arden prawie się roześmiała.

Zdjęcia Króla wisiały na korytarzach szkoły. Był starszy, miał przesuszone siwe włosy i wąskie wargi. Czoło pocięte zmarszczkami. Przypomniałam sobie, jak Maxine mówiła, że być może Król przyjedzie na ceremonię zakończenia szkoły. Nagle wydało mi się prawdopodobne, że rzeczywiście miał zamiar przybyć... po mnie.

- Zresztą nic dziwnego. Jesteś idealnym materiałem na matkę. Wykształcona, wychwalana przez nauczycielki. .. - Arden przycisnęła palce do skroni.

Zgniotłam ulotkę w dłoni. Oddychałam szybko, a płuca miałam ściśnięte. Nie chciałam rodzić niczych dzieci, a już na pewno nie królewskich. Ale najwyraźniej decyzja została już podjęta.

Caleb znów wysunął się zza kamienia i obserwował ludzi Króla. Szli przez las, a dźwięk łamanych przez nich patyków docierał aż do nas.

- Nie jesteśmy tu bezpieczni - powiedział i spojrzał na rzekę. - Chodźcie. Szybko. - Ruszył w kierunku rzeki i wpadł

do rwącej wody, a deszcz spływał po jego nagich plecach. Arden szła za nim. Chwilę zajęło mi zrozumienie, że chce przepłynąć rzekę.

Przemarznięta skuliłam się na brzegu i patrzyłam, jak Arden bez strachu skacze do wody. Za mną światła latarek przeczesywały las. Głosy były coraz bliżej.

- Chodź! - syknął Caleb. Zatrzymał się, woda sięgała mu do piersi, puścił Arden przodem. Płynęła, wynurzając się tylko po kolejny łyk powietrza.

Caleb zawrócił po mnie.

- Szybko - zarządził i złapał mnie za ramię. Woda się pieniała. Arden płynęła w dół rzeki unoszona przez prąd.

- Nie umiem pływać - wyznałam i zgarnęłam z policzków mokre włosy. Skrzywiłam się, gdy Arden wdrapała się na drugi brzeg. Jej ubranie i plecak były przemoczone, ale nic jej się nie stało. - Nie wiem, jak to zrobić - dodałam drżącym głosem. Żołnierze Króla byli już prawie na brzegu, a światła ich latarek dosięgały już wody.

- Ale ty idź - wykrztusiłam. Nie mogłam powstrzymać szloch, a na piersiach ciążyła mi poniesiona klęska. - No idź. - Popchnęłam Caleba.

Ale on ani drgnął. Spojrzał na cienie w lesie, a potem na mnie. Wziął mnie za rękę.

- Wszystko w porządku, Eve - powiedział. Przestałam płakać, zaskoczona ciepłem jego skóry.

Był tak blisko, że czułam każdy z jego miękkich wydechów. Zielone oczy miał jasne, dodatkowo rozświetlone przez latarki.

- Nie zostawię cię.

Rozdział 9

Caleb pociągnął mnie wzdłuż brzegu. Trzymał mnie mocno za rękę.

Pobiegliśmy między skały i połamane gałęzie. Słyszałam mężczyzn zmagających się za nami z leśną gęstwiną.

- Biegną w górę rzeki! - krzyknął jeden z nich.

Caleb nie zwalniał i wydawało się, że wyczuwa każdy szczegół śliskich kamieni, każdą kępkę mchu i każdy zgniły patyk. Obserwowałam jego nogi i starałam się stawiać stopy dokładnie na jego śladach.

Skreśliśmy i światła zniknęły. W deszczu nie mogłam się zorientować, co znajduje się przed nami, ale leżało to na brzegu. Wyglądało jak gigantyczny martwy karaluch. Caleb biegł w jego kierunku. Helikopter widziałam tylko raz, w starej książce, ale udało mi się rozpoznać śmigło i kabinę w kształcie fasolki.

- Szybko, wsiadaj. - Wyłamał pozostałości okna.

Wcisnęłam się do przerdzewiałego samolotu i zniknęłam w cieniu. Caleb wsunął się za mną; niechcący przebił nogą podłogę.

- Nadchodzą - powiedział i pociągnął mnie na przednie siedzenia. Deszcz padał na popękaną przednią szybę i wypełniał wnętrze nieustającym dudnieniem.

- Musimy się schować - szepnęłam. Błądziłam rękami po gnijącym wnętrzu helikoptera. Wymacałam coś miękkiego, sięgającego mi mniej więcej do pasa - widocznie fotel pasażera połamał się w czasie upadku. Wczołgaliśmy się pod niego, a dźwięk deszczu tłumił nasze oddechy.

W ciemności, pod cuchnącym siedzeniem skuliłam się obok Caleba świadoma tego, w ilu miejscach moje ciało styka się z nim. Ramię przy ramieniu, noga przy nodze. Ta bliskość była niepokojąca, ale się nie poruszyłam.

Głosy żołnierzy stawały się coraz głośniejsze. Światło latarki padło na dach helikoptera i potłuczone szkło zalśniło. Caleb, prawie niewidoczny w ciemności, przycisnął palec do ust.

- Pobiegli do lasu. Przeszukam brzeg i spotkamy się na drodze - powiedział ktoś z bardzo bliska. Światło jego latarki wdarło się do wnętrza helikoptera, oświetlając najpierw kupę liści. Potem omiotło powgniataną ścianę i szkielet pilota, wciąż przypięty pasami do siedzenia. W końcu spoczęło na moim prawym bucie, jedynej widocznej części mnie.

Odejdź, zaklinałam w myślach, pragnąc, by nie patrzył na mój but dłużej, to nic takiego. Usłyszałam drugi głos, z oddali. Brzmiał jak pytanie.

- Nie - odparł po chwili ten bliżej nas. Snop światła zniknął z mojej stopy. Usłyszałam oddalające się kroki, a potem zapadła cisza. Zostaliśmy tam skurczeni pod siedzeniem, dopóki deszcz nie ustał.

- Tu może być jedzenie - odezwał się w końcu Caleb. Wyprostował nogi, a potem ściągnął z nas fotel. - Pomóż mi szukać.

Rozglądałam się po ciemnym wnętrzu, pilnując, żeby nie zbliżyć się do szkieletu. Po chwili znalazłam linę i dużą puszkę.

- A to? - zapytałam.

Caleb obejrzał pudełko. Rozległ się trzask, a potem pojawiło się światło.

- Zobacz - ucieszył się. - Latarka.

Złapał za korbkę z boku latarki i pociągnął. Światło pojaśniało.

Obserwowałam jego twarz, gdy wysypywał zawartość pudełka na ziemię i sortował blaszane puszki i srebrne woreczki. Woda zmyła większość brudu z jego skóry, która była teraz jasna i lśniąca, na nosie miał kilka piegów.

Patrzyłam na jego ostre rysy, kości widoczne pod skórą. Wiedziałam, że powinnam się go bać, ale byłam zafascynowana. Jakiego to słowa użyła pani Agnes, gdy opowiadała o swoim mężu? Pip i ja śmiałyśmy się potem z niego. Caleb, nawet z brudnymi paznokciami i splątanymi włosami, był... przystojny.

Podał mi mały woreczek.

- Czemu się uśmiechasz? - zapytał, unosząc pytająco jedną brew.

- Nie uśmiecham się - powiedziałam szybko. Podniosłam woreczek do ust i napiłam się ciepłej wody.

- Lubisz uciekać przed grupą żołnierzy? - Przesunął dłoń po swojej opalanej skórze, ścierając krople deszczu z rąk, ramion i piersi. - Bawi cię to?

- Daj spokój.

Caleb otworzył puszkę z jakąś brązową papką.

- A może - zaczął, oblizując wieczko - uśmiechałaś się do mnie?

- Zdecydowanie nie. - Patrzyłam, jak podnosi puszkę do ust i wylizuje zawartość. Przeżuwał głośno, z otwartymi ustami. W jednej chwili czar przysł.

Odwróciłam się.

- Jak apetycznie - mruknęłam.

- Nie masz ochoty? W takim razie możesz dostać suchą fasolę. - Rzucił mi inną puszkę. W milczeniu jadłam fasolę twardą jak kamyki, ale on wciąż na mnie patrzył. - A więc ty i Arden jesteście... - przekrzywił głowę - ...przyjaciółkami? Czy nie bardzo?

Włożyłam do ust następną fasolkę i czekałam, aż trochę zmięknie. Dokładnie pamiętałam tę chwilę, gdy stwierdziłam, że Arden jest tak bardzo inna, że nigdy nie będziemy przyjaciółkami. Ścigałyśmy się na błoniach. To był nasz szósty rok w szkole i tego ranka Pip dostała okresu. Nie była

pewna, jak się sprawdzą podpaski, które dała jej doktor Hertz, ale ja i Ruby przekonałyśmy ją, żeby poszła biegać, choć nie chciała. Kiedy stała na brzegu jeziora, czekając na swoją kolej, Arden ściągnęła jej spodenki. Do tej chwili dawałam jej wiele drugich szans. Nawet gdy pobiła się w łazience z Maxine i rozcięła jej wargę, łudziłam się, że to przypadek. Broniałam jej przed innymi dziewczętami, gdy napyskowała pani Florence i powiedziała, że ta nie jest jej matką, ona ma matkę żyjącą za murami szkoły i nie potrzebuje innej. Nawet podrzuciłam jej jagody do pokoju odosobnienia. Ale to, co zrobiła Pip, przepełniło czarę.

- Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolona! - wrzasnęłam, kiedy zapłakana Pip uciekła do dormitorium. - Nareszcie choć przez sekundę ktoś był żałośniejszy od ciebie!

A potem upewniłam się, że wszyscy wiedzą, jak bardzo nią gardzę i że ona nic dla mnie nie znaczy. W niedługim czasie w ogóle nikt nie odzywał się do Arden. Nie słuchał nawet jej opowieści o pięknym domu i rodzicach, którzy pracowali w Mieście Piasku.

Połknęłam fasolę nareszcie na tyle miękką, że bezboleśnie ześlizgnęła się w dół przełyku.

- Nie, nie powiedziałabym, że jesteśmy przyjaciółkami.

Caleb oparł się o tył siedzenia pilota i podrapał się po głowie.

- To dlatego popłynęła. Ma cię....

- Tak, ma mnie gdzieś - zgodziłam się. - Arden martwi się wyłącznie o siebie. Zawsze taka była.

Zaskoczony Caleb patrzył na mnie w milczeniu. A potem pochował puste puszki do pudełka. Wystawił głowę za okno i się rozejrzał.

- Powinniśmy zostać tu na noc. Może znowu zacząć padać, a żołnierze i tak tu nie wrócą, dopóki się nie rozwidni. Może jutro dołączy do nas Arden.

- Nie dołączy - mruknęłam pod nosem. Z trudem skłoniłam ją do towarzyszenia mi wcześniej, a kiedy już wie, że jestem celem numer jeden, biegnie pewnie przez las w desperackim pragnieniu oddalenia się ode mnie na jak największą odległość.

Wyciągnęliśmy srebrne foliowe koce z woreczków i ułożyliśmy się po przeciwnych stronach kabiny.

- To tylko kilka godzin, niedługo znów będziemy w drodze, nie bój się.

- Nie boję się - zapewniłam go.

Latarka dawała coraz mniej światła, aż wreszcie zupełnie zgasła.

- To dobrze - powiedział.

Kiedy zasnął, znów myślałam o Mieście Piasku i mężczyźnie, który czekał tam na mnie. Król kojarzył nam się z bezpieczeństwem, był symbolem siły. Ale jego portret wiszący w szkole wydawał mi się teraz groźny, prześladowały mnie obwisłe policzki, a paciorkowate oczka zdawały się mnie śledzić. Dlaczego wybrał do rozmnażania właśnie mnie, o trzydzieści lat młodszą? Dlaczego mnie, spośród wszystkich uczennic szkoły? Nauczycielki mówiły, że jest wyjątkiem, jednym mężczyzną, któremu można zaufać. Jeszcze jedno kłamstwo.

Wiedziałam, że Król nie przestanie mnie szukać. Wiedziałam, że nie odpuści. Nie po tym wszystkim, co słyszałam o jego oddaniu Nowej Ameryce. Dyrektorka przyciskała ręce do serca, gdy mówiła o tym, że po zarazie ocalił ludzi od chaosu. Mówił, że nie ma czasu na dyskusje, musimy iść naprzód, bez zwłoki.

- Jedna szansa - powtarzała za nim dyrektorka, a w jej oczach lśniły łzy patriotyzmu. - Mamy tylko jedną szansę na odrodzenie.

Moje ubrania były wciąż wilgotne. Wyżełam koszulkę i spodnie, a woda spływała na podłogę. Kiedy byłyśmy małe, Ruby raz gonila mnie po korytarzach przebrana za potwora z długimi pazurami i zgrzytającymi zębami. Krzyczałam, nurkowałam między koszami na śmieci i zatrzaśkiwałam za sobą drzwi, usiłując uciec. Błagałam, żeby dała spokój, krzyczałam przez ramię, ale ona zbyt dobrze się bawiła, żeby przestać. Kiedy mnie złapała, serce waliło mi w piersi. Ta zabawa była zbyt realistyczna. Nigdy nie zapomniałam tego koszmaru bycia ściganą.

Naciągnęłam cienki koc pod brodę i zamknęłam oczy, marząc o moim łóżku. Kołdra była zawsze odwinięta w zapraszającym geście. Pragnęłam poczuć znajomy zapach przygotowywanej na obiad dziczyzny albo usiąść razem z Pip i Ruby przy oknie biblioteki i słuchać zakazanych kaset Madonny, które znalazłyśmy ukryte za tomem Sztuka Ameryki - historia kultury. Niemal czułam ciężar działającego na baterię odtwarzacza, który trzymałam w dłoni i słuchawki z gąbki na uszach, gdy usiłowałam zapamiętać tekst, opowiadający o mężczyźnie na wyspie. Myślałam właśnie o Pip, która wyginała się w różne strony w tańcu, gdy usłyszałam na zewnątrz hałas.

Wcisnęłam się w kąt. Caleb spał, na jego twarzy widać było zmęczenie. Znów to usłyszałam, trzask łamanych gałęzi.

- Caleb? - szepnęłam.

Nie obudził się.

Zamknęłam oczy, a dźwięki się zbliżały. Zakryłam twarz kocem i zeszywniałam ze strachu. Szelest. Łamane gałązki. Niemożliwy do pomylenia z niczym odgłos kroków w błocie. Kiedy ściągnęłam z twarzy koc, zabrakło mi tchu. Nie mogłam się ruszyć. Na zewnątrz stała jakaś postać, niecały metr ode mnie, oświetlona przez księżyc.

Patrzyła wprost na mnie.

Rozdział 10

Koc zsunął mi się z twarzy, a ja nie śmiałam go podciągnąć. Bałam się poruszyć, żeby nie zostać zauważona. Po przeciwnej stronie kabiny Caleb przewrócił się na drugi bok i rozkołysał metalową karoserię. Postać zrobiła jeszcze krok w naszą stronę i położyła dłoń na wyłamanych drzwiach. Wykrzywiłam się, przeczuwając, co zaraz nastąpi: ten człowiek wyjmie zza paska zimny pistolet i kajdanki, którymi skuje mi ręce.

- Eve? - wyszeptał znajomy głos. Wyrzałam przez popękane okno: Arden była zupełnie mokra, a włosy kleiły jej się do twarzy. W bladym świetle widziałam jej ściągniętą od niepokoju twarz. - Jesteś tam? Wszystko dobrze?

- To ja. - Stałam w świetle księżyca. - Nic mi nie jest.

Wdrapała się do wnętrza helikoptera, a jej stopy zakopały się w liściach. Patrzyła to na mnie, to na skulonego Caleba, jak gdyby jakieś zrodzone w jej umyśle pytanie wreszcie znalazło odpowiedź. Potem usiadła na fotelu.

- Wróciłaś... - Zapaliłam latarkę i spojrzałam na Arden. Trzęsa się z zimna i ociekała wodą, jakby dopiero co wynurzyła się z rzeki. Podałam jej mój koc.

Arden pogrzebała w metalowym pudełku i rozerwała paczkę suszonego jedzenia.

- No co - wzruszyła ramionami - przecież muszę coś jeść.
- Przyssała się do paczki z suszoną marchewką i przestała zwracać na mnie uwagę.

- Czy ty - skuliłam się, gdy zaczęłam mówić - się o mnie martwiłaś?

Arden przestała jeść. Zerknęła przez ramię na Caleba.

- Nie - odpowiedziała szybko. - Ale nie byłam pewna, czy jesteś z nim bezpieczna.

Chciałam jej powiedzieć, że jeśli chciała się upewnić, że jestem bezpieczna, to znaczy, że na moje pytanie powinna

odpowiedzieć twierdząco, bo martwiła się o mnie, ale się powstrzymałam. Patrzyłam na jej przemoczone ubranie i zastanawiałam się, czy niesprawiedliwie ją oceniłam. Może była kimś więcej niż tylko dziewczyną, która przez wszystkie lata szkoły dowodziła, że woli jeść w samotności, niż zadawać się z nami.

Wyrzuciła pustą srebrną torebkę i beknęła.

- Pewnie chcesz z powrotem swój koc? - zapytała i podała mi go. Wisiał między nami jak srebrna kurtyna.

W końcu pokręciłam głową:

- Trzymaj.

Latarka przestawała działać, bateria słabła. Błada twarz Arden była ostatnim, co widziałam, zanim światło zgasło i zasnęłam.

Następnego ranka Caleb zwalczył wysoką trawę, uderzając w nią kijem. Czekaliśmy, aż jego koń powróci nad rzekę, ale kiedy słońce wstało, musieliśmy się zbierać.

- Obóz jest o dzień marszu stąd - powiedział Caleb. - Przy odrobinie szczęścia dotrzemy tam, zanim zapadnie zmrok.

Szliśmy wzdłuż porośniętej mchem drogi. Słońce wyzwoliło się z różowo - żółtych oków świtu i niebo skąpane było w bieli.

- Nie możemy długo zostać w obozie - stwierdziłam i odwróciłam się, żeby porozmawiać z Arden. - Zrobimy zapasy, ale potem musimy wyruszyć do Kalifii.

Spotkanie z królewskim wojskiem nie dawało mi spokoju. Nawet teraz, wczesnym rankiem, bez śladu dżipa na horyzoncie, co kilka metrów oglądałam się za siebie. Krzywiłam się na dźwięk zawodzących nad głową ptaków.

Arden przegoniła muchę, która zataczała wokół niej kręgi.

- Nie musisz nic mówić - mruknęła, a potem kaszlnęła nieładnym, mokrym kaszlem. - Czy ta ścieżka będzie w końcu

wygodniejsza? - zapytała, odsuwając sprzed twarzy kłującą gałązkę.

- Jesteśmy coraz bliżej. - Caleb zanurkował pod niską gałąź. - Uważajcie. - Spojrzał w niebo, robił to przez cały dzień.

Zanim ruszyliśmy dalej, czekałyśmy z Arden, aż skończy grzebać patykami w kurzu. Mierzył długość ich cieni i porównywał z upływającymi minutami. Potem wiedział, dokąd iść, jak gdyby komunikował się z ziemią w jakimś dziwnym języku, którego my nie rozumiałyśmy.

- Patrzysz na nie jak na zegarek. - Wskazałam na słońce.

- To jest mój zegarek. A także kompas i kalendarz. - Potem przytknął palce do podbródka w udawanym geście zdziwienia i powiedział: - No proszę, jednak jest coś, czego nie wiesz.

Zerknęłam za siebie, na Arden. Była nieobecna i w zamyśleniu wydłubywała brud spod paznokci. Wiedziałam, że same nie byłybyśmy tak bezpieczne, jak z Calebem. Został ze mną na brzegu rzeki, ukrył mnie w helikopterze, a wszystko z powodu, którego nie rozumiałam. Nie znałam jego motywacji ani nie byłam pewna, czy możemy mu bezgranicznie zaufać. Nie podobało mi się, że ze mnie kpił i zeszłej nocy przygwoździł mnie pytaniami, na które wcale nie chciałam odpowiadać.

- Słuchaj, Caleb - zaczęłam, akcentując jego imię. - Jesteśmy ci wdzięczne za pomoc, ale o nią nie prosiłyśmy.

- Wiem - odparł. - Już mi o tym przypomniałaś. Godzinę temu. I rano. I kiedy zgodziłaś się pójść do obozu. Zdrzemniesz się, zabierzesz jedzenie i potem odprowadzę cię bezpiecznie na drogę numer 80, żebyś mogła ruszyć do Kalifii, zrozumiałem.

Prowadził nas teraz inną drogą, na końcu której stał rząd zdemolowanych domów. Przepłynęły przez nie fale powodzi i

zostawiły brunatne linie jakieś pół metra nad frontowymi drzwiami. Na ceglany murze wypisana była wiadomość: „Umieram, proszę o pomoc”.

- Kto jest głodny? - zapytał Caleb.

Zanim zdążyłyśmy odpowiedzieć, wszedł po rozpadających się schodkach i zniknął w jednym z budynków.

- Chyba tu zjemy lancz... - mruknęła Arden i poszła za nim.

W środku podłoga była wypaczona i połamana. Ściany pokrywała czarna pleśń. Naciągnęłam koszulkę na nos, żeby choć trochę odizolować się od smrodu. W rogu pokoju stała ogromna rama ze szklanym frontem spękanym na kształt gwiazdy.

- Co to? - rzuciłam.

Caleb przeszedł przez salon, przestępując nad nasiąkniętymi wodą książkami i wilgotnymi, gnijącymi śmieciami. Arden i ja powoli szłyśmy za nim.

- Telewizor - powiedział, kiedy dotarliśmy do drzwi do kuchni.

Skinęłam głową, ale nie bardzo wiedziałam, co znaczy to słowo. Urządzenie wyglądało, jakby było bardzo cenne. Przed nim stała kanapa, cała rodzina musiała więc siedzieć i na nie patrzeć.

Każda kuchenna szafka stała otworem, a kredensy pełne były brudnych plastikowych widelców i pustych puszek. Na podłodze leżało kilka krzeseł, siedzenia miały podarte i obnażały spleśniałe szare wnętrza. Sufit się zapadł.

- Ostrożnie - syknęła Arden i przyciągnęła mnie do siebie. Pokazała dziurę w podłodze, w którą prawie weszłam.

Caleb przeskoczył nad nią i skierował się w stronę prowadzących do ciemnej piwnicy schodów.

- Sprawdź, czy nic tam nie zostało.

Arden wróciła do salonu, a ja podeszłam do stojącej w kącie lodówki. Wisiały na niej stare zdjęcia i rysunki. Na jednej fotografii widniała młoda para z dzieckiem na rękach. Kobieta miała przyklejoną do spoconego czoła grzywkę, ale za to widać było jej duże błyszczące oczy. Pod spodem wisiał kolorowy rysunek przedstawiający rodzinę patykowatych ludków. Wszyscy troje, mama, tata i dziecko, byli otoczeni przez straszliwe duchy wymalowane grubą czarną kreską.

W ciągu ostatnich dni rysowałam tyle, ile się dało. Siedziałam na dole, przy moim niebieskim plastikowym stolczku i zapełniałam całe góry papieru rysunkami dla mamy. Rysowałam nas na starym placu zabaw przed domem, tym z karuzelą, na której kręciła mnie coraz szybciej i szybciej. Rysowałam ją leżącą w łóżku i lekarza z czarodziejską różdżką w dłoni, którą przywracał jej zdrowie. Pokazywałam jej rysunek domu otoczonego płotem, który mógł zatrzymać straszliwego wirusa. Wsuwałam je pod drzwi, prezenty dla niej.

- Całuję - mówiła i stukała w drzwi od środka. - Pocałowałabym cię milion razy, gdybym mogła.

Jeszcze raz spojrzałam na twarz młodej kobiety. Gdzieś z góry usłyszałam dźwięk czegoś pękającego i skierowałam się w tamtą stronę.

- Arden?! - zawołałam, przechodząc przez cichy hol. Podłoga trzeszczała przy każdym kroku, a przez powybijane okna wpadał chłodny wiatr. - Gdzie jesteś?

Zajrzałam do małej łazienki, na podłodze brakowało płytek.

- Arden? - Mój głos odbił się echem.

Drzwi na końcu holu były lekko uchylone. Skierowałam się w ich stronę i minęłam sypialnię ze zgniłym łóżkiem i sterzczącymi z materaca sprężynami.

Skuliłam się i szłam blisko ściany. Tapeta odłaziła całymi płatami i drapała moje nagie ramiona. Puls mi przyspieszył i spociłam się. Weszliśmy do domu w pośpiechu, ale nie powinniśmy się rozdzielać. Istniało prawdopodobieństwo, że jesteśmy obserwowani.

Drzwi były połamane. Zajrzałam do środka. To był pokój dziecienny, ze skrzynią pełną zakurzonych zabawek i jasnymi niebieskimi ścianami. Na małym łóżeczku siedziało kilka pluszaków. Weszłam do środka i podniosłam jednorękiego misia, który wyglądał, jak gdyby został uszyty długo przed zarazą.

Wszystko stało się tak szybko. Usłyszałam za plecami kroki. Potem z głuchym łoskotem runęłam na ziemię. Wrzasnęłam, gdy postać w masce klauna przycisnęła mnie do ziemi, a jej szkarłatny wykrzywiony uśmiech szydził ze mnie.

- Proszę, nie zabijaj mnie! - wrzeszczałam. - Proszę.

Klaun zatrzymał się na chwilę, ale wciąż przyciskał moje ramiona do podłogi. Potem usłyszałam stłumiony chichot. Arden ściągnęła maskę i zaniósła się śmiechem.

- Co z tobą?! - krzyknęłam, stając na nogi. - Dlaczego to zrobiłaś?

W drzwiach stanął Caleb, był blady.

- Co się stało? Słyszałem twój krzyk. - W rękach trzymał zardzewiałe puszkę.

Wskazałam na Arden, która turlała się po podłodze ze śmiechu. Otarła oczy skrajem bluzki.

- Arden mnie przestraszyła. Specjalnie. Oto, co się stało.

Caleb patrzył to na mnie, to na nią. Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Serce wciąż waliło mi w piersi.

- To nie było zabawne - powiedziałam w końcu. - Mogłam mieć nóż, mogłam cię zabić! - Chodziłam po pokoju i żeby podkreślić wagę swoich słów, uderzałam w dłonie. Arden klęczała, plecy miała wygięte w łuk, a twarz

skierowaną w stronę podłogi. - Spójrz na mnie. Odwróć się i popatrz na mnie! - krzyczałam.

Caleb złapał mnie za ramię i pociągnął.

Ale Arden wciąż miała opuszczoną głowę, a czarny rozczochrany bob rozsypał się w nieładzie. Wiła się i uderzała pięścią w podłogę.

- Arden? - odezwałam się znów, tym razem łagodniej. Oczy miała zaciśnięte, policzki zaróżowione i wykrzywioną twarz.

Odwróciła się i oddychała ciężko. Stałam nad nią z wyciągniętą ręką, ale się nie ruszyła. Potem zwinęła się w kłębek, jej ciało było bardzo napięte. Głośno zakaszła i ten dźwięk przeszył powietrze. Uklękłam obok niej. Położyłam dłoń na jej plecach, gdy pochylała się do przodu, usiłując złapać oddech. Kiedy się wyprostowała, obie spojrzałyśmy w dół.

Na dłoniach miała krew.

Rozdział 11

- Wczoraj zupełnie przemokła - powiedziałam Calebowi, gdy wreszcie dotarliśmy do lasów otaczających jego obóz. Z każdym kilometrem kaszel Arden coraz bardziej się nasilał, a nogi przestawiała coraz wolniej, aż wreszcie w ogóle nie mogła iść. Caleb i ja na zmianę ciągnęliśmy ją w wózku, który znaleźliśmy. Na boku miał wypisane słowa „Radio Flyer”. W jednej chwili szczykała zębami, a w następnej przewieszała się przez krawędź wózka i usiłowała wykrztusić z płuc krwistą flegmę. W końcu zasnęła otoczona pustymi puszkami.

- To na pewno z powodu rzeki i deszczu.

- Znałem kiedyś chłopaka, który tak zachorował - przypomniał sobie Caleb.

Trzymaliśmy ją, zarzucając sobie jej ramiona na szyję.

- Co się z nim stało? - zapytałam. Milczał. - Caleb?

- To na pewno co innego. - Twarz miał napiętą, co widać było nawet w ciemności.

- Nic mi nie jest - mruknęła Arden i próbowała się wyprostować. W kącikach warg miała zaschniętą ślinę.

Szliśmy przez ciemny las, a liście łaskotały mnie po szyi. Zwierzęta kryły się w gęstwinie. W oddali słychać było wycie zgrai dzikich psów czekających na następny posiłek. W końcu dotarliśmy do polany, najdziwniejszego miejsca, jakie w życiu widziałam. Przed nami rozciągało się gigantyczne jezioro, w którego ciemnej jak atrament powierzchni odbijały się tysiące gwiazd.

- Jezioro Tahoe - powiedział Caleb.

Spojrzałam w górę na błyskające białą ławice. Niektóre gwiazdy były tak jasne, że wydawały się niebieskie. Inne wyglądały z oddali jak przytłumiony brokat.

- Wspaniałe. - Ale to słowo nie było nawet bliskie temu, co przeżywałam, czując się tak maleńka w obliczu nieba. - Arden, spójrz. - Szarpnęłam jej ramię. Żałowałam, że nie mam

ze sobą farb i pędzli. Mogłabym spróbować utrwalić choć najślabszy odblask tej sceny.

Byliśmy tam tylko my, czarna ziemia i diamentowa kopuła nieba.

Ale Arden tylko jęknęła boleśnie.

- Gdzie jest obóz? - zapytałam, a zachwyty ustąpił miejsca lękowi. - Musimy zabrać ją do ciepła.

- Patrzysz na niego. - Caleb podszedł do stromego, błotnisteo wzgórza, zarośniętego krzewami i połamanymi gałęziami.

Niepewnie obserwowałam, jak chwytła zgniłą brudną kłodę i popycha, odsłaniając dużą deskę wielkości drzwi. Otworzył je. Za nimi była czarna dziura prowadząca do wnętrza góry.

- Wejdźcie - polecił i wskazał gestem wejście.

Żołądek mi się skurczył. Głowę miałam lekką. Kiedy spojrzałam w ciemność, moje strachy powróciły. Już wystarczająco niebezpieczne było przebywanie z Calebem w lasach. Nie sądziłam, że jego obóz może znajdować się pod ziemią. Gdyby był na powierzchni, zawsze mogłam uciec. Ale stamtąd...

Cofnęłam się o krok.

- Nie... - wyszeptałam cicho. - Nie mogę.

- Eve. - Caleb wyciągnął do mnie rękę. - Arden potrzebuje pomocy, natychmiast. Wejdź do środka. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Czułam, jak Arden się trzęsie. Zakaszła i otworzyła oczy na tak długo, że zdążyła powiedzieć coś, co zabrzmiało jak „słuchaj”. Oparła się o mnie, gdy prowadziłam ją do wnętrza ciemnego tunelu. Ręce mi się trzęsły. Caleb zamknął za nami drzwi.

- Chodźcie tędy - powiedział i złapał Arden za drugą rękę, żeby pomóc mi ją prowadzić. Kiedy szliśmy w ciemności,

zimne wilgotne ściany ocierały mi się o ramiona. Grunt pod stopami był twardy.

- Wy znaleźliście ten tunel? - zapytałam, a mój głos odbił się echem.

Caleb ostro skręcił w prawo i prowadził nas teraz innym korytarzem, kierował się zmysłami.

- My go zrobiliśmy. - Daleko przed nami słyszałam głosy zgromadzenia. Pomruki rozmowy, brzęk naczyń, ciche gwizdy.

- Zbudowaliście go we wnętrzu góry? - zdziwiłam się. Arden znów zakaszła, aż ugięły się pod nią nogi.

Caleb nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Tak. - Słyszałam jego oddech. - Po zarazie zostałam zabrana do prowizorycznego sierocińca w opuszczonym kościele. Dzieciaki, chłopcy i dziewczyny, spały na ławkach i w szafach, czasem przytuleni po pięcioro, żeby było cieplej. Pamiętam tylko jednego dorosłego, kobietę, która otwierała puszkę z jedzeniem. Nazywała nas Resztkami. Po kilku miesiącach przyjechały ciężarówki i zabrały dziewczynki do szkół. Chłopcy pojechali do obozów, obozów pracy, gdzie całymi dniami, codziennie, budowaliście różne rzeczy. - Każde słowo wypowiadał wyraźnie. Wpatrywał się w ziemię tuż przed nami.

- Kiedy uciekliście? - zapytałam. Szliśmy w stronę światła, które było z każdym krokiem jaśniejsze.

- Pięć lat temu. Kiedy tu przybyłem, wykopy dopiero się zaczynały - powiedział Caleb. Chciałam wiedzieć więcej, kto to zorganizował i jak, ale bałam się naciskać.

Znów skręciliśmy i tunel przeszedł w przestronne okrągłe pomieszczenie z ogniskiem na środku. Jaskinia przypominała mi zwierzęcą norkę. W wymazanych błotem ścianach osadzone były wielkie szare głazy, a z pomieszczenia wychodziły jeszcze cztery kręte tunele. Zanim zdążyliśmy

zrobić krok, tuż koło głowy, prawie muskając moje ucho, przeleciała mi strzała.

- Patrz, gdzie leziesz! - roześmiał się spocony umięśniony chłopak. Minął nas i podszedł do ściany, na której wyrysowane były dwie okrągłe tarcze. Wpatrywał się we mnie, gdy mocnym szarpnięciem wyciągał strzały spomiędzy kamieni.

Wokół ogniska zgromadzona była grupa chłopaków. Mieli nagie torsy. Kiedy zobaczyli Caleba, zaczęli dziko wiwatować.

- Zastanawialiśmy się, co się z tobą stało - odezwał się chłopak ze strzechą czarnych prostych włosów. Walili pięściami w nagie piersi w prymitywnym geście powitania. Wyprostowałam się, gdy przenieśli wzrok na mnie.

- Jak raz polowanie zakończone sukcesem - syknął ten ze strzałą. Obejrzał moje gołe nogi i koszulkę z długimi rękawami luźno spływającą z piersi. Skrzyżowałam ramiona i zapragnęłam być bardziej zakryta.

- Popatrzcie, chłopcy, co tu mamy. Dama! - Zrobił krok w moją stronę, ale Caleb wyciągnął rękę i dał sygnał, że ma się nie zbliżać.

- Dość, Charlie - warknął.

Dwóch innych, mniej więcej piętnastoletnich, przyniosło z jednego z bocznych tuneli dzika. Złożyli zdobycz na ziemi, a po chwili z jego wnętrzości trysnęła krew.

- Czy Leif wie? - zapytał jeden z nich. Był wysoki i szczupły, a na nosie miał krzywo osadzone okulary.

- Wkrótce się dowie - odparł Caleb.

Jeden z chłopców ukląkł przy cielsku dzika. Zaczął pocierać ostrzem jednego noża o drugi. Wydały dźwięk, od którego stanęły mi dęba włosy na całym ciele. Jego oczy wędrowały po ciele Arden, a kiedy naostrzył już noże, zaczął oprawiać dzika, rozpoczynając od szyi. W twarz prysnęły mu

odłamki kości. Była dzikość w tym geście, gdy raz za razem uderzał w miejsce, gdzie głowa dzika łączyła się z tułowiem. Obserwowałam każdy cios.

Nie przestawał, dopóki głowa nie odpadła i nie potoczyła się po podłodze. Dzik patrzył na mnie oczami powleczonej szarą błoną. Chciałam odwrócić się, biec tym korytarzem, którym tu przyszliśmy. Nie zatrzymywać się, dopóki nie poczuję na twarzy powiewu świeżego powietrza. Ale poczułam u swojego boku Arden i przypomniałam sobie, co tu robimy. Jak tylko poczuje się lepiej, odejdziemy daleko od tej mokrej dziury i chłopców, którzy patrzyli na mnie, jakbym była czymś do jedzenia.

Ten muskularny, z jasnymi sfilcowanymi włosami dorzucił do ognia. Popatrzył na chudą sylwetkę Arden.

- Mogą spać w moim pokoju - roześmiał się. Ciaśniej przycisnęłam ją do siebie. - Chętnie udostępnię im swoje łóżko.

- Nie będą spały w niczyim pokoju - przerwał opryskliwy głos. - Bo w ogóle tu nie zostaną.

Z jednego z tunelów za ogniskiem wyszedł starszy chłopak. Miał na sobie szorty do kolan, a jego pierś porośnięta była kręconymi ciemnymi włosami. Czarne włosy na głowie splecione miał w koczek, który odsłaniał plecy naznaczone cienkimi krzyżującymi się bliznami. Grupa starszych chłopaków ustawiła się za nim. Ze strachu miałam gęsią skórę. Było ich jeszcze co najmniej dziesięciu, wyższych i silniejszych niż ja. Wyglądali na wściekłych.

- To kiepsko - sapnęła Arden. Caleb stanął pomiędzy nami a nimi.

- To nie jest dyskusja, Leif. Znalazłem je w lesie. Ona została zaatakowana przez niedźwiedzia. - Spojrzałam na brudną podłogę, usiłując uniknąć ich spojrzeń. - Muszą tu zostać.

Leif miał ciemnobrązowe oczy obramowane dwiema firankami gęstych czarnych rzęs.

- To zbyt niebezpieczne. Wiesz, jak Król jest przywiązany do swoich macior. Pewnie już ich szuka. - Zbliżył się do nas i stał tylko pół metra od Caleba. Był tak blisko, że widziałam liście wplątane w jego włosy i smugi popiołu na napiętych umięśnionych ramionach.

- Maciory? - wyszeptała Arden. Poczułam na szyi jej gorący oddech. - To my?

- Może tak nas nazywają - powiedziałam. - Ale na pewno nimi nie jesteśmy.

Grupa chłopców otoczyła nas. Zamknęli nas w kręgu i odcięli drogę ucieczki. Arden kaszłała, nie miała siły ustać.

- Jest chora? - zapytał chłopak z ubytkami w zębach, a jego rysy złagodniały. Zauważyłam na jego ramieniu tatuaż: koło z krzyżem symbolizującym Nową Amerykę. Taki sam jak Caleba, dokładnie w tym samym miejscu. Rozejrzałam się i okazało się, że wszyscy mają takie tatuaże.

- Bardzo chora - odpowiedziałam. Cofnęli się, zaczęli szeptać między sobą, a jeden niski mruknął coś, co zabrzmiało jak „zaraza”. Arden nie dała rady utrzymać głowy w pionie i opuściła ją na moje ramię.

Caleb wciąż wpatrywał się prosto w oczy Leifa.

- Jeśli je wyrzucimy, ona umrze. Nie pozwolę na to.

Kącik ust Leifa uniósł się w wyrazie niezadowolenia.

Przypominał teraz wściekłego psa.

- Mogą zostać w zachodniej części, z dala od pozostałych.

- Arden nie miała siły otworzyć oczu, więc zamiast na nią skierował swoje wąskie prawie czarne oczy na mnie. - Bez pozwolenia nie wolno wam wychodzić na powierzchnię. I macie nam schodzić z drogi. Zrozumiano?

Spojrzał na stojącego obok chłopaka, który trzymał naręcze miseczek. Jakby instynktownie odczytując rozkaz,

chłopak uklęknął przy ogniu i nałożył dwie porcje fasoli. Potem dał miseczki Leifowi. Zrobiłam krok naprzód. Potężne ramiona Leifa znajdowały się prawie na wysokości moich oczu. Podał mi miseczkę. Chwyciłam ją, ale on mocno trzymał i nie puścił.

- Witamy - powiedział głosem, który świadczył o wszystkim, tylko nie o ciepłym powitaniu. Staliśmy tak, on patrzył mi w oczy, a potem spuścił wzrok na moją twarz, piersi, talię i nogi. Spanikowałam i usiłowałam wyrwać mu miseczkę, żeby odejść. Rozluźnił uścisk nagle i bezwładnie poleciałam do tyłu. Fasola rozprysła na mojej podkoszulce. Jakiś chłopak wybuchnął głośnym bezdusznym śmiechem.

Roztarłam plamę, czując, że policzki mam czerwone i gorące. Mało tego, że nie czułam się w tym obozie bezpiecznie, mało, że Leif mnie straszył, to musiał mnie jeszcze upokorzyć.

- Chodź - polecił Caleb i wziął od Leifa obiad Arden. - Pokażę wam, gdzie będziecie mieszkać. - Objął Arden w talię i ruszyliśmy tunelem oświetlanym przez rzędy wetkniętych prosto w ścianę lepianki latarek oświetlających podłogę. - To jest Leif - szepnął Caleb.

Odwróciłam się akurat, gdy Leif z gniewem kopnął na bok głowę dzika. Chłopcy wrócili do swoich zajęć. Ten duży sięgnął po kolejną strzałę, dwóch mniejszych przepychało się, a kilku innych nadziewało kawałki mięsa na zastrzone kije. Od razu przyszedł mi na myśl Władca much i ten dzień, gdy pani Florence czytała nam scenę, w której Simon zostaje zamordowany przez gang zdziczałych chłopaków. Podawała to jako przykład mentalności gangów, tych obecnych.

- Mężczyźni są najniebezpieczniejsi, gdy nakręceni są wzajemnie przez swoją agresję - mówiła, siedząc na krawędzi biurka z książką rozłożoną na kolanach.

Wspomniałam chór gwizdów i bezwstydne oczy skanujące moje ciało, a potem szepty. Wiedziałam, że nie wszystko, co nam mówiono, było kłamstwem.

Rozdział 12

- Jeszcze? - spytałam, podsuwając do spękanych warg Arden łyżkę z fasolą. Wymamrotała coś, co zabrzmiało jak „nie”, a potem przewróciła się na bok, skopała koc z zaczerwienionych nóg i zamknęła oczy.

Tak przebiegła noc. Budziła się co jakiś czas, prosiła o wodę albo jedzenie, a potem znów opadała na wyleżany materac. Czasem wiła się z bólu i narzekała na kręgosłup. Caleb przyciągnął wannę z wodą z jeziora i udało mi się utrzymać ją w stanie przytomności na tyle długo, żeby umyć jej spoconą skórę i połamanym grzebieniem wydłubać z włosów liście.

Nasza pieczara odchodziła od jednego z głównych tuneli. Była ciasnym pomieszczeniem, w którym znajdowały się tylko materac i biurko zavalone pożółkłymi książkami dla dzieci. Przeszukałam szuflady, bo wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu miałam nadzieję znaleźć lekarstwa. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak są cenne. W szkole wydawało się, że ich źródło jest nieskończone.

Traktowałyśmy jako zupełnie naturalne, że każda przypadłość - kaszel, przeziębienie, rozcięta stłuczonym szkłem skóra - zostanie wyleczona. Tu pigułka, tam zastrzyk znieczulający skórę przed założeniem szwów, słodki syrop o smaku gumy balonowej spływający po ścianie gardła. Kiedy Ruby upadła w ogrodzie powalona przez przeszywający ból w boku, została zabrana do szpitala i wypuszczona kilka dni później z czarnymi szwami sterczącymi z miejsca, z którego wycięto jej wyrostek robaczkowy. „Jak by się to skończyło w dziczy?”, zastanawiałyśmy się głośno, oglądając bliznę. Maxine podpowiadała, że być może musiałyby go sobie usunąć sama, na przykład za pomocą zardzewiałych nożyczek.

- Nie - poprawiła ją dyrektorka, która chodziła wokół naszego stołu w jadalni, żeby upewnić się, że połknęliśmy wszystkie witaminy. - Po prostu by umarła.

Szcesałam do tyłu gęste czarne włosy Arden i czułam przy tym, jak jest rozpalona. Przypomniałam sobie pierwszy raz, gdy ją zobaczyłam. Zaraz po zarazie nowe uczennice przybywały regularnie, niektóre znajdowano w lasach, inne podrzucali opiekunowie, którzy nie mogli dłużej się nimi zajmować. Wysoka dziewczynka w wyblakłej niebieskiej sukience pojawiła się w szkole trzy lata po mnie. Jako ośmiolatka wkroczyła przez boczną bramę. Przez miesiąc mieszkała sama, przechodziła kwarantannę, tak jak my wszystkie zaraz po przybyciu. Pip i ja podglądałyśmy przez szklane okienko w drzwiach, jak myła zęby. Wypluwała białą pianę do kosza na śmieci, a my zastanawiałyśmy się, czy wygląda jakoś inaczej. To była taka zabawa. Zatrzymywałyśmy się przy okienku za każdym razem, gdy przechodziłyśmy obok, i wypatrywałyśmy niebieskich zasinień pod skórą, pierwszych symptomów choroby. Czekałyśmy, aż białka jej oczu zmienią kolor na flegmowato żółty. To się nigdy nie stało.

Arden zmieniła pozycję i zajęczała, a ten głęboki i gardłowy dźwięk przeraził mnie. Zabrzmiała jak moja mama tuż przed śmiercią. Teraz, w tym wilgotnym pomieszczeniu odtworzyłam w głowie listę objawów choroby mojej mamy. Arden schudła, ale nie dramatycznie. Nie leciała jej z nosa krew, nogi nie puchły ani nie broczyły krwią, wokół stóp nie pojawiały się kałuże. Ale ten suchy kaszel, dreszcze, które nią wstrząsały, i sposób, w jaki wywracała oczy, tak że było widać tylko białka...

Ścisnęłam jej zimną rękę i pragnęłam, żeby podniosła się, przytomna i zwaśsza niż kiedykolwiek. Żeby kazała mi przestać się miotać i dołożyła do tego pogardliwe

wybałuszenie oczu. Ale nic z tego. Jeszcze jedno wierzgnięcie nogami i kolejny jęk. Wypowiedziałam słowa, których nie mogłam powiedzieć mamie, bo uwięzły mi w gardle tego lipcowego dnia, gdy ciężarówki przedarły się przez barykadę, i pozostały we mnie, blisko serca, jak coś, co zawsze tam było.

Znów miałam pięć lat i lekko wbiegałam po schodach. Mama nie czekała już na lekarzy, słyszała, że przychodzą tylko do bogaczy. Otworzyła drzwi do swojego pokoju. Podbiegłam, żeby się do niej przytulić, ale ona założyła mi na twarz maskę i zaciągnęła mnie na ulicę, wołając łamiącym się głosem do kierowcy ciężarówki, żeby się zatrzymał. Złapałam się skrzynki na listy, a mama szybko wracała do domu, bojąc się choćby mnie pocałować. Oplotłam ramionami drewnianą skrzynkę, ale oderwali mnie i załadowali do ciężarówki, a moje ciało zwiotczało w uścisku starszej kobiety.

- Proszę - błagałam teraz Arden, zamknęłam oczy i kołysałam w rytm swoich słów. Ponownie ścisnęłam jej rękę. - Nie zostawiaj mnie. Potrzebuję cię.

Kiedy nie zareagowała, przyłożyłam głowę do poduszki i rozplakałam się. Możliwe że nigdy nie poczuje się lepiej. Może nigdy nie wyruszymy razem w drogę do Kalifii.

Kilka godzin później obudziło mnie oślepiające światło. Ktoś stał w drzwiach i świecił mi latarką prosto w twarz. Postać zmieniła pozycję i skierowała strumień światła na ziemię. Przetarłam oczy i usiłowałam jakoś wytłumaczyć sobie obecność drobnej sylwetki. Mogła mi sięgać nie wyżej jak do biodra. Potargane włosy opadały jej na ramiona, a obfita spódniczka baletowa pyszniła się wokół jej talii.

Zamrugałam, ale postać wciąż tam była, prawdziwa, nie pozostałość mojego snu.

- Jak masz na imię? - szepnęłam do dziewczynki, licząc na to, że jako moja wizja rozplynie się w ciemności. - Cofnęła się. - Chodź, chodź do mnie. - Wyciągnęłam rękę, żeby ją

przywołać. Ale zanim zdążyłam coś dodać, uciekła ledwie oświetlonym korytarzem.

Usiadłam na łóżku, już całkiem przytomna. Nie miałam pojęcia, jak mała dziewczynka znalazła się w tym męskim obozie, ale wiedziałam, że muszę za nią pójść. Przeszłam przez próg i śledziłam, jak znika w tunelu ledwie widoczna w słabym świetle.

- Zaczekaj! - zawołałam. - Wracaj!

Nagle zniknęła za zakrętem, którego się nie spodziewałam.

Patrzyłam na pusty korytarz. Tunel zakręcał, więc poszłam wyznaczaną przez niego trasą, starając się nie zbliżyć do czarnych otworów w ścianach, za którymi znajdowały się sypialnie chłopaków. Dziewczynka była wciąż przede mną, jej tutu podskakiwało i opadało, gdy biegła. Tunel rozwidlał się, a ona skręciła w nieoświetloną odnogę. Szłam za nią, szybko przebierając nogami.

- Nic ci nie zrobię - szepnęłam przywołująco - Zatrzymaj się, proszę.

Poruszałam się szybko, lżej niż w poprzednich dniach. Dobrze było się podnieść, poruszać i z każdym metrem mój umysł uspokajał się, myślałam tylko o swoim oddechu. Zobaczyłam małą figurkę niedaleko przed sobą. Potem tunel zakręcił ponownie i ujrzałam nad sobą rozgwieżdżone niebo.

Dziewczynka pobiegła między drzewa, wydając łobuzerski pisk, jakby to wszystko było świetną zabawą. Szłam za nią, dopóki nie dotarła na drugą stronę wzgórza i nie zanurkowała pod wysokie krzaki. Pochyliłam się, żeby złapać oddech, bo wysiłek zaczął dawać o sobie znać. Kiedy podniosłam głowę, zdałam sobie sprawę, że zniknęła. Byłam sama. W ciemności. Poza norą.

Nie mogłam iść dalej, to byłaby głupota, gdybym włóczyła się po lasach i śledziła dziewczynkę wśród wzgórz.

Gdyby udało mi się wrócić do tunelu, mogłabym obudzić Caleba i powiedzieć mu, że dziewczynka jest sama, na zewnątrz. Ale kiedy się odwróciłam, widziałam tylko cienie. Cofnęłam się w kierunku drzew, ale las był gęsty. Liście trzeszczały mi pod stopami. Nade mną szumiały gałęzie. Kiedy dotarłam do miejsca, gdzie jak mi się wydawało, było wejście do tunelu, zastałam tylko skaliste zejście do jeziora.

Odwróciłam się i pobiegłam na drugą stronę lasu, w przeciwną stronę. Wrócił do mnie ten moment nad rzeką, ciężkie krople deszczu na mojej skórze, żołnierze idący po mnie z pistoletami w dłoniach. Zobaczyłam przed sobą plecy Caleba, własną twarz na ulotce, usłyszałam wypowiedziane przez Arden słowa: „Ty należysz do Króla”. Jak mogłam być na tyle głupia, żeby wyjść z nory i błąkać się po lesie w środku nocy, podczas gdy żołnierze wciąż mnie szukali? Przecież zostałam już ostrzeżona.

Trzy metry nade mną wznosiło się zbocze wzgórza. Biegłam tak szybko, że prawie się z nim zderzyłam. Chyba byłam z przeciwnej strony wzgórza, ale było zbyt ciemno, żebym mogła być pewna. Postanowiłam okrążyć wzniesienie z nadzieją, że dotrę do omszałego wejścia, ale wtedy usłyszałam coś za sobą. Nie miałam czasu na ucieczkę. W jednej chwili poczułam mocny uścisk na ręce.

- Co ty tu, do cholery, robisz? - syknął Leif i pociągnął mnie z powrotem. W świetle gwiazd prawie nie widziałam jego wykrzywionej twarzy. Usiłowałam wyszarpnąć się z jego uścisku, ale złapał mnie jeszcze mocniej. - Mówiłem, że masz nie wychodzić na zewnątrz.

- Wiem - powiedziałam mimo bólu w nadgarstku - Przepraszam. - Bałam się powiedzieć coś więcej. Bałam się nawet oddychać.

- Kto ci pozwolił wyjść? - warknął. W wyrazie obrzydzenia uniósł górną wargę i pokazał wyszczerbione przednie zęby. - Caleb?

- Nie, biegłam za jakąś dziewczynką. Wybiegła na zewnątrz i zniknęła gdzieś tam, ale ja...

- Mała dziewczynka? - roześmiał się Leif, ale zabrzmiało to bardziej jak warknięcie. - W obozie nie ma małych dziewczynek.

- Sprawiasz mi ból - poskarżyłam się, lecz nie zwolnił uścisku wielkiej łapy na moim szczupłym nadgarstku.

Pociągnął mnie ze sobą, a jego kroki dudniły.

- Postąpiłaś głupio, wychodząc. Nie bez powodu trzymam straż. O tej porze jesteśmy najbardziej bezbronni. Szczególnie odkąd wy tu jesteście.

- Wiem - przyznałam, ale nie mogłam już znieść uścisku. Kiedy włókł mnie na drugą stronę wzgórza, poczułam, że krew odpłynęła mi z miejsca, gdzie przyciskał mi palce do ciała.

W końcu odpuścił. Przystanął przy zarośniętym mchem kopcu i żołądek skurczył mi się na myśl o tym, co może mi zrobić. Ale on pociągnął do góry właz i odkrył przede mną jeszcze jedno wejście do tunelu.

- Widziałem wieczorem żołnierzy - powiedział powoli, żebym zrozumiała każde słowo. - W tej okolicy nie było ich od miesięcy. Teraz byli. Szli po tamtym zboczu. - Wskazał ręką na góry wyrastające zza drzew.

Czekał, aż coś powiem, zareaguję, może przeproszę, ale kiedy otworzyłam usta, nie wydostały się przez nie żadne słowa.

- Idź do środka, już - warknął. - Nie chcemy, żeby cokolwiek złego stało się naszej Eve, prawda? - Oczy miał jak zimny czarny marmur przezierający z wnętrza czaszki.

- Nie. - Odwróciłam wzrok, gdy na mnie patrzył. - Nie chcielibyśmy. - Weszłam do tunelu szczęśliwa, że się go pozbędę.

- Twoja sypialnia jest po prawej stronie, trzecie wejście - rzucił, kiedy opuszczał za mną pokryty mchem włącz i znów zamknął mnie w ciasnym korytarzu.

Kiedy dotarłam do swojej jamy, z ulgą popatrzyłam na znajomą twarz Arden jaśniejącą w bladym świetle. Cały czas się trzęsłam, a serce waliło mi w piersi. Tak szybko wyrecytował, gdzie jest mój pokój. Za szybko.

Nasłuchiwałam echa w tunelu, przyciskałam plecy do zimnej ściany przerażona, że te czarne oczy znajdą mnie akurat wtedy, gdy będę się tego najmniej spodziewać.

Rozdział 13

Caleb i ja jechaliśmy przez las, to znikając wśród drzew, to pojawiając się pomiędzy nimi. Po wczorajszym dalekim spotkaniu z żołnierzami starsi chłopcy cały dzień patrolowali teren, żeby upewnić się, że odeszli na dobre. Nikt się do mnie nie odzywał, nikt nawet na mnie nie patrzył. Izolacja trwała, dopóki nie odkryli świeżych śladów opon oddalających się od jeziora. Caleb pojawił się w drzwiach, kiedy zajmowałam się Arden, i zaprosił mnie na wspólne polowanie. Musiałam włożyć męskie ubranie - podarte bawełniane szorty i luźną koszulkę - i związać włosy. Cieszyłam się, że mogę wyjść z tej wilgotnej nory na świeże powietrze. Z dala od podziemnego leża tego zwierzaka Leifa.

Kiedy dotarliśmy do porośniętej trawą polany, Caleb zlustrował linię drzew, a potem skalisty brzeg.

- Nic tu nie ma - orzekł. Zawrócił konia. - Musimy znaleźć punkt obserwacyjny.

Niebo było w kolorze głębokiego pomarańcza, a skłębione chmury miały czerwone brzuchy. Śledziliśmy dzika aż do jego żerowiska, ale przepłoszył go stamtąd turlający się kamień. Teraz mieliśmy zamiar wypatrywać jelenia. Wsiadłam z powrotem na konia i starałam się rozkoszować byciem na powierzchni. Ale wydarzenia poprzedniej nocy wciąż nie dawały mi spokoju.

- Twój przyjaciel Leif... - zaczęłam, usiłując rozgryźć łączące ich relacje i to, jak mógł żyć i pracować, dzień w dzień, z kimś tak brutalnym. Caleba znałam od dwóch dni i jak do tej pory nie zrobił nic, co mogłabym uznać za podejrzanę. Nie porzucił mnie nad rzeką. Przyniósł mnie i Arden śniadanie, ręczniki, świeżą deszczówkę, żebyśmy mogły się umyć. Nawet zamiótł pokój, kiedy spałyśmy. - Niezły z niego czaruś - dokończyłam, nie starając się nawet ukryć ironii.

Caleb wpatrywał się w skaliste zbocze przed nami, a kołczan ze strzałami zwisał mu z ramienia.

- Przykro mi, że cię wczoraj przestraszył. Był wściekły z powodu żołnierzy. - Wyciągnął rękę ponad końską szyję i rozplątał skołtunioną, czarną gęstą grzywę. - Jest przekonany, że wymyśliłaś tę historię o dziewczynce. Z nim nie ma dyskusji.

- Dlaczego miałabym to zrobić? Przecież ją widziałam - powiedziałam do jego pleców. - Byłam tam sama, a on mnie przestraszył.

Caleb pokręcił głową. Wspinaliśmy się na wzgórze, a niepewne kroki konia miały nami od jednej strony ścieżki do drugiej. On też nie wierzył, że widziałam akurat małą dziewczynkę, ale przynajmniej zgadzał się, że kogoś widziałam.

- Leif nie zawsze taki był. Kiedyś... - Caleb zamilkł w poszukiwaniu odpowiedniego słowa - był lepszy.

Zanurkowaliśmy pod niską gałęzią.

- Trudno to sobie wyobrazić. - Liście omiotły mi plecy, więc pochyliłam się bardziej, dbając jednocześnie o zachowanie dystansu między nami.

Caleb milczał.

- Leif był kiedyś zabawny - wydukał wreszcie. - Naprawdę zabawny. Przez całe dni rozbieraliśmy budynki, cegła po cegle, i ładowaliśmy je na ciężarówki, żeby mogły pojechać do Miasta Piasku. Leif wymyślał piosenki. - Caleb obejrzał się za siebie, a policzki zarumieniły mu się od uśmiechu.

- Jakie piosenki? Z czego się śmiejesz? Odwrócił się.

- Nie chcesz wiedzieć.

- Przekonajmy się.

- W porządku. Ale potem nie mów, że cię nie ostrzegałem. - Z udawaną powagą odchrząknął. - Jaja - zawył

poza jakąkolwiek tonacją - mi się pocą, jaja mi się pocą, nic nie poradzę na to, że pocą mi się jaja, nie, o nieeeeeeeee!

Pochyliłam się i zobaczyłam zmarszczki w kącikach jego oczu i piegi na szczytach kości policzkowych.

- Co w tym śmiesznego? Co to są jaja? Takie od kury?

Caleb ściągnął lejce i runął do przodu w paroksyzmie śmiechu.

- No co? Powiedz - dopytywałam się. Dojście do siebie zajęło mu chwilę.

- To są - zaczął - te rzeczy, które... - zamilkł i zamyślił się głęboko, a potem gwałtownie pokręcił głową. - Nie mogę, przepraszam. Po prostu uwierz mi na słowo, że to zabawne.

Chciałam go przycisnąć, żeby jednak powiedział, ale czułam, że lepiej będzie, gdy ten żart pozostanie niewyjaśniony.

Koń pokonał resztę drogi na szczyt wzniesienia. Przed nami rozciągało się jezioro, w którym odbijało się niebo w kolorze mandarynki. Z góry widziałam pole, na którym widzieliśmy dzika, połacie lasu i skalisty pas plaży.

- Mamy go - powiedział Caleb i wskazał na chmurę jeleni zaspokajających pragnienie nad brzegiem jeziora. Nawet z tej wysokości widziałam ich złotawą sierść i rogi strzelające ku wierzchołkom drzew.

Caleb skierował konia z powrotem na dół.

- I co mu się stało? - zapytałam w końcu w połowie drogi.
- Leifowi?

Zwinne ciało Caleba poruszało się w tym samym rytmie, co końskie, jak gdyby byli jednym organizmem. Patrzyłam na tył jego szarego podkoszulka, a konkretnie na miejsce, gdzie tkanina rozłaziła się na szwach.

Miałam odruch wyciągnięcia ręki i dotknięcia go tam, ale twardo trzymałam się Lili.

- Leif miał brata bliźniaka, Ashera. Cokolwiek byś powiedziała, zanim zareagowali, patrzyli jeden na drugiego, jak gdyby Leif sprawdzał, co zamierza zrobić Asher albo czy się roześmieje. - Jechaliśmy przez las na skaliste nadbrzeże. - Któregoś dnia poszliśmy do pracy, ale Asher źle się poczuł i został. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że to nie było nic poważnego, nie mogło być. Ale strażnicy się przerazili. To było dopiero kilka lat po zarazie. - Przeczesał palcami brązowe włosy. - Kiedy wróciliśmy, prycza była pusta. Zniknął.

- Umarł? - spytałam. Poczułam pod sobą konia i pogłaskałam go po boku, czując nagle wdzięczność z powodu kojącej, ciepłej obecności.

- Nie. - Caleb pokręcił głową. - Zabrali go do lasu i tam porzucili.

- Kto?

- Strażnicy. Przywalili mu nogi kamieniami. Tej nocy słyszeliśmy, jak się przechwalają, że uratowali nas wszystkich od powrotu zarazy.

Przycisnęłam dłoń do ust i wyobraziłam sobie jednego z chłopaków z obozu, samego w lesie, chorego, z nogami unieruchomionymi kamieniami.

- Wtedy w Leifie coś pękło. Już nigdy nie był taki sam, jak kiedyś. Tej nocy stał się innym człowiekiem - zakończył, po czym sięgnął po łuk i strzałę i zaczął wolno zbliżać się do jeleni. Podniosły głowy, ale Caleb był tak spokojny, że wróciły do picia.

Zrobił jeszcze kilka kroków, zanim wycelował do łani stojącej trochę na uboczu. Strzała opuściła cięciwę i sekundę później wylądowała w szyi zwierzęcia. Pozostałe zwierzęta uciekły, a łania zachwiała się na nogach. Zaledwie kilka sekund później Caleb wypuścił kolejną strzałę, która ugodziła

ją w bok. W panice wbiegła do wody, potem wdrapała się z powrotem na brzeg, ale na wodzie pozostał krwawy ślad.

- Przestań! - krzyknęłam i zeskoczyłam z konia, z oczami utkwionymi w ranach na jej szyi i boku. - To ją boli.

Caleb niespiesznie podszedł do łani.

- Już dobrze - powiedział miękko. Objął ją za szyję i wyjął nóż. - Wszystko będzie dobrze. - Szeptał coś do niej raz po raz i wyraźnie się od tego uspokajała. Przyłożył nóż do szyi zwierzęcia. Jednym płynnym ruchem poderżnął jej gardło. Krew pociekła na kamienisty brzeg i zabarwiła wodę na czerwono.

Gorące łzy popłynęły mi błyskawicznie, cała się trzęsłam, gdy patrzyłam, jak z oczu zwierzęcia znikają ślady życia.

Śmierć towarzyszyła mojemu dzieciństwu. Widziałam ją wszędzie wokół, w twarzach sąsiadów, gdy wyciągali do ogrodów martwe ciała w spiworach. Widziałam ją zza szyb samochodu, ludzi stojących w kolejkach do aptek. Mieli skórę całą w czerwonych plamach.

Widziałam ją wreszcie w twarzy mojej matki, gdy stała na ganku, a z nosa płynęła jej krew.

Ale przez dwanaście lat spędzonych w szkole byłam bezpieczna. Chroniły mnie mury, na miejscu były lekarki, a na szyi miałam zawsze dzwonek alarmowy. Kiedy Caleb tulił głowę łani w ramionach, załkałam bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Bo była tu znów, czekająca na mnie przez cały ten czas, śmierć. Śmierć, przed którą nie było ucieczki. Wszędzie. Zawsze.

Rozdział 14

Następnego ranka wspomnienie zabójstwa wyświeśliło się w mojej głowie, zanim jeszcze podniosłam się z materaca. Chłopcy czekali na przybycie jelenia, a potem wnieśli go do tunelu. Nogi miał przywiązane do gałęzi. Szybko uciekłam do siebie, z powrotem do śpiącej Arden. Nie mogłabym znieść widoku oprawiania jelenia, obdzierania ze skóry i wyjmowania delikatnego mięsa.

Włączyłam stojącą przy naszym materacu latarkę i cały pokój zalało miękkie jasne światło. Caleb przyniósł ubrania świeżo wyprane w jeziorze. Wstałam i włożyłam zapinaną na guziki koszulę. Wciąż nie wiedziałam, gdzie podziewa się właściciel dziecięcych książeczek ani dlaczego nie mieszka w swoim pokoju. Na krawędzi biurka leżał notatnik. Wzięłam go do ręki i przeczytałam cztery proste słowa: „Mam na imię Paul”. Ręka, która je napisała, była niepewna, a litery pojawiały się w nieregularnych odstępach. Pomyślałam o tym, co powiedział Caleb, że pod niektórymi względami chłopcy mieli gorzej niż my. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Ruby zapędzaną do sali z wąskimi łózkami. Słyszałam, jak pyta lekarzy z niewinnością, na którą tylko ją było stać:

- Gdzie są nasze książki? Kiedy będzie pierwsza wycieczka do Miasta Piasku? Dlaczego nas więzecie?

Odebrali nam tak wiele, ale przynajmniej dali to jedno: zawsze już będę umiała czytać, pisać, przeliterować własne nazwisko.

Usłyszałam za sobą tupot bosych stóp na zabłoconej podłodze. Odwróciłam się po to tylko, żeby zobaczyć małą istotkę rzucającą się w moją stronę i wyrywającą mi z rąk notatnik. Mały chłopiec miał rozczochrane, jasnobrązowe włosy i nosił ubłocone ogrodniczki. Nie miał pod nimi koszulki.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytałam delikatnie, nie chcąc go wystraszyć. - Kim jesteś?

- To należy do mojego brata. - Trzymał notatnik jak trofeum.

- Nie zamierzałam podglądać - powiedziałam powoli, nie odrywając wzroku od małego ciała. Przypomniałam sobie małe dziewczynki ze szkoły, te młodsze o rok, dwa, potem o trzy lata, ale z czasem klasy robiły się coraz mniej liczne. Król zasiedlał Miasto, zagospodarowując przy tym sieroty. Co jakiś czas znajdowano w lasach dziecko, które urodziło się Bezpańskim zaraz po zarazie, ale to się zdarzało rzadko. Tak małego dziecka nie widziałam już od dawna. A tym bardziej nie widziałam nigdy dziecka płci męskiej. - Ja tylko...

- Uczył się czytać - wyznał chłopczyk. Dużym palcem u nogi bawił się kamyczkiem znalezionym w kurzu. Miał chyba nie więcej niż sześć lat i wyglądało na to, że rzadko się uśmiecha. - Powiedział, że mnie nauczy, ale umarł.

Zerknęłam na róg materaca, gdzie bez ruchu leżała Arden zlna potem. Cały talerz warzyw stał od zeszłego wieczoru na podłodze.

- Co mu było? Zachorował? - Słowa uwięzły mi w gardle, gdy patrzyłam na jej twarz.

- Dopiero co zaczął polować... Caleb powiedział, że to była błyskawiczna powódź. - Kiedy mówił, kartkował notes, odsłaniając strony pełne niepewnych zapisków. - Paul zajął się mną, kiedy nasi rodzice zniknęli. On mnie tutaj przyprowadził.

- Przykro mi - powiedziałam.

- Dlaczego wszyscy to mówią? Nie rozumiem. - Spojrzał na mnie i w jego oczach odbiło się światło. - Przecież to nie twoja wina.

- No nie... - Pomyślałam o wizjach, które nawiedzały mnie za każdym razem, gdy kładłam się spać. Widziałam Pip

leżącą na wąskim białym łóżku, z górującym nad nią ogromnym brzuchem. Czasem szarpała rękami uwieczonymi w skórzanej uprzęży, krzyczała coś do tych leżących koło niej, sięgała do dłoni, których nie mogła schwycić. Innym razem widziałam ją taką, jaką ją znałam - pochyloną nad biurkiem, rozwiązującą jakieś zadania z matematyki, wystukującą ołówkiem dobrze znany rytm. Potem odwracała się do mnie, na jej twarzy widziałam gniew, gdy pokazywała ogromny brzuch i robiła krok w moją stronę, pytając:

- Dlaczego to się dzieje? - Robiła kolejny krok. - Dlaczego?

A ja mogłam tylko powtarzać raz za razem:

- Przykro mi, przepraszam. - Wtedy rzucała się na mnie, a ja się budziłam.

Odchrząknęłam i spojrzałam chłopcu w oczy:

- Czasem to znaczy po prostu, że komuś jest smutno. Albo że ci współczuje. Może to głupie, ale ludzie tak mówią.

Chłopiec patrzył na mnie. Na postrzępiony kosmyk włosów, który zwisał mi przez ramię. Przeczesałam go palcami, żeby nie zrobił się kołtun.

- Powiedzieli, że jesteś dziewczyną. Pokiwałam głową.

- Jesteś moją matką?

- Nie - odpowiedziałam. - Nie jestem.

Zapadła cisza. Skubał się palcami za skórę na wargach.

- Nazywam się Benny - przedstawił się i ruszył w kierunku drzwi. - Chcesz zobaczyć mój pokój? Poznasz mojego kumpla, Silasa.

Zawahałam się. Spojrzałam na Arden. Leżała skulona z zamkniętymi oczami, bez zmian od wczorajszego wieczoru.

- Dobrze - zgodziłam się zadowolona, że mam z kim porozmawiać. - Chodźmy.

Poszłam za nim wijącym się korytarzem do małego narożnego pomieszczenia. Na podłodze leżały dwa materace,

a w kurzu poniewierały się brudne ciężarówki i puszki. Drugi chłopiec, ze skórą w kolorze orzecha, rysował coś patykiem na ziemi. Miał czarne włosy nierównej długości, a miejscami skóra na jego głowie była łysa. Nosił długi podkoszulek wetknięty w znajomą mi część garderoby, purpurową spódniczkę baletnicy.

A więc to był Silas. Mała dziewczynka, którą ścigałam po lesie, w rzeczywistości była chłopcem.

- Znam cię - powiedziałam i zrobiłam krok w jego stronę.
- Wystraszyłeś mnie w nocy. Dlaczego się nie zatrzymałeś, kiedy cię wołałam?

Wpatrywał się we mnie bez mrugnięcia:

- Uciekałem - odparł i rzucił na ziemię patyk - bo mnie goniłaś.

Kłęcząc, więc wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości.

- Jest was tu więcej? - spytałam. Silas podniósł patyk i narysował kolejne kółka na ziemi. Zignorował moje pytanie i skupił się na rysowaniu. - Jesteście najmłodsi?

Benny usiadł obok niego. Kiedy się odwrócił, zauważyłam długą różową bliznę biegnącą przez kark aż do ucha. Była częściowo ukryta za skołtunionymi włosami.

- Tak. Potem jest Huxley. Ma jedenaście lat. Czasem się z nami bawi, ale wszyscy inni wykonują zadania albo są na treningu.

- Co trenują?

Silas wciąż wpatrywał się w ziemię. Rysował coś przypominającego jelenia. W miejscu rogów postawił znak X.

- Starsi chłopcy zostają myśliwymi, kiedy kończą piętnaście lat - wyjaśnił Benny.

- A więc twój brat miał piętnaście lat - powiedziałam. Z powodu tych książeczek myślałam, że Paul był dzieckiem. Ale pewnie uczył się na najprostszych tekstach. - Sam uczył się czytać?

Benny skinął głową.

- A ty umiesz czytać? - zapytał.

- Umiem.

- A nauczysz mnie?

- Dobrze - zgodziłam się. - Nauczę cię.

Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, Benny się uśmiechnął. Nie miał przedniego zęba. Bez namysłu złapałam kijek Silasa i uklękłam na podłodze. Szybko napisałam na twardej ziemi słowo. Podkreśliłam je szybkim ruchem.

- Wiesz, co to jest? - zapytałam.

Silas patrzył to na litery, to na mnie, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że to moja ręka powołała te znaki do życia. Pokręcił głową.

- To twoje imię - wyjaśniłam i wskazałam litery jedna po drugiej. - S, I, L, A, S. - Pod spodem napisałam drugie słowo. - A tutaj jest napisane „Benny”.

Benny uśmiechnął się szeroko, a jego jedyny przedni ząb był krzywy.

Silas wpatrywał się we mnie, a usta miał ułożone w kształt litery o.

- Silas - powtórzył, przesuwając palcem po ziemi. Odłożyłam patyk i wstałam, aż zarumieniona z emocji.

- Zaczekajcie tu chwilę - powiedziałam i pomyślałam o tych nieprzeczytanych książeczkach z biurka Paula. - Za moment wrócę.

Benny stał przy ścianie jaskini i wydrapywał patykiem litery.

- Tak, bardzo dobrze - pochwaliłam, a wszyscy zgromadzeni chłopcy obserwowali go w milczeniu. Dokończył Y i odsunął się. Przeliterował napisane przez siebie słowo, a na koniec oznajmił:

- Benny. - Jego twarz rozjaśnił szeroki bezzębny uśmiech.

- Świetnie - ucieszyłam się i wzięłam z biurka stos dziecięcych książeczek. Zaczęło się od dwóch małych chłopców wydrapujących literki na ziemi, a skończyło na starszych zagląających do pomieszczenia i zajmujących wolne miejsca.

- Poczytajmy książkę - zaproponowałam i wzięłam jedną. Kiedy je przyniosłam, rozpoznałam kilka, które pamiętałam ze szkoły. - Dawno, dawno temu było sobie drzewo - zaczęłam czytać i pokazałam wszystkim stronę, żeby widzieli. - Bardzo kochało pewnego małego chłopca. Chłopiec codziennie przychodził... - Zamilkłam, bo Silas podniósł rękę. To była pierwsza rzecz, jakiej ich nauczyłam, kiedy zaczęliśmy lekcje, a oni przekrzykiwali się jeden przez drugiego.

- Co to znaczy, że drzewo go kochało? - zapytał. Kevin, chłopiec w popękanych okularach, westchnął:

- To znaczy, że chciało pocałować dziewczynę. Tak się robiło przed zarazą. - Uśmiechnął się do mnie nieśmiało i zarumienił się.

- Pocałować dziewczynę? - spytał Silas z niedowierzaniem.

Wtrącił się Huxley:

- Nie, to nie o to chodzi. To jest drzewo. Drzewo nie chce pocałować chłopca.

- O co wam chodzi? - Silas nic nie rozumiał.

- Można kochać każdego - przerwałam i rozejrzałam się wokół. - Miłość to... - szukałam odpowiednich słów - bardzo głęboka troska o kogoś. Świadomość, że ktoś bardzo wiele dla nas znaczy, że nasz świat byłby pusty, gdyby jego w nim zabrakło. - Pomyślałam o urywanym śmiechu Pip albo przeskakiwaniu z łóżka do łóżka z Ruby, zawsze w sobotę rano, kiedy czekałyśmy na naszą kolej na pójście pod prysznic.

Po dłuższej przerwie odezwał się Benny.

- Ja kochałem mojego brata - powiedział.

- A ja moją mamę - dodał piętnastoletni Michael.

- Ja też kochałam mamę - wyznałam. - Wciąż ją kocham.

Na tym polega miłość, to uczucie nigdy nie odchodzi, nawet gdy odejdzie ukochana osoba. - Zaczekałam chwilę i ponownie otworzyłam książkę. - Codziennie chłopiec przychodził, zbierał liście i robił z nich koronę...

- Kevin! Michael! Aaron! Gdzie jesteście? - Na korytarzu rozległ się głos Leifa. Wyszedł zza rogu. Umięśnione ciało miał pokryte popiołem i błotem. Znow beznamietnie się we mnie wpatrywał czarnymi jak marmur oczami. - Gdzie są wiadra?

Kilku starszych chłopców poderwało się z podłogi.

- Chcieliśmy po nie pójść po skończeniu... książki.

- Książki?! - powtórzył Leif i zaczął się do nich zbliżać.

Nie patrzył na mnie, odwrócił głowę, jak gdybym była krzesłem, biurkiem, ziemią pod jego stopami. - Macie to zrobić teraz, bo miało to zostać zrobione rano. Chcę wszystkie wiadra z deszczówką widzieć w środku, wokół ogniska.

- Czy to nie może poczekać kilku minut? Prawie skończyliśmy - powiedziałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Chłopcy, zdziwieni brzmieniem mojego głosu, odwrócili się.

Leif zrobił krok w moją stronę i wypełnił przestrzeń między nami zapachem pizma.

- Zaczekać na to? - Wyrwał mi książkę z rąk. - Na to? Chłopcóm nie trzeba czytać książek dla dzieci. Muszą nauczyć się, jak się bronić.

- I zrobią to. - Wyprostowałam się. - Ale muszą też umieć odczytać najprostsz znak drogowy albo napisać własne imię.

Leif rozejrzał się po klasie. Na ciasnej przestrzeni ścisnęło się prawie dwunastu chłopców. Otworzył usta, a potem

zamknął je jak ryba wyrzucona na brzeg. Później spojrzął w oczy Kevina, najstarszego w pokoju, i skinął głową.

- Dobrze, możecie napełnić wiadra zaraz po lekcji. A co do ciebie... - Spojrzął na mnie. Mogłabym przysiąc, że mimo lodowatego spojrzenia miał spokojną twarz, łagodny wyraz ust i nigdy jeszcze nie widziałam go bliższego uśmiechu. - Jeśli masz zamiar tu zostać i uczyć chłopaków, musisz poznać ich obowiązki. Starsi... - wskazał na Kevina i Aarona, który ochładzali się, przyciskając plecy do zimnej ściany - niedługo opuszczą jaskinię i zaczną polować oraz pełnić straż. Ceremonia inicjacji rozpocznie się pojutrze, o zachodzie słońca. - Wyszedł na zewnątrz i schylił się, żeby nie uderzyć głową w niski sufit.

Spojrzałam na chłopców, wciąż trzymając w rękach książkę. Czułam przyływ mocy, tak jakby pod moimi stopami zatrzęsała się ziemia. Przez moje ciało przenikała energia, a gdy wypowiadałam te słowa, sala wydawała mi się o wiele większa:

- Codziennie chłopiec przychodził, zbierał liście i robił z nich koronę...

Rozdział 15

Później, tej samej nocy, gdy zduszony kaszel Arden ustąpił miejsca rytmicznemu oddechowi osoby pogrążonej we śnie, wyjęłam latarkę z uchwytu przy podłodze i zagłębiłam się w tunele. Obozowisko pogrążone było w ciszy. Wijący się korytarz już dawno opustoszał. Po kilku dniach zrozumiałam ogólną zasadę połączeń korytarzy, tych pięciu ścieżek wychodzących z okrągłej głównej sali i tworzących pod wzgórzem system oparty na planie gwiazdy. Zakreśliłam i ruszyłam drugim tunelem, licząc w ciemności drzwi.

Wciąż myślałam o Paulu, bracie Benny'ego, który siadywał przy biurku w rogu, ćwiczył czytanie i sypiał na tym samym materacu, na którym ja wpatrywałam się w załamania sufitu. Może przeczuwał zbliżanie się dnia swojej śmierci jak nadchodzącą burzę. A może jak co rano zawiesił na ramieniu łuk i wyruszył na polowanie. Może minął pokój Benny'ego, ale ponieważ nie wiedział, że to ostatni raz, postanowił go nie budzić i przekonał się o straconej okazji, dopiero gdy odcięła mu drogę ucieczki grzmiąca fala, masa białej wody wlewająca mu się do płuc.

Chrapanie wypełniało ledwie oświetlony korytarz, a ja szłam, przesuwając dłoń po kamiennej ścianie. Wciąż miałam tyle pytań. Co się działo w obozach poza pracą polegającą na gromadzeniu cegieł i kamieni? Jak dzieci tak małe, jak Benny i Silas, dostały się do obozu? Te szczegóły, które znałam, nie wystarczały mi. Nie mogłam zasnąć z powodu tego samego uczucia, które czasem dopadało mnie w szkole. Dyrektorka nazwała je kiedyś „głodem wiedzy”.

Skręciłam za róg na wysokości szóstych drzwi i oto był przede mną, w wygniecionej koszulce i postrzępionych szortach. Nogi miał przerzucone przez podłokietnik głębokiego fotela, a głowę położył na drugim podłokietniku.

- Caleb? - zapytałam. - Śpisz?

Ocknął się nagle i szybko rozejrzał, jak gdyby nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem potarł twarz, przygładził włosy i uśmiechnął się.

- Witam w moich skromnych progach. - Wskazał gestem leżący na podłodze goły materac, nakryty tylko kołdrą, z której szwów wyłaziły pióra. Na stoliku przy łóżku stało metalowe radio i słuchawki, takie same, jakie miałam w szkole. Na ścianach rozwieszono były mapy, a ich brzegi zawijały się od wilgoci.

- Co robisz z tymi książkami? - spytałam, przestępując przed wysoki stos leżący na podłodzie. Przesunęłam palcami po grzbietach i rozpoznałam kilka znajomych tytułów: Jądro ciemności, Wielki Gatsby i Do latarni morskiej.

Caleb usiadł obok i otarł się o mnie ciepłym ramieniem.

- Robię z nimi coś strasznie dziwnego - powiedział i popatrzył na mnie z łobuzerskim uśmiechem. - Otwieram książkę i przesuwam wzrokiem po każdej stronie. To się nazywa czytanie.

- Wiem, co to jest czytanie! - roześmiałam się. Po szyi rozlało mi się gorąco i podpełzło aż do policzków. Przeczesałam palcami włosy. Od czasu ucieczki ze szkoły nie widziałam lustra. - Ale jakim cudem? Benny powiedział, że tutaj nie miał kto nauczyć go czytać.

- A więc poznałaś Benny'ego? - zapytał Caleb. Patrzył na mnie uważnie, czułam jego wzrok na twarzy, ustach, brwiach i policzkach.

Skinęłam głową.

- Dzisiaj. Poznałam też Silasa i kilku innych chłopców. To Silas był tą małą dziewczynką, którą widziałam. Miał na sobie tutu.

Caleb się roześmiał.

- Znalazł tę spódniczkę w pudłach, które zabraliśmy z magazynu. Leif i kilku starszych chłopaków wiedziało, co to jest, ale jak moglibyśmy mu powiedzieć? Uwielbia ją.

Uśmiechnęłam się i w jednej chwili poczułam, że w moim ciele budzą się wszystkie nerwy. Sięgnęłam po Jądro ciemności i z ulgą poczułam w dłoniach ciężar, który ukoił drżące palce.

- Zaczęłam uczyć ich czytać. Nigdy nie pokazałeś im alfabetu? Nie nauczyłeś pisać ich imion?

- Do obozu pracy dostałem się w wieku siedmiu lat, więc zdążyłem się czegoś nauczyć jeszcze przed zarazą. Moja mama nauczyła mnie podstaw, zanim umarła. Krótkich słów i głosek. A potem, już tutaj, czytałem w nocy, żeby jakoś się oderwać... - Spojrzał na sufit. Zarost na jego twarzy był coraz wyraźniejszy i wyglądał jak cień na szyi i policzkach. - Ale nie przyszło mi do głowy, żeby uczyć chłopaków, szczególnie pod okiem Leifa. Jako najstarsi musimy polować, łowić ryby, badać teren i pilnować, czy nie nadchodzą żołnierze. Całe dnie, codziennie. Oni potrzebują jedzenia bardziej niż książek. Niestety. - Westchnął i popatrzył mi w oczy. - Ale cieszę się, że ty ich nauczysz. - Nie spuszczał wzroku i to ja musiałam się odwrócić.

- Przeczytałeś je wszystkie? - zerknęłam na Annę Kareninę i W drodze, które dość osobliwie wyglądały wciśnięte pomiędzy Historię sztuki dla żółtodziobów a Kompendium pływania.

- Każde słowo - roześmiał się Caleb. - Widzisz, jednak nie jestem aż takim dzikusiem. - Podarta szara koszula była niezapięta i co jakiś czas odsłaniał się fragment jego opalonej piersi.

- Przecież nic takiego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś - odparł.

Przeszłam przez pokój do kolejnego stosiku książek, a Caleb poszedł za mną, szedł po moich śladach, jak gdyby naśladował mnie w tańcu.

- Nie miałam racji - powiedziałam. Stojąc tak blisko niego, widziałam brązowe cętki na jego bladozielonych tęczęwkach.

Caleb okrążył mnie i śmiał się, jak gdybym była jakimś cudownym stworzonkiem, które znalazł w krzakach.

- Czyżby? - tylko tyle powiedział.

- Och, a to... - Sięgnęłam po Do latarni morskiej. Stronice były pozawijane na rogach. - Charles Tansley! Co za koszmar. Kim on był, żeby mówić kobiecie, że nie może malować, nie może pisać? A to, że pan Ramsay tak po prostu zapomina o swojej żonie po jej śmierci. Na końcu w zasadzie omdlewa nad Lilly!

- Wiedziałem, że uczyli cię głupot, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia.

- O co ci chodzi?

Caleb zbliżył się do mnie o krok i poczułam, że jego skóra pachnie dymem.

- Pan Ramsay jest w żałobie, jest zdruzgotany. Dlatego zabiera Jamesa do latarni, wciąż myśli o tej kłótni z żoną sprzed kilku lat.

Zmarszczyłam brwi i zastanawiałam się nad tym, co powiedział.

- Książka opowiada o tym, co się stało, gdy pani Ramsay zabrakło, o tym, jak ważna jest matka i jak szybko wszystko się bez niej rozpadło - kontynuował. - Wszyscy ją kochali.

Przypomniałam sobie, że na lekcji pani Agnes opowiadała, że mężczyźni pożądamy młodszych kobiet i są niezdolni do zaspokojenia potrzeb emocjonalnych swojego otoczenia. Wówczas wszystko to wydawało się tak oczywiste.

- To tylko twoje zdanie. - Jeszcze walczyłam, kręciłam głową.

Ale Caleb nie odwrócił wzroku. Twarz miał do połowy oświetloną przez lampę, dzięki czemu jego rysy wydawały się łagodniejsze.

- To treść książki, Eve. - Postukał palcami w twardą okładkę.

Odłożyłam ją i usiadłam na fotelu, po raz pierwszy nie wzdragając się od zatechłego zapachu, którego w tym obozie nie dało się uniknąć.

- Chodzi o to... - zaczęłam, ale nagle się zawstydziłam. Przypomniałam sobie ten wieczór w gabinecie lekarskim, tuż zanim opuściłam szkołę. Pani Florence powiedziała mi, że Król chciał zaludnić ziemię efektywnie, bez dodatkowych komplikacji w postaci rodziny, małżeństwa i miłości. Mówiła, że początkowo dziewczyny robiły to z własnej woli. To miało jakiś obłąkany sens. Nauczycielki musiały wierzyć, że jeśli będziemy bały się mężczyzn, nigdy nie zaczniemy ich pożądać. Nie będziemy pragnęły miłości ani własnej rodziny. I chętniej zrobimy to, co one nam każą. - Nie tego mnie uczono.

Odwróciłam się z nadzieją, że Caleb nie widział fali emocji w moich oczach. W szkole pracowałam bardzo ciężko, na każdej lekcji robiłam szczegółowe notatki, zapisywałam całe stronice, aż mdlały mi palce. I po co to wszystko? Żeby zapakować sobie głowę kłamstwami?

- Czasem wydaje mi się, że nie mam pojęcia o tym, co powinnam wiedzieć. A wszystko, co wiem, to kompletne bzdury. - Z nagłą frustracją wbiłam sobie paznokcie w dłoń. Narastał we mnie gniew. Zerwałam się i ruszyłam w stronę drzwi, ale Caleb złapał mnie za rękę i pociągnął z powrotem.

- Zaczekaj. - Zacisnął palce wokół moich na chwilę, zanim je wypuścił. - Co masz na myśli?

- Spędziłam dwanaście lat w szkole i... nawet nie potrafię pływać - zakończyłam, przypomniawszy sobie panikę tamtej nocy nad rzeką. Nie potrafiłam polować, łowić ryb, nie miałam nawet pojęcia, w której części kraju właściwie się znajduję. Byłam zupełnie bezużyteczna.

Wstał i poprowadził mnie do drzwi.

- Masz, Eve - powiedział i podał mi swój egzemplarz Do latarni morskiej. - Weź moją książkę. Możesz przeczytać ją jeszcze raz, dla siebie.

Przez chwilę staliśmy w progu. Głową dotykał sufitu. Przesunęłam palcami po pogniecionej okładce i zastanawiałam się nad tym, co powiedział. Może tutaj, w tej norze, z dala od nauczycielek i wykładów, książka będzie inna. Może ja będę inna. Słuchałam naszych zsynchronizowanych nagle oddechów.

- Ale to nie rozwiązuje tego, że nie umiem pływać - dodałam. Nie mogłam się nie uśmiechnąć, widząc jego spojrzenie.

- To ta łatwiejsza część. - Oparł dłoń o ścianę, tylko kilka centymetrów nad moją głową. Policzek miał zarosnięty gęstą szczecinią lśniąca w świetle latarni. - W ciągu jednego dnia mogę cię nauczyć.

- Jednego dnia? - powtórzyłam i zaczęłam się zastanawiać, czy słyszy, jak bije mi serce. - Nie wierzę.

- Uwierz - powiedział. Znów zatrzymał na mnie swoje bladozielone oczy. Brałszy udział w konkursie: kto jako pierwszy odwróci wzrok.

Jeden - liczyłam w myślach - dwa, trzy... Odpadłam pierwsza. Zanurkowałam pod jego ramieniem i weszłam do tunelu.

- Więc jesteśmy umówieni - stwierdziłam i ruszyłam z powrotem do swojego pokoju. Kiedy się odwróciłam do niego, wciąż na mnie patrzył. - Dobranoc - rzuciłam przez

ramię, a gdy odchodziłam ciemnym, zatęchłym korytarzem, żeby wrócić do łóżka, czułam na sobie jego ciepłe spojrzenie.

Rozdział 16

Kiedy przyszedliśmy na brzeg, Caleb zdjął podkoszulek i wskoczył do jeziora. Miał złączone nogi i poruszał się tuż pod powierzchnią wody. Skierował się w stronę głębin, a potem zniknął w odmętach koloru atramentu.

Czekałam. Minęła minuta. Potem kolejna. Wpatrywałam się w niebieskie fale, ale nie było po nim śladu.

- Caleb? - zawołałam. Zeszłam na brzeg i wypatrywałam choćby śladu po nim, ale powierzchnia jeziora była niewzruszona.

W końcu wystrzelił z tafli jeziora, prawie sto metrów dalej, a woda rozbryzgnęła się wokół jego głowy. Odetchnęłam głęboko, jak gdybym wstrzymywała oddech razem z nim.

- Szpaner! - krzyknęłam.

Zrzuciłam z ramion zmechacony ręcznik i odsłoniłam „kostium kąpielowy”, który spreparowałam na tę okoliczność: dzinsowe szorty i mój podarty szkolny sweter, z którego dzisiaj rano wycięłam krzyż. Zrobiłam to nożem i myślałam o Pip.

Zanurzyłam w wodzie palce i puls mi przyspieszył. Woda była zimna. Słońce chowało się za drzewami, a powietrze było chłodniejsze niż zazwyczaj. Zakręciło mi się w głowie, kiedy popatrzyłam na miejsce, w którym jezioro robiło się głębsze i ciemniejsze. Pozwoliłam gładkim kamieniom masować spody moich stóp i starałam się uspokoić nerwy. Byłam pewniejsza, spokojniejsza, może nawet odważniejsza. Arden czuła się lepiej. Wciąż leżała w łóżku, ale więcej piła i jadła, a rumieńce wracały jej na policzki. Już nie wzdrygałam się, kiedy mijałam Leifa na korytarzu, i nie bałam się eksplorować korytarzy. Powoli, ale jednak, przyzwyczajałam się do tymczasowego domu.

Caleb przypląnął do mnie, a jego umięśnione ciało przechylało się to na jedną, to na drugą stronę, gdy wyrzucał nad wodę ramiona. Kiedy dopłynął na płyciznę, wynurzył głowę.

- Dobry moment na pływanie - powiedział i wyciągnął rękę: - Tutaj jest płytko.

Woda sięgała mu do pasa. Ale ja myślałam o tej nocy w szkole i dławiącym uczuciu, które mnie ogarnęło, gdy grunt uciekł mi spod stóp. Poruszałam się do przodu powoli i ostrożnie, pozwalałam, by woda obmywała mnie centymetr po centymetrze. Caleb podszedł bliżej i podał mi rękę.

Złapałam ją bez namysłu i poczułam to samo ciepło, które ogarnęło mnie w jego pokoju. Skóra mrowiła mnie od jego bliskości.

- Widzisz? - zapytał, a woda rozbijała się o jego opaloną piegowatą pierś. - To nic takiego.

Jeszcze kilka kroków i woda sięgała mi do talii. Spojrzałam w dół i przeraziłam się nagłym zniknięciem moich stóp. Zapraǳnęłam odwrócić się, uciec na brzeg i stanąć na pewnym gruncie. Ale Caleb chwycił mnie za drugą rękę i patrzył na mnie, a jego bladozielone oczy nakazywały spotkanie z nim. Razem poszliśmy na głębszą wodę.

- W porządku? - zapytał, gdy woda sięgała mi do ramion. Skinęłam głową i czekałam, aż serce mi się uspokoi. - Dobrze. A teraz się zanurzymy. Raz, dwa...

- Zaczekaj! - krzyknęłam. - Chcesz, żebym weszła pod wodę? - Potrzebowałam więcej czasu, żeby się przygotować, przyzwyczaić do temperatury.

- Tak. Zostaniemy pod wodą tak długo, jak wytrzymasz. Na trzy. - Miałam zaprotestować, ale Caleb znów zaczął odliczanie. - Raz, dwa, trzy - powiedział, a ja nabrałam powietrza w płuca, zacisnęłam usta i wślizgnęliśmy się pod wodę.

Byłam całkowicie zanurzona, serce waliło mi w uszach. Czułam, jak moje płuca pozbywają się powietrza, a bąbelki unosiły się w górę, pozostawiając mnie w zimnej wodzie. Caleb był pół metra przede mną, miał otwarte oczy i trzymał mnie za ręce. Twarz miał łagodną, poważną i tak słodką, że na moment zapomniałam, że jesteśmy inni. Że był przedstawicielem drugiej płci, tej, przed którą mnie ostrzegano. Tej, której bałam się przez większość życia.

W tej chwili to był po prostu Caleb. Uśmiechałam się i on się uśmiechał, a nasze ramiona tworzyły krąg w nieruchomej wodzie.

Zostaliśmy nad wodą aż do zmierzchu. Ćwiczyłam wstrzymywanie oddechu i nurkowanie aż do momentu, w którym przestałam się wynurzać, gdy zakryła mnie woda. Caleb nauczył mnie, jak przebierać nogami i przesuwać się naprzód, kopiąc stopami pod wodą. Pokazał mi, jak się dryfuje. Czułam końce jego palców na plecach i wypełniałam brzuch powietrzem. Zamknęłam oczy i udawałam, że moje blade nogi nie są całkiem wyeksponowane, a mokry sweter nie opina się na moim ciele.

Kiedy wracaliśmy przez las, niebo zmieniało się z purpurowego w szare, a suche igły łamały się pod naszymi stopami. Owinęłam się ręcznikiem, ale i tak nie mogłam przestać się trząść. Caleb zdjął bluzę i podał mi ją, wywinąwszy uprzednio rękawy, żebym miała dłonie na wierzchu.

- Skończyłam książkę. Czytałam całą noc - powiedziałam, gdy owinęłam się grubą miękką tkaniną. Była jeszcze trochę rozgrzana jego ciepłem i od razu poczułam się lepiej. - Miałeś rację. To nie ta historia, której mnie uczono.

- Tak myślałam, że za drugim razem będzie lepiej. - Woda spływała mu z dredów na plecy i wiła się wśród mięśni rzeźbiących ramiona.

- Zastanawiałam się... - zaczęłam - skąd wiesz tyle o świecie poza obozami pracy? Skąd się tu wzięłaś? Skąd wiesz, dokąd iść? Opowiedz mi.

Caleb czekał, aż go dogonię. Szliśmy wąską ścieżką i nurkowaliśmy pod nisko zwieszającymi się gałęziami. Szedł przede mną i unosił gałęzie, żebym mogła się pod nimi prześlizgnąć, a potem znów mnie wyprzedzał, żeby za chwilę zrobić to samo.

- Te tygodnie po śmierci Ashera były dziwne - zaczął, nie spuszczać z oczu ścieżki. - Leif odmawiał pracy i przez większość czasu przebywał za karę w odosobnieniu. Wszyscy inni bali się zrobić cokolwiek, co mogłoby rozwścieczyć strażników. Jedyne, co wolno nam było robić w obozach pracy, to słuchać radia. Chłopcy leżeli więc na swoich pryczach i słuchali z czarnych metalowych odbiorników programów nadawanych z Miasta Piasku.

- Też czasem słuchałam w szkole tych stacji - wtrąciłam i wycisnęłam wodę z włosów. Raz w miesiącu zasiadałyśmy w audytorium i słuchałyśmy o wydarzeniach w Mieście. Król opowiadał o gigantycznych drapaczach chmur albo nowych szkołach powstających w obrębie murów. Miasto powstawało na pustyni - „budować coś z niczego”, jak mówił - i miało być otoczone murami tak wysokimi, żeby wszyscy czuli się bezpiecznie. Nie lękali się buntowników, chorób, innych niebezpieczeństw. Wtedy jego słowa dawały mi poczucie bezpieczeństwa.

- Król mówił tak dostojnie, tak emocjonująco.

Caleb kopnął kamyk bosą stopą.

- Pamiętam ten głos. Zapamiętam go na zawsze. - Rzucił kamień między gałęzie, a twarz mu spochmurniała. Poczzerwieniał. - Nigdy nie mówił o sierotach, które pracowały w Mieście. O siedmioletnich chłopcach, którzy przez czternaście godzin dziennie w czterdziestostopniowym upale

rozbierali budynki. O tych przygniecionych przez walące się ściany albo tych, którzy spadali z wieżowców. O dziewczynach, których używano jako klaczy zarodowych. Mówił tak, jakby Nowa Ameryka była miejscem dla wszystkich, jakby wszystkich nas brał pod uwagę, ale to nieprawda. Budował ten świat na barkach sierot. Jedyne miejsce dla nas było pod jego butem.

Kiedy szliśmy, łapałam w dłonie rosnące przy ścieżce długie źdźbła trawy.

- Kto wychowuje dzieci? Mieszkańcy Miasta?

- Mieszkańcy Miasta siedzą teraz w nowych domach wzniesionych nad kanałami, które wybudowali czternastoletni chłopcy, i wychowują dzieci, które urodziły osiemnastoletnie dziewczyny. A może zjeżdżają na nartach po wewnętrznych stokach albo posilają się w restauracjach, w których sieroty pracują za darmo. To obrzydliwe. - Skrzywił się.

- W jaki sposób uciekłeś? - zapytałam ponownie. Myślałam o koszmarze obozu pracy, o Asherze porzuconym w lesie z unieruchomionymi nogami i o małych chłopcach, takich jak Silas, noszących na plecach ciężkie kamienie.

- To się stało pewnego wieczoru po wysłuchaniu szczególnie rozsierdzającego przemówienia o nowym pałacu królewskim - zaczął Caleb po tym, jak podał mi rękę, gdy przechodziłam nad głazem. - Nie mogłem zasnąć. Patrzyłem na puste prycze Ashera i Leifa. Strażnicy znaleźli w lesie dwuletniego chłopca. Dopiero co został sierotą i płakał. Sieroty nie były efektem jedynie zarazy - Caleb przerwał opowieść, żeby mi to wyjaśnić. - Warunki życia były tak trudne, a świat był pogrążony w takim chaosie, że wiele dzieci straciło rodziców nawet po ustąpieniu wirusa. Byłem tak zubożniały, że przez dwie godziny słuchałem jego płaczu. Gang zastrzelił jego matkę. Miałem to gdzieś. Byłem pusty. Nie mogło mnie to dotknąć, bo nie było we mnie wrażliwego

miejsca. Byłem tak... - Caleb zatrzymał się i odwrócił do mnie. Odchrząknął i ostrożnie dobierał słowa: - Byłem tak bezduszny. Do dziś mi za to wstyd. - Nie mogłam sobie go wyobrazić tak zimnego, po tym jak tulił głowę łani i głaskał ją po miękkiej szyi, dopóki nie umarła.

Chwycił się gałęzi i przesuwiał palcami po nierównej korze.

- Zacząłem myśleć o tym i doszedłem do wniosku, że nie mogę tak dłużej żyć. To nie było życie. Byłem przerażony i zdesperowany. Trzymałem w rękach radio, włączałem je, bawiłem się nim. - Wypuścił powietrze z płuc. Przestał poruszać palcami. - Nagle usłyszałem głos. Wygadywał jakieś bzdury.

- Co mówił? - zapytałam i zrobiłam krok naprzód, żeby zlikwidować niepotrzebny dystans między nami.

- Na zawsze zapamiętam pierwsze zdanie. Brzmiało: Pamiętał o morzu ogromnym, co nocą adamaszkową darło ciasne hełmy obroże dzikie zęby irysów.

Pochyliłam się, jak gdyby bliskość miała pomóc mi zrozumieć sens tych słów.

- Jakich irysów? Nie rozumiem.

Od strony gór powiał wiatr, gałęzie się poruszyły. Cienie przesunęły się po twarzy Caleba.

- Ja też na początku nie rozumiałem. Facet mówił dalej to samo. Powtórzył to kilka razy, a potem wypowiadał następne tajemnicze zdania. Zawsze powtarzał słowa tym hipnotyzującym głosem. Rozejrzałem się wokół, żeby sprawdzić, czy oderwałem się od rzeczywistości i zapadłem w sen albo coś w tym stylu. Kiedy za dziesiątym razem powtórzył to samo, przestałem wsłuchiwać się w sens słów, a zacząłem zwracać uwagę na to, jak mówi. Usiłował mi coś przekazać, miał niemal błagalny głos. - Caleb spojrzał w górę,

prosto na mnie. Miał czerwone i zażawione oczy. - Pamiętał o morzu ogromnym co...

Poczułam, że gardło ściska mi się z emocji:

- P - O - M - O - C - N - A - D - C - H - O - D - Z - I.

Caleb uśmiechnął się i poczułam, że cały świat się rozpada: drzewa, ścieżka, góry, niebo, byliśmy tylko my.

- Tak. - Skinął głową. - Pomoc nadchodzi. - Wyciągnął rękę, a ja ją chwyciłam. - Głos mówił dalej. W następnych zdaniach zdradził umiejscowienie obozowiska w lesie, gdzie przyjmują uciekinierów. Zajęło mi to kilka miesięcy. Czekałem na Leifa, żebyśmy razem opracowali plan ucieczki. Analizowaliśmy godziny służby strażników i znaleźliśmy lukę. Uciekliśmy pewnej nocy, tylko we trzech.

- Trzech?

Caleb spojrzał na nasze złączone dłonie i uśmiechnął się delikatnie, jak gdyby ten widok mu się podobał.

- Wzięliśmy tego małego chłopca, którego matkę zastrzelono. Silasa. - Caleb splótł nasze palce i mocno uścisnął moją dłoń. Ruszyliśmy dalej ścieżką.

- I dotarliście tutaj - dokończyłam, wciąż patrząc mu w oczy, gdy wyszliśmy na polanę przy jaskini.

- To było pięć lat temu. Obóz zbudowała grupa chłopaków, a dowodził nimi ten człowiek, którego głos słyszałem przez radio. Nazywał się Moss. On zainicjował Szlak. Na zachodzie jest cała sieć bezpiecznych przystani, prowadzących do takich nor, jak ta. Leif, Silas i ja szliśmy dwa miesiące, żeby tu dotrzeć, spaliśmy w domach buntowników. Ci ludzie wciąż tam są, żyją poza granicami Miasta. Nie wierzą w to, co mówi Król, i pomagają w ucieczce chłopcom i dziewczynom.

Złapał klamkę wjazdu i pociągnął, żeby odsłonić ukryte wejście. Wewnątrz było cicho i ciemno. Dźwięk naszych bosych stóp na posadzce uspokoił mnie.

- A więc o tym mówiła pani Florence Kalifia... Tam pójdziemy z Arden. Nad wodę. - Patrzyłam na Caleba, żeby zobaczyć, czy jakimś grymasem, skrzywieniem zdradzi, jakie uczucia wiążą się z moim odejściem, ale jego twarz była niewzruszona. Teraz, kiedy Arden mogła już chodzić, choć tylko po naszym maleńkim pokoju, to była kwestia tygodnia, dwóch, kiedy wyruszymy w dalszą drogę. Zastanawiałam się, czy dam radę zostawić norę i wyruszyć na zachód, tak jak planowałam. Caleb był wciąż tuż obok, a ja już za nim tęskniłam.

- Tak, to także bezpieczna przystań dla sierot i Bezpańskich, największa - powiedział tylko.

- A gdzie jest teraz Moss? - zapytałam. Caleb puścił mnie naprzód ciemnym tunelem.

- Mówiło się, że jest w Mieście, ale to nic pewnego. Przez większość czasu ukrywa się i podróżuje wzdłuż Szlaku w taki sposób, że nie można go wytropić. Przesyła wiadomości, ale nie widzieliśmy go od ponad roku.

Żałowałam, że nie wiedziałam nic o komunikatach radiowych i o Szlaku, zanim opuściłam szkołę. Zanim wyszłam z naszego pokoju, zostawiwszy Ruby i Pip na wąskich łózkach pogrążone w pięknych snach. Może uda mi się skontaktować z nimi z Kalifii. Odnaleźć je.

Poczułam lekki uścisk dłoni Caleba, gdy dotarliśmy do mojego pokoju. Czulałam słodki zapach potu i dymu na jego skórze. Zauważyłam, że piegi rozsypały się po jego nosie i czole, tam gdzie skórę chwyciło słońce. Nie odzywaliśmy się do siebie. Zamiast mówić, dotknęłam jego dłoni, zataczałam palcami kółka wokół jego kłykci i paznokci, po raz pierwszy nie zwracając uwagi na to, że jest brudny. Oparł policzek na czubku mojej głowy, a ja wdychałam jego zapach świadoma, że mój nos od jego piersi dzieli jakieś dwa centymetry.

- Świetnie dałaś sobie dzisiaj radę - powiedział w końcu. Uściskał mi rękę na pożegnanie.

- Jeszcze raz dzięki za lekcję. - Weszłam do pokoju, ale nie mogłam się powstrzymać i odwróciłam się. Nie ruszył się z miejsca, wciąż stał oparty o futrynę.

Słuchałam tego, co mówiła pani Agnes. Uczyłam się o złudzeniu porozumienia na zajęciach z Zagrożeń Wywoływanych przez Mężczyzn i Chłopców i czytałam rozdział o subtelnych manipulacjach. Ale pod tym wszystkim, gdzieś głęboko we mnie, była inna wiedza. W miejscu, do którego nie docierał nawet strach ani starannie sfabrykowana edukacja. Sposób, w jaki Caleb śpiewał dzisiaj w lesie, odrzuciwszy głowę, a jego głos odbijał się echem wśród drzew. Jedzenie, które dostawałyśmy każdego ranka i każdego wieczoru, niepokojąco poplamione ręczniki i podkoszulki, woda do kąpieli, jaką przynosił Arden, choć nikt go o to nie prosił.

Wiedziałam z pewnością być może większą niż wiedziałam cokolwiek innego, że on jest dobrym człowiekiem.

- Dobranoc, Eve. - Spuścił wzrok prawie nieśmiało i zniknął w ciemności.

Rozdział 17

Założę się, że Aaron pływa najszybciej - oznajmił Benny i ścisnął mnie za rękę. - Jest jak ryba.

Staliśmy razem na polanie przy północnym wyjściu z nory i wpatrywaliśmy się w jezioro, poszukując nowych myśliwych. Gorączka u Arden ustąpiła i na policzki wróciły jej kolory. Nogi miała wciąż słabe, ale uparła się, by przyjść tu z nami, i cieszyłam się, mając ją przy boku.

Arden wyrywała rękę z uścisku małej rączki Silasa.

- Masz spoconą dłoń - powiedziała i wytarła rękę o postrzępione dzinsowe szorty. - Czuję się, jakbym trzymała ślimaka. - Potarła ręką o spodnie kolejny raz i jeszcze, a jej blady nos aż zmarszczył się z obrzydzenia. - No co? - spytała mnie. - Z czego się śmiejesz?

- Naprawdę czujesz się lepiej - parsknęłam. Przebywała poza łóżkiem niecałą godzinę, a jej cierpliwość już była na wyczerpaniu. Poczytywałam to za dobry znak.

Przez cały dzień, kiedy ja uczyłam chłopców, Caleb i Leif przeczesywali las w poszukiwaniu żołnierzy. Kiedy uznali, że jest bezpiecznie, zabrali nowych myśliwych na drugą stronę jeziora, gdzie rozpoczął się ich morderczy marsz. Mieli przebiec szesnaście kilometrów wokół skalistego brzegu, a na koniec skoczyć do jeziora. W każdej chwili mogli wyłonić się zza linii drzew i wbiec na plażę, gdzie czekały na nich cztery włócznie z lśniącymi bielą w ostatnich promieniach słońca kościanymi grotami.

Patrzyłam w to miejsce, gdzie drzewa schylały się nad wodę. Tam Caleb uczył mnie pływać. Wczorajszej nocy śniło mi się, że znów byliśmy w jeziorze, unosiliśmy się na wodzie, a on trzymał mnie za rękę. Przez cały dzień, nieważne, czy oprowadzałam Arden po jaskini, czy poprawiałam słowa wypisywane przez Benny'ego na ziemi, wypełniał moje myśli.

Jego uśmiech, palce na moich plecach, zapach jego skóry na moim podkoszulku.

Kyler, wysoki chłopak z rudymi lokami, wybiegł zza krawędzi klifu.

- Tam są! Widzę ich! - krzyknął. Trzymał połamaną lornetkę, a Benny i Silas poderwali się i usiłowali mu ją wyrwać. W miejscu, gdzie woda stykała się z niebem, pojawił się ruchomy punkcik.

Wkrótce potem chłopcy pojawili się na linii drzew, a ich ciała to chowały się w wodzie, to wyłaniały z niej, niczym wielkie nurkujące ryby. Na czele był Michael, jego afro widoczne było nawet z brzegu.

- Są szybcy! - ucieszył się Silas. Farba, którą miał pomalowaną twarz, rozmazała się i zostawiła złote zacieki na dłoniach. - Popatrzcie na Aarona!

- Dalej, dalej! - zagrzewał ich Benny.

Tłumek zgromadzony za nami rzucił się do krawędzi klifu, a tam zalał ich różowawy blask zachodzącego słońca. Kilku dwunastolatków uderzało patykiem o patyk, coraz głośniej i głośniej.

Kiedy zawodnicy zbliżyli się do brzegu, zza drzew wyłoniło się poobijane kanoe. Przy wiosłach siedzieli Caleb i Leif. Za nimi płynęły jeszcze cztery łodzie z najstarszymi chłopcami. Twarze mieli pomalowane na czarno, a wzdłuż policzków i na nosie narysowali kreski. Na widok Caleba, którego silne ramiona dawały sobie radę z falami, moje ciało zalała fala radości.

Ze wszystkich błędnych interpretacji pani Agnes potrafiłam wówczas wskazać tylko jedną złą.

- Szczęście jest przecuciem przyszłego szczęścia - mówiła, trzymając w dłoniach egzemplarz Wielkich nadziei. Przypomniałam sobie wtedy dzień, w którym Ruby znalazła w krzakach kociątko i na zmianę głaskałyśmy je po miękkim

brzusku i pozwalałyśmy mu bawić się na naszych kolanach. Przypomniałam sobie, że kiedy dyrektorka szła spać, układałyśmy materace w stos. Pamiętałam uczucia, które towarzyszyły skokowi: wyrzut sprężyn pod stopami, opadające ciało, śmiech aż do bezdechu.

Nie, pomyślałam wówczas, i teraz, kiedy patrzyłam na Caleba, który zauważył mnie i rozświetlił się w uśmiechu. Szczęście to chwila.

Aaron dotarł do płycizny i zaczął biec, a woda rozpryskiwała się wokół jego kolan. Za nim Michael, potem Charlie, a na końcu Kevin. Kevin krzywo spojrział w słońce, bez okularów jego ruchy były niepewne. Dobiegli do wyblakłych konarów drzew, pod którymi stały cztery włócznie z ostrzami wbitymi w piasek.

- Popatrzcie na nich! - krzyknął Silas i zgniótł w dłoniach swoje tutu.

Michael jako pierwszy złapał włócznię i wyrzucił w powietrze. Za nią poleciały następne, a potem nowi myśliwi zgięli się wpół ze zmęczenia. Silas i Benny zerwali się z miejsca i wraz z młodszymi chłopcami zbiegli w dół, żeby pogratulować Aaronowi, Kevinowi, Michaelowi i Charliemu.

Czółno Leifa i Caleba przybiło do brzegu, a dno łodzi skrobało o kamienie. Utorowali sobie drogę przez tłum podekscytowanych chłopców i dotarli do nowych myśliwych. Caleb spojrział na mnie i uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie.

- Cześć - bezgłośnie poruszyłam ustami.

- Uszy ci się czerwienią. - Arden dała mi kuksańca. - Panuj nad sobą.

Strzepałam włosy z pleców na uszy.

Leif nakazał nowym myśliwym stanąć przed nim w szeregu. Od tak długiego przebywania na zewnątrz, na słońcu, ramiona miał w kolorze cegły.

- Dzisiaj udowodniliście, że jesteście mężczyznami. Jutro wyruszyście na swoje pierwsze polowanie. Wiążemy z wami wielkie nadzieje. Ci chłopcy - Leif wskazał na najmłodszych; na Benny'ego, któremu leciało z nosa - potrzebują opieki i przywódców, którzy zapewnią im tutaj bezpieczeństwo, tu, z dala od obozów pracy. Te lasy są waszym domem, a chłopcy waszą rodziną. Jesteśmy braćmi. - Kiedy to powiedział, chłopcy dotknęli krzyży wytatuowanych na ramionach.

Caleb wyjął z kieszeni szortów kawałek węgla.

- Przyszedł czas, żebyście przysięgli lojalność wobec Szlaku. Zobowiązujecie się wykorzystywać swoje umiejętności dla dobra sierot, wolnych i zniewolonych?

Chłopcy skinęli głowami.

- Przysięgam - powiedzieli chórem.

Caleb zrobił krok naprzód i przeciągnął palec przez czoło i grzbiet nosa Michaela. Potem tak samo naznaczył twarze Charliego, Aarona i Kevina.

- Teraz jesteście myśliwymi. Jesteście mężczyznami! - ogłosił Leif.

Podniósł wysoko ręce, pięści miał zaciśnięte, a mięśnie odznaczały mu się pod skórą. Wyglądał jak rzeźby, które widywałam w książkach o sztuce, te wykute z kamienia przez Michała Anioła.

Jako pierwszy ruszył do przodu Silas. Podbiegł do Kevina i przylgnął do jego boku w niezdarnym uścisku. Pozostali też podbiegli, gwizdali i wiwatowali, klepali nowych myśliwych po plecach. Michael posadził sobie Benny'ego na ramionach, a Aaron dziękował Leifowi i Calebowi i ścisnął im ręce.

Kiedy emocje opadły, nowi myśliwi zasiedli przy pieńkach, na których stały talerze z mięsem dzika, miseczki pełne kolorowych jagód i dzbanki wody. Stopniowo milkli, a potem przemówił Caleb.

- Zanim zaczniemy jeść, musimy podziękować. Przede wszystkim za to, że nowi myśliwi wyszli zwycięsko ze swojej próby i będą od tej pory chronić naszych chłopców. Wiemy, że każdy posiłek jest zjednoczeniem dusz, dziękujemy ziemi za to, że dała nam te jagody, Michaelowi, który je zbierał, i dzikowi, który oddał życie, żebyśmy mogli pożywić się jego mięsem. Dziękujemy tym, którzy z taką troską przygotowali dla nas ten posiłek. - Caleb uniósł dzban w powietrze i popatrzył na mnie. - Jesteśmy też wdzięczni naszym dwóm przyjaciółkom, które dołączyły do nas, a szczególnie nowej nauczycielce, która wkłada wiele zaangażowania w każdą lekcję.

Po chwili poczułam na ramieniu uszczypnięcie Arden i wtedy zrozumiałam, że on ma na myśli mnie. Gardło mi się ścisnęło. Zauważył. Może przystanął w drzwiach pokoju Benny'ego i spojrzał na książki zgromadzone na biurku albo zabawki posprzątane z podłogi, żeby zrobić miejsce dla siedzących. Obserwował.

- Za Arden i Eve - dodał Leif, który złapał drugi dzbanek z wodą i wznosił w powietrze. Oczy miał skierowane w dół, nie patrzył na nas. Pozostali chłopcy odwrócili się i wyrażali wdzięczność skinieniem głowy albo uśmiechem i przekazywali sobie dzbanek, z którego pociągali długie powolne łyki. Potem uroczysty nastrój rozproszył się i rzucili się na pieczonego dzika, jagody i dzikiego indyka.

Kiedy nowi myśliwi najedli się i uspokoili rozgorączkowane emocje, Leif przemówił ponownie.

- Dziś jest pełnia - powiedział, wskazując na niebo. Księżyc był ledwie widoczny, błądy zarys rzucał się w oczy w miejscu, gdzie róż nieba przechodził w purpurę. - Odkryliśmy, że żołnierze zmienili kierunek. Porzucili południowe bazy. Co oznacza, że dziś...

- Najazd! - krzyknął Michael i wyrzucił do góry ręce, aż wypadło mu kilka kawałków mięsa dzika. - Wykradniemy ich zapasy!

Niespodziewane Silas zaczął wiwatować.

- Cukierki, cukierki! - krzyczał.

- Tak. - Skinął głową Leif i prawie się uśmiechnął. Ciasny koczek rozplótł mu się i po ramionach rozsypały się wilgotne czarne pukle. - To dobry czas na najazd. Spotkamy się tu za godzinę.

Chłopcy, zbierając resztki uczyty, skierowali się w stronę nory. Na nagiej skórze poczułam obejmujące mnie ramię.

- Mogę? - zapytał Caleb.

Skóra zamrowiła mnie w miejscu, gdzie stykała się z jego ciałem. Szliśmy obok siebie, stawiałam kroki w jego rytmie. Wyczuwał, co o nim myślę? Wiedział, że dostał się nawet do moich Snów, w których także za nim tęskniłam?

- Tak. - Tylko na tyle było mnie stać. - Tak.

Rozdział 18

Widziałam, jak obściskujesz się z Calebem. - Kiedy wróciłam, Arden była już z powrotem w norze i otulona w kurtkę siedziała zwinięta na materacu. Przytknęła latarkę do swojej twarzy, a potem skierowała ją na mnie.

Zignorowałam ją i włożyłam poszarpany sweter. Nocne powietrze było przesiąknięte mrozem, a nie wiedziałam, jak daleko będziemy iść.

- Dyrektorka nie byłaby zadowolona - dodała. Odgrodziłam się dłonią od strumienia światła.

- Przestań - powiedziałam tylko.

- Nie każ mi przestawać - roześmiała się. Bawiła się latarką. Snop światła objął teraz jej włosy uczesane na boba, mleczone nogi i zatrzymał się na bladej twarzy. - Wystarczy, że przez tydzień jestem chora, w tym czasie ty jesteś po uszy za...

- Nagle zakryła ręką usta. Myślałam, że będzie kaszleć, ale była cicho.

- Arden, co się dzieje?

Wskazała brodą za mnie. W drzwiach stał Caleb, ubrany w grubą brązową kurtkę i wełnianą czapkę, pod którą upchnął włosy.

- A ty jesteś po uszy zanurzona w wodzie... - desperacko dokończyła Arden, ale nawet ja nie byłam przekonana. Wstała i niepewnie przepchnęła się obok Caleba. - Spotkamy się przy ognisku - powiedziała i zniknęła w mrocznym tunelu.

Odwróciłam się od niego i włożyłam jeszcze jeden sweter.

- Możemy zrobić najazd razem z wami? - zapytałam i starałam się opanować drżący z nerwów głos. - Arden czuje się lepiej, zaklina się, że na tyle dobrze, żeby też iść.

Caleb złapał mnie za rękę. Potem spojrzał w dół, jak gdyby porównywał moje smukłe palce ze swoimi.

- Nie o to chodzi. Kiedy Leif powiedział, że żołnierze opuścili bazę - zaczął - miał na myśli to, że kierują się na północ, w stronę drogi.

- Z mojego powodu, prawda? - zapytałam, zanim Caleb zdążył powiedzieć coś jeszcze. Było to w połowie pytanie, w połowie stwierdzenie, ale jego milczenie potwierdziło moje przypuszczenia. - Przemieszczają się z mojego powodu. - Zamknęłam oczy, ale widziałam tylko reflektory ich dżipów oświetlające drogę w poszukiwaniu dziewczyny z ulotki.

Caleb pochylił się. Zmył z twarzy namalowane węglem linie, pozostał po nich tylko słaby zapach ognia.

- Ze względów bezpieczeństwa nie powinnaś iść z nami. Spotkanie z żołnierzami jest zawsze ryzykowne, tym razem szczególnie. - Przesunął palce po mojej dłoni i zamknął ją w uścisku.

Tak łatwo było się bać. Nawet tutaj, w tej podziemnej kryjówce, po której żołnierze mogli chodzić, nic o niej nie wiedząc, serce zaczęło mi bić szybciej. Miałam ochotę zwinąć się w kłębek, zakopać w kokonie z koców i poddać się, zapuścić tu korzenie na zawsze. Ale to by nic nie dało. Zawsze będą mnie ścigać. Każde światełko nad jeziorem oznaczało ich obecność. Każdy odgłos silnika. Każdy cień za drzewem to byli oni.

Całe życie spędziłam ograniczona murami szkoły. Jadłam, kiedy mi kazano, piłam, kiedy mi pozwalano, połykałam małe niebieskie pigułki, od których wariował mi żołądek. Czym była jedna noc na dworze? Czy nawet tego nie było mi wolno?

- A co, jeśli mimo to chciałabym iść?

- Wtedy pójdziesz - powiedział. - Ale chciałem, żebyś znała ryzyko.

- Ryzyko jest zawsze.

Popatrzył na mnie zielonymi oczami.

Zaczynałam dostrzegać, jak to się zaczęło między Calebem a mną. W drodze nie byłoby czasu na myślenie. Tylko Kalifia przed nami i podróż pożerająca kolejne dni. Ale tutaj, pod ziemią, gdzie uczyłam chłopców w pokoju Benny'ego, kiedy Arden zasnęła, opierałam się o ścianę z ziemi i wyobrażałam sobie, że zostaję. Potrzebowałam więcej czasu. Z Calebem i młodszymi chłopcami. Tygodnie czy miesiące mi nie wystarczały... Chciałam więcej. A co by było, gdyby tak się stało? Co wtedy?

Moglibyśmy żyć tutaj razem, to możliwe. W każdym razie do czasu, gdy Moss zgromadziłby wystarczająco wielu buntowników, żeby rozprawili się z królewską armią. Co najmniej do czasu, gdy sprowadziłabym tu Pip. Byłoby to niebezpieczne, ale ukrywałybyśmy się. Caleb i ja moglibyśmy zbudować wspólne życie.

- Trzymaj się blisko mnie, a jeśli coś się wydarzy, odłączymy się od grupy. - Przesuwał wzrokiem po moich ustach, aż w końcu spojrzął mi w oczy. Dźwięk jego oddechu wypełnił mi uszy i znów poczułam zapach węgla. Przysunęłam się bliżej. Był tylko kilka centymetrów ode mnie, wciąż obserwował mnie jasnozielonymi oczami. Nie mogłam się powstrzymać. Przycisnęłam usta do jego warg. Po ciele rozlało mi się ciepło, aż po czubki palców, gdy zagłębiliśmy się w siebie. Szłam za wskazówkami jego ust.

W jednej chwili zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Odsunęłam się od niego i wyrwałam mu dłoń, żeby położyć ją sobie na czole.

- Przepraszam, ja tylko... - Ale przyciągnął mnie do siebie. Przytuliłam czoło do jego policzka. Jego dłoń wędrowała po moich gęstych brązowych włosach, przeczesywał je palcami, aż w końcu spoczął w delikatnym wgłębieniu szyi.

- Nie przepraszaj. - Zamknął mnie w ciemnej jaskini ramion. Oplotłam go rękami i przytuliłam. Nie ruszaliśmy się, dopóki w tunelu nie rozległy się głosy zwołujące na wyprawę.

Rozdział 19

Trzymałam się Caleba, rozluźniłam się, wtulając w jego zatęchłą kurtkę. Arden trzymała mnie za ramiona i jechaliśmy tak przez gęsty las, wśród drzew ledwie widocznych w rozproszonym świetle gwiazd. Wcześniej Arden wypytywała mnie, zauważywszy rumieniec na policzkach i sposób, w jaki dotykam palcami warg, żeby sprawdzić, czy wciąż tam są. Śmiała się, gdy radośnie wsiadłam na konia i zajęłam miejsce pośrodku, gdzie mogłam złożyć głowę na plecach Caleba. Wszyscy mogli zobaczyć, że coś się między nami zmieniło. Ale ja trzymałam tę nowinę w głębinach klatki piersiowej, bo chciałam, żeby jeszcze przez jakiś czas była tylko moja. Chciałam ją mieć dla siebie i rozkoszować się nią.

Leif prowadził swojego konia między gałzami i połamanymi gałęziami drzewa ku południowemu posterunkowi. Konie wzbijały kłęby kurzu, a ich miarowy marsz brzmiał jednostajnie. Jechaliśmy wzdłuż kamienistego brzegu jeziora, którego nienaruszona, atramentowa tafla odbijała księżyc.

- Jeszcze tylko kawałek - szepnął Caleb.

Niebo przed nami przeciął nurkujący w powietrzu jastrząb.

Daleko stąd rozległ się wystrzał z pistoletu i odbił echem wśród gór. Arden objęła mnie mocniej i wbiła mi palce w skórę. Leif zawrócił konia w kępę wysokiej trawy. Sześć pozostałych koni podreptało za nim. Siedziały na nich czarne sylwetki starszych chłopców i czterech nowych myśliwych. Silas, Benny i pozostali młodszy chłopcy spali w norze ukołysani obietnicą porannych batoników i landrynek.

Leif rozejrzał się. Jego twarz pozostawała w cieniu.

- Posterunek jest sto metrów przed nami - szepnął. - Cokolwiek się stanie, nie używajcie siły.

- Jeśli cokolwiek się stanie? - powtórzyłam szeptem do ucha Caleba. - Co to znaczy?

- To tylko na wszelki wypadek - odparł. Przytulona do jego pleców czułam, jak bije mu serce. - Za zabicie żołnierza Nowej Ameryki, nawet w samoobronie, grozi kara śmierci. - Koń biegł teraz powolnym kłusem. - Coś takiego zdarzyło się w zeszłym roku. Król zemścił się na nas, skazując na śmierć niewinną sierotę. - Skrzywiłam się, gdy wyobraziłam sobie chłopca, samotnego i przerażonego, czekającego na strzał grupy królewskich żołnierzy.

Zostawiliśmy konie na polanie, gdzie pochyliły łby i zaczęły jeść trawę. Caleb wziął mnie za rękę i powróciło znajome ciepło. „Ze mną wszystko OK, z nami wszystko OK, jest w porządku” - ta mantra uspokajała mnie. Za drzewami widziałam budynek, ale obserwowany spomiędzy gałęzi i skąpany tylko w świetle księżyca był bardzo niewyraźny. Okna zabito blachą, a metalowe drzwi zabezpieczone były zamkniętym na kłódkę łańcuchem. Leif okrążył budynek i wyłonił się z drugiej strony.

- W porządku. - Kiwnął głową na Caleba.

Chłopcy weszli po schodkach ganku. Michael zajął się oknem, usiłował podważyć starą framugę długim nożem. Kevin przymierzał się do kłódki, ale nie dał jej rady.

- Ja spróbuję - zaproponowała Arden i zeskoczyła z poręczy.

Kevin uśmiechnął się do niej, gdy zaledwie kilkoma lekkimi ruchami dłoni otworzyła zamek.

- Voila! - Drzwi stały otworem. Chłopcy zawyli z radości, a Aaron i Charlie przepychali się w drzwiach. Nawet Leif uśmiechnął się, gdy ruszyliśmy naprzód i włączyliśmy generator rządowego prądu. Był taki sam, jak ten w szkole; przez pierwszych kilka sekund warczał, a światła włączały się

jedno po drugim, aż pokój wypełnił się głośnym, jednostajnym buczeniem.

- Jak to zrobiłaś? - zapytałam zdumiona.

- Sztuczka, której nauczyłam się w szkole. - Arden wesoło wzruszyła ramionami.

Nie było tam w ogóle mebli, całą przestrzeń zajmowały zapasy. Każdy skrawek podłogi zastawiony był delicjami, których nie widziałam nigdy wcześniej. Puszki „ananasów”, „mango” i mięsnego przetworu nazywanego mielonką. W salonie do ścian przymocowane były półki, a cały jeden rząd zajmowały litry wody w plastikowych butelkach koloru nieba.

Michael pospieszył do kartonowego pudełka i wyciągnął z niego zawinięte w biały papier paczuszki, które zaczął rozdawać.

- Mm - powiedział i wpakował sobie słodką różową masę do ust. - Pianki.

- Szukajcie! - zawołał Caleb z drugiego końca pokoju. Wspiął się na drewniany regał i ściągnął z góry pudełko z długimi cienkimi kawałkami mięsa, zapakowanymi w żółty plastik. Aaron wsunął kilka pałeczek do kieszeni dzinsów.

Degustacja trwała ponad godzinę, bo każde pudełko, każdy plastikowy woreczek i każdy karton zawierały jakąś inną pyszną niespodziankę. Leif puścił w obieg paczkę tootsie rolls, czekoladowych ciągutek, które przyklejały się do podniebienia. Michael otworzył kilka puszek z piwem - znałam je tylko z kart powieści Joyce'a - i rozdał je chłopcom. W głowie słyszałam echo głosu pani Agnes, mówiącej, że „alkohol został stworzony po to, by osłabiać czujność kobiety”. Mimo to wzięłam łyk.

- Wciąż na ciebie patrzy - powiedziała Arden, opierając się o ścianę, gdy schowałyśmy się w kącie, żeby zjeść tyle, ile się dało. Przed nami stały puszki z sokiem pomarańczowym, twarde, gładkie precle i brzoskwinie w syropie.

- Nigdy nie wierzyłam w to, co mówiła pani Agnes - ciągnęła Arden i lekko przekrzywiła głowę - ale może ta stara torba miała rację. Ma w oczach szaleństwo. Jak gdyby chciał pożreć twoją duszę.

Podniosłam wzrok. Caleb patrzył na mnie z drugiego końca pokoju.

- Arden, proszę cię - skuliłam się - daj spokój. - Ale zalała mnie fala wspomnień o jego ustach na moim czole i ramionach oplecionych wokół jego klatki piersiowej.

- Możesz sobie prosić, ale mówię serio. Coś ty mu zrobiła w tym pokoju, przecież wyszłam tylko na sekundę! - Trąciła mnie mocno w bok, a ja nerwowo się roześmiałam.

- Spójrzcie, co znalazłem! - zawołał Charlie z dawnej jadalni. Ruchem magika ściągnął zakurzoną beżową płachtę, pod którą stał stary fortepian. Położył palce na pozółkłych klawiszach i zagrał kilka nut.

Odchyliłam się i wsłuchałam w akordy, które rozbiegły się po dolnym piętrze domu. Przypomniały mi się te letnie wieczory w szkole, gdy Pip i ja brałyśmy lekcje gry na pianinie u pani Sheili. Siedziałam na krześle i naciskałam klawisze, by zagrać melodię Amazing Grace, a za mną Pip wirowała w tańcu. Odwróciłam się do Arden, żeby opowiedzieć jej, że czasem Pip wykonywała gesty pasujące do każdego słowa, na przykład łapała się za ucho przy słowie „słysz”, ale ona wpatrywała się w półki naprzeciwko i myślami była gdzie indziej.

- Coś się stało?

- Eve, chciałabym ci coś powiedzieć. - Potarła ręką czoło.

- Te wszystkie rzeczy, które mówiłam w szkole... Te historie, że rodzice zabierali mnie do teatru, o obiadach z okazji Święta Dziękczynienia, mieszkaniach w Mieście - szeptała. - Wymyśliłam to.

Wyprostowałam się.

- Co takiego?

Wpatrywała się w swoje stopy. Kosmyki czarnych włosów spadły jej na twarz.

- W pewnym sensie mówiłam prawdę, nie byłam taka sama, jak wszyscy w szkole - powiedziała. Usta miała czarowne i spierzchnięte. - Byłam sierotą jeszcze długo przed zarazą. Nigdy nie miałam rodziców.

Charlie wygrywał kolejne dźwięki, a Arden spojrzała na mnie i czekała na reakcję.

- A więc pokojówki, które szykowały ci rano ubranie, naszyjnik, który matka obiecała ci, gdy skończysz naukę zawodu, dom ze stawem i wanna na złotych lwich nogach - przypomniałam sobie wszystkie historie, jakimi raczyła nas Arden - to kłamstwa?

Arden skinęła głową. Byłam zdumiona, a potem się wściekłam. Tyle nocy przepłakałam, marząc, by mieć to, co miała ona. Marzyłam, że to moja mama czeka na mnie w Mieście, że jest jak wciąż nieotwarty prezent.

- Jak mogłaś to zrobić? - spytałam.

Arden odwróciła się do okna i spojrzała na swoje odbicie.

- Nie wiem...

- Wszystkie tak ci zazdrościłyśmy, a ty...

- Wiem! - krzyknęła. - Ale wy opowiadałyście o swoich rodzicach i rodzinach. A ja nawet nie wiedziałam, co znaczą te słowa. Miałam dziadka, ale on był miłszy dla swojego owczarka niemieckiego niż dla mnie. Ulżyło mi, kiedy umarł.

Przypomniałam sobie ośmioletnią Arden opowiadającą wszystkim o przyjęciach urodzinowych, jakie wydawał dla niej ojciec. O tym, że zbudował jej domek na drzewie. O tym, jak urządzali się w Mieście, a ona nie mogła być z nimi. Jej matka była taka prawdziwa, żywa.

- Przepraszam - zdobyła się na te słowa. - Przykro mi.

Miałam ochotę wstać i odejść, ale ból w jej oczach wydawał się prawdziwy, a przeprosiny szczere. Tak, wyobrażałam sobie spotkanie z moją mamą, które miało się nigdy nie wydarzyć, ale miałam też wspomnienia, pamiątki, o których mogłam myśleć wciąż na nowo. Jak podnosiła mnie, żebym mogła zawieszać cukierki na choince, jak malowałyśmy palcami. W przeciwieństwie do opowieści Arden moje były prawdziwe.

- Mnie też jest przykro - powiedziałam, nie patrząc na nią.

Siedziałyśmy tak przez jakiś czas, tak blisko siebie, że nasze ramiona się stykały, i obserwowałyśmy, jak chłopcy się obżerają.

- Chciałam powiedzieć, że... - Arden w końcu przerwała ciszę - dziękuję ci. - Patrzyła prosto przed siebie, a potem owinęła sobie wokół szyi zielony sweter.

- Za co? - spytałam wciąż poirytowanym tonem.

- Za to, że uratowałaś mi życie. - Arden odwróciła się w moją stronę. - Jeszcze nigdy nikt nie był dla mnie tak... miły. - Policzki jej zadrżały i znad dolnych powiek spłynęły jej łzy.

Położyłam dłoń na jej plecach, żeby ją uspokoić. Nie byłam przyzwyczajona do takiego widoku. Ona nigdy nie płakała. Ona zabijała króliki. Nigdy nie narzekała, nawet gdy była chora.

- W porządku. - Pogłaskałam ją po głowie i rozczesałam splątane pasma jej krótkich włosów. - Nie musisz mi dziękować. Zrobiłabyś to samo dla mnie.

Arden podniosła głowę i powoli skinęła głową, jak gdyby wcale nie była taka pewna.

- Czasem nawet nie wiedziałam, gdzie jestem. Pamiętam tylko, że rozczesywałaś mi włosy, myłaś twarz i... - głos jej się załamał.

Przytuliłam ją.

- To nic takiego, naprawdę. - Czułam w uchu jej zdławiony oddech, a jej pierś falowała. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo płacze. Łzy wsiąkały w mój wełniany sweter i czułam je na nagich ramionach. - To nic takiego - powtórzyłam.

- Wiem. - Głośno pociągnęła nosem i unikała mojego wzroku. Odsunęła się i wytarła dłońmi policzki i skórę wokół przekrwionych brązowych oczu. - Wiem.

Przez całe życie w szkole zawsze była obok mnie Pip albo Ruby, które wołały mnie na kolację albo wygładzały spódnice, gdy się wygniotła. Ale gdy uciekłam, były całe dni, w czasie których słyszałam tylko ptaki, dotykał mnie tylko prąd strumienia, a pył z moich oczu zdmuchiwał tylko wiatr. Poznawałam dziwną sztukę samotności, wyblakłą tęsknotę, która pojawia się i znika, gdy się wędruje samemu.

Arden praktykowała to o wiele dłużej. W szkole i poza nią. O wiele za długo.

Położyłam jej rękę na ramieniu i wiedziałam już, że nie miałam racji. To nie było nic. Dla Arden to było wszystko.

Rozdział 20

Trwałyśmy tak, Arden z głową na moim ramieniu, dopóki Caleb nie zawołał od strony pianina:

- Wy dwie, chodźcie tu - powiedział. - Nie zachowujcie się jak... baby. - Wykrzywił się do mnie, a oczy mu błyszczały.

Berkus, starszy chłopak z potarganymi złotymi włosami, grał Heart and soul, które zapamiętał z dzieciństwa. To było prosta melodia w staccato, tak różna od skomplikowanych harmonii, których uczyłyśmy się od pani Sheili i których dźwięk podtrzymywałyśmy, naciskając pedał. Za nim stali Michael i Aaron, pstrykali palcami do rytmu i od czasu do czasu kiwali głowami. Nawet ponury na co dzień Leif rozchmurzył się, gdy oparł się o fortepian i co jakiś czas pociągał łyk piwa.

- Pamiętasz walca wiedeńskiego? - Pociągnęłam Arden.

Przez większość lekcji Arden gryzmoliła coś w swoim zeszycie i stawiała niezidentyfikowane kleksy na marginesach. Ale kiedy tańczyłyśmy, nie miała jak się schować. Każda dziewczynka miała parę, każda trzymała brodę uniesioną, ramiona wyprostowane, gdy sunęłyśmy przez trawnik.

Wciąż miała zaciśnięte wargi, ale dała się poprowadzić do instrumentu. Berkus zaczął grać piosenkę od nowa i przyjął odpowiednią pozycję, nakazując jej podać mi rękę. Caleb zatrzymał się i przekrzywił głowę. A potem ruszyłyśmy, a chłopcy schodzili nam z drogi, gdy prowadziłam ją przez pokój, gdy lekko mijałyśmy regały, a potem zawracałyśmy ze śmiechem.

- Heart and soul - śpiewałam. - Widziałam, że tam stoisz, wyglądając jak niedźwiedź...

- Nie takie są słowa! - roześmiała się Arden. Kiedy brałyśmy zakręt, odchyłała głowę. Chłopcy gwizdali, gdy bez wysiłku przechyliłam ją do podłogi, i bili brawo, gdy

wróciłyśmy do pozycji wyjściowej. Kiedy sunęłyśmy przez pokój w stronę kuchni, na jej twarzy odmalował się zatroskany wyraz.

- To, co się przed chwilą stało... - Zerknęła mi przez ramię na Kevina, który z puszką piwa w ręce wszedł na parkiet i wykonał niezdamy piruet. - Chyba nie jestem jeszcze w formie. Ten wybuch emocji to pewnie efekt...

- Wiem - przerwałam jej. - Nie przejmuj się tym. - Milczałyśmy przez dłuższą chwilę, a dźwięki fortepianu wirowały między nami, gdy wracałyśmy do chłopców. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kiedy wykonałyśmy ostatni obrót, nabuzowane muzyką i wiwatami, Caleb wdzięcznie ruszył w naszą stronę. Za jego plecami Michael i Charlie wykonywali jakieś dzikie ruchy - Michael kręcił się, leżąc na podłodze na plecach.

- Czy mogę prosić o następny taniec? - zapytał Caleb. Wyciągnął do mnie rękę i czekał na mój gest.

- Prosić możesz - zażartowałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Caleb wziął mnie mocno za rękę i pociągnął. Chłopcy wydawali zachęcające okrzyki, a Aaron głośno zagwizdał na palcach.

- To znaczy „tak” - uśmiechnął się i przycisnął do siebie.

Przytuliłam twarz do jego piersi, gdy Berkus zamienił Heart and soul na wolniejszą piosenkę. Caleb położył mi rękę na krzyżu. Jego oddech ogrzewał mi szyję. Nie był złym tancerzem, ale dziwne było, że ktoś prowadził mnie po parkiecie. Zawsze sama decydowałam o krokach, kierunku i zapraszałam moją partnerkę do lekkich eleganckich obrotów.

- Cieszysz się, że przyszedłeś z nami? - szepnął mi do ucha.

Chłopcy obserwowali nas, dopóki nie zorientowali się, że nie ma na co patrzeć, z wyjątkiem kiwania się to w lewo, to w prawo. To nie był wielki występ, jak mój i Arden.

- Bardzo - powiedziałam.

Berkus wstał od fortepianu i wyszedł na ganek. Za nim poszło kilku innych chłopaków i Arden. Skierowali się w stronę prowizorycznego basenu.

- Ja też się cieszę, że poszłaś. - Caleb przysunął się do mnie i mogłam lepiej dopasować się do załamań jego ciała. Przymknęłam oczy i magazyn zniknął. Czułam tylko jego ciepło. Pozostanie tu byłoby bardzo łatwe. Spędzałabym dni w norze, a noce na wędrówkach z Calebem. Te wizje przychodziły do mnie, gdy tylko wyciszałam umysł, obrazy pojawiały się jeden za drugim. Arden i ja troszczyłybyśmy się o Benny'ego i Silasa, dbałybyśmy, żeby mieli czyste ręce, uczyłybyśmy ich czytać i pisać. Uczyłybyśmy ich, dopóki nie zapisywaliby całych akapitów na ścianach ziemianki i nie interpretowali motywów Zimowej opowieści Szekspira. Mając te umiejętności, starsi chłopcy mogliby zacząć się organizować, przysyłać wiadomości do innych sierot i przygotowywać dalsze plany z Mossem.

A Caleb i ja... Chciałam więcej. Bliskość mojego policzka na jego ramieniu, jego dłoń spoczywająca na moich plecach, tak naturalne bycie razem, rozmowa naszych ciał.

- Zastanawiałam się... - zaczęłam i podniosłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

Na zewnątrz Michael wybił się w powietrze z przegniłej trampoliny i krzyknął:

- Bomby rzucono! - A potem z głośnym pluskiem wylądował w wodzie. Kiedy zbliżał się do przerdzewiałej drabinki, zdejmował z twarzy jakieś zielone rośliny. - Włażcie, ta breja jest ciepła!

Caleb roześmiał się, a potem odwrócił z powrotem do mnie.

- Zastanawiasz się...?

- Nad Kalifią - dokończyłam, a w moim głosie było słycać napięcie. - Wydaje mi się bezcelowe podejmowanie ryzyka podróży tam, kiedy Arden i ja mogłybyśmy zostać w norze. Tutaj jesteśmy bezpieczne. Mogłaby mi pomagać uczyć chłopców i... - z nadzieją zajrzałam w jego zielone oczy - ...bylibyśmy razem.

Twarz Caleba stężała. Zrobił krok w tył, rozdzielił nas.

- Eve...

Dotkliwie odczuwałam każdy dzielący nas centymetr, a odległość powiększała się. Nie zrozumiał mnie? Odchrząknęłam.

- Chcę zostać. Chcę żyć z tobą w obozie. Pogładził się po karku i westchnął.

- To nie jest dobry pomysł. - Mówił niskim głosem i zerkał wciąż na zewnątrz, gdzie chłopcy podpuszczali jeden drugiego do skoku z przerdzewiałej barierki. - Ludzie Króla wciąż cię szukają. Jeśli nas znajdą... Chłopcy zostaną ukarani. Ty nigdy nie będziesz zupełnie bezpieczna...

Teraz ja cofnęłam się i powiększyłam dzielącą nas przestrzeń. Każde jego słowo było jak cios w serce, jak dobijanie się do jego drzwi, podczas gdy ono zwinęło się w kłębek i poszło spać.

Nie chciał mnie tutaj.

Oczywiście, że nie. Nie miało znaczenia, jak to powiedział ani jakich użył słów, by to wytłumaczyć. Zamknęłam oczy i zobaczyłam panią Agnes z trzęsącymi się rękami.

- Nie chciał mnie. - Po pokrytej głębokimi bruzdami twarzy spływały jej łzy, jak gdyby zostawił ją dopiero przed chwilą. - Byłam taka głupia. Nigdy mnie nie chciał.

Caleb wyciągnął rękę, ale się otrząsnęłam.

- Nie dotykaj mnie - powiedziałam i odeszłam.

Był mężczyzną, zawsze nim był, ze swoimi przewinami i oszustwami. A ja pozwoliłam mu się obejmować, pozwoliłam

jego wargom dotknąć moich ust, poddałam się pokusie. Byłam głupia.

- Wreszcie rozumiem, o co chodzi. To była dla ciebie tylko zabawa, tak?

Pokręcił głową, twarz mu zbladła.

- Nie słuchasz mnie. Chciałbym, żebyś została, ale nie możesz. To niebezpieczne. - Ponownie wyciągnął rękę, ale go odtrącałam.

- Chcesz wierzyć w te kłamstwa - mówiła pani Agnes. - To największa wina łatwowiernych.

- Zostaw mnie w spokoju, proszę! - krzyknęłam, gdy znów usiłował mnie dotknąć. Mój krzyk odbił się echem po pustym magazynie. Charlie zajrzał przez okno, pozostali chłopcy też na nas spojrzeli.

Caleb pocierał miejsce między brwiami.

- Porozmawiamy o tym później, gdy wrócimy do domu. Zależy mi na tobie, ale...

- Zależy ci na sobie - przerwałam.

Odrzucił głowę, jak gdybym uderzyła go w twarz. Powoli odwrócił się, wyszedł na ganek i zniknął wśród pozostałych. Chłopcy szeptaali coś, a potem znów zajęli się basenem i zaczęli skakać do ciemnej wody.

Pokój wydawał się większy i zimniejszy bez niego. Usiadłam przy fortepianie i wcisnęłam klawisz. Rozległo się wysokie, zgrzytliwe C. Zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w każdą nutę Sonaty Księżycowej Beethovena, która rozległa się w magazynie, fałszywa i poza tonacją. W pewnym momencie z oczu pociekły mi łzy i przerwałam grę, żeby je wytrzeć.

- O co poszło? - zapytał ktoś. Leif schodził ze schodów, a pod jego krokami trzeszczało drewno. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, opadł na wypaczony stołek obok mnie.

- O nic - powiedziałam szybko. Spojrzałam na sufit. - Co tam robiłeś?

Leif wbił paznokcie w puszkę do piwa. Metal ustąpił.

- Rozglądałem się. - Przechylił głowę i zagryzł usta.

Przyzwyczaiałam się już do jego obecności na terenie obozu, do mijania się z nim w ciasnych korytarzach i sygnalizowania, że go zauważyłam, skinieniem głowy. Ale teraz ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, była obecność jeszcze jednego mężczyzny. Grałam kolejne nuty i usiłowałam go zignorować, ale wyciągnął z kieszeni papier i rozłożył go przede mną jak nuty.

Palce zastygły mi na klawiszach.

- Skąd to masz? - zapytałam. Złapałam ulotkę.

„Najnowsze wieści: Eve była ostatnio widziana, gdy kierowała się na północny zachód, w stronę jeziora Tahoe. Jechała na koniu w towarzystwie innej kobiety oraz mężczyzny w wieku około 17 - 20 lat. Każdy, kto ją widział, proszony jest o kontakt z jednostką wojskową północno - zachodnią. Eve ma zostać dostarczona Królowi”.

- Mogę to wyjaśnić. Ja...

- Nie kłopotz się. - Leif oparł się o krawędź instrumentu i upił kolejny łyk piwa. Popatrzył na mnie czarnymi oczami. - Z technicznego punktu widzenia ja też jestem zbiegiem. Z całą pewnością Król chciałby widzieć mnie z powrotem w swoim obozie pracy dźwigającego na plecach bloki cementowe jak muł.

Zgniotłam ulotkę w dłoni. Nie wiedziałam, czy mam mu podziękować, czy przeprosić. Przybyłam do jego obozu, obca, naraziłam ich wszystkich na niebezpieczeństwo i do tego kłamałam.

- Zatrzymałyśmy się tu po drodze do Kalifii.

Leif znów na mnie spojrzał, ale tym razem w jego spojrzeniu nie było nagany, tylko zainteresowanie.

- Nigdy bym nie pomyślał, że akurat ty, ze wszystkich ludzi, będziesz poszukiwana przez Króla. Coś ty zrobiła? Zabiłaś jego strażnika? Wzięłaś nauczycielkę jako zakładnika? Nie ścigałby cię tylko za ucieczkę. - Uśmiechał się i miał rozbawioną minę. Nie sądziłam, że zabicie kogoś może być powodem do dumy, ale wydawał się zachwycony, a mój wizerunek w jego oczach zmienił się nagle i odsłonił całą paletę odcieni.

- Wolałabym o tym nie mówić. - Mdlilo mnie na myśl o Mieście i tym człowieku, którego twarz spoglądała na mnie ze szkolnego obrazu w złotej ramie.

Uderzył mocno w klawisze, a dźwięki wybrzmiewały w chłodnym powietrzu. Pokręciłam głową.

- Wiem o potwornych rzeczach, które robią, być może więcej niż ktokolwiek inny. Życie w norze, jak zwierzę, jest torturą, gdy wie się o przyjęciach urządzanych w Mieście Piasku, o hotelach i basenach wypełnionych czystą wodą. Nie wiesz nawet, jak było w obozach. - Przestał grać i skupił wzrok nad wiszącym nad fortepianem zegarze. Tarczę miał zalaną wodą, a wskazówki zatrzymały się na godzinie 11.11. - Miałem brata, Ashera...

- Wiem - przerwałam mu delikatnie. Dobiegały nas głosy z zewnątrz. Chłopcy rozbiegli się po lesie i bawili się w berka - Caleb mi mówił. - Wyjrzałam przez okno, ale nie było go tam, tylko ciemność.

Leif przesuwiał palcami po słojach w drewnie fortepianu.

- Asher. Tak wiele czasu minęło, odkąd po raz ostatni wypowiedziałem jego imię - rzekł bardziej do siebie niż do mnie. - Mama grała dla nas na pianinie. Pamiętam, że siedzieliśmy razem pod stołem w jadalni i patrzyliśmy na nogi ojca, gdy czytał na kanapie gazetę, i na stopy matki przesuwające się po pedałach instrumentu. Zabieraliśmy tam nasze plastikowe czołgi i ciężarówki i kiedy grała, bawiliśmy

się w wojnę. - Mówiąc to, turlał pustą puszkę tam i z powrotem. - Myślisz czasem o tym, jak to było przed zarazą? - zapytał.

Z trudem przełknęłam ślinę. Pamiętałam, jak mama trzymała mnie w sklepie za rękę, owijając mój nadgarstek małym palcem. Jak całowała moje stopy i jak siedziałam w jej szafie, gdy się ubierała. Kryłam się wśród sukienek i spodni, które tak cudownie nią pachniały.

- Tak - odpowiedziałam. - Czasem. - Tak naprawdę cały czas, dodałam w myślach.

Leif zacisnął usta, jak gdyby rozważał to, co powiedziałam. Wciąż błędził palcami po klawiszach, czasem któryś naciskał.

- Da dum dum dum - zaśpiewał powoli i niepewnie. Wydobył z instrumentu jeszcze kilka nut i rozpoznałam fragment melodii. - Znasz tę piosenkę? - zapytał.

- Kanon Pachelbela - zagrałam pierwsze takty. Była rozpoznawalna mimo braku tonacji. - Uczyłam się tego w szkole.

- To zawsze grała mama - uśmiechnął się do ściany, ale widać było, że patrzy daleko poza nią, na zupełnie inną scenę.

Grałam dalej, pochyliłam się do przodu i pozwoliłam ponieść się melodii. Czulałam emocje ostatnich godzin skumulowane w gęsty smutek, który psuł wszystko. Widok Caleba, który wchodził na brzeg jeziora, cisza w pokoju, gdy nasze usta się zetknęły, bicie jego serca wyczuwalne przez ubranie i ten taniec. Teraz wszystko było inaczej, oświetlone przez inne światło. Nie będziemy razem. Ani w tej norze, ani nigdzie indziej. Arden i ja wkrótce wyruszymy, może nawet jutro. Wszystko się skończyło.

- Co ja z tego miałam? - rzuciła w przestrzeń pani Agnes.
- Po co to wszystko?

Rozdział 21

W magazynie panowała cisza. Przez okna wpadało światło, cienie kładły się na półki założone starymi kocami i sprzętem medycznym. Zostaliśmy tam na noc, chłopcy rozłożyli się pokotem na dole, Arden spała w pokoju obok.

Ja wierciłam się, zmieniałam pozycje, rzucałam na moim prowizorycznym łóżku z koców i zbitych poduszek. Nie mogłam przestać myśleć o Calebie. Ta rozmowa, jego ucieczka na ganek. Kiedy zostawiłam Leifa przy fortepianie, po tym jak w podziękowaniu uściśnął mi rękę, znalazłam Arden przy basenie. Kiedy chłopcy wystopowali, przytłumieni piwem i słodyczami, Caleb obserwował mnie z daleka, ale nic nie powiedział.

Arden zawlokła mnie na górę, gdzie dwie drewniane płyty przykryła poduszkami, i chciała skłonić mnie do odpoczynku, ale nie dawałam rady. Nawet teraz.

Mijały godziny. Jedyne dźwięki, jakie dochodził z zewnątrz, to szum wiatru w gałęziach drzew, czasem łamał się jakiś patyk. Zastanawiałam się, czy się myliłam. Czy zareagowałam odruchowo, jak w czasie tych badań w szkole, gdy lekarka uderzała mnie młoteczką w kolano i moja noga sama odskakiwała. Mówił o moim bezpieczeństwie. Mówił, że mu zależy. A potem jak krzyknęłam i odepchnęłam go. Co by się stało, gdybym pozwoliła mu mówić dalej? Odtwarzałam tę scenę, wyobrażałam sobie jego twarz, a wtedy nagle otworzyły się drzwi i za drewnianymi półkami pojawiła się postać.

- Eve?

- Caleb? - Podniosłam się.

Zachwiał się i przewrócił kilka pudełek. Czołgał się naprzód, minął róg pokoju i ukląkł na brzegu mojego łóżka. Sięgnął do mojej dłoni.

- Wcześniej... - zaczęłam.

Zapadła cisza. Uścisnął moją dłoń. A potem, w jednej chwili, był obok mnie, dotykał ustami moich ust. Podałam się, ale nie było w tym delikatności, tylko żarłoczność. Napierał na mnie, odchyłał mi głowę. Otworzyłam oczy. W świetle księżyca jego napięta twarz była prawie niewidoczna.

Czułam, że dłonie ma szorstkie. Wszystko było inne, straszne, nie takie.

Wyciągnęłam ręce, żeby go odepchnąć, i poczułam ciasny koczek.

- Nie! - krzyknęłam i odwróciłam twarz. - Nie! - Ale Leif napierał, położył się obok mnie na podłodze, a drewno trzeszczało pod jego ciężarem.

Przycisnął usta do moich i na jego języku poczułam gorzki smak alkoholu. Przesunął dłońmi po moich ramionach i rękach. Próbowałam krzyknąć jeszcze raz, ale zakrywał mi usta i nie wydostał się przez nie żaden dźwięk.

Walczyłam. Uderzyłam go w pierś, ale przycisnął mnie bliżej do siebie. Wciąż mnie całował i zostawiał gęstą ślinę na moim policzku. Odsunęłam się, skuliłam ramiona, usiłowałam się wyrwać, ale był wszędzie. Czułam jego gorący, cuchnący oddech na skórze.

Tyle rzeczy zostało mi skradzionych: mama, dom z niebieską dachówką, w którym stawiałam pierwsze kroki, gotowe płótna oparte o ścianę klasy. Ale to było najboleśniej z tego wszystkiego, poczucie samokontroli wyrwane z wątlęgo uścisku.

- Nie - zdawał się mówić po każdym gwałtownym dotyku - nawet twoje ciało nie należy do ciebie.

Z oczy pociekły mi łzy i spływały do uszu, tworząc tam płytkie sadzawki. Całował mnie po szyi, a jego dłonie przesuwały się po całym moim ciele. Tonęłam. Strach mnie opanował i narastał w takim tempie, że nie miałam wyboru,

musiałam go przyjąć. Piers mi falowała, podkuliłam stopy. Dławiła mnie panika.

Gdzieś, na powierzchni, słyszałam stłumione głosy.

- Co się dzieje? - ktoś zapytał. - Krzyczała.

Jasne światło latarki padło najpierw na moje nogi, potem na zapłakaną twarz, a wreszcie na Leifa, który miał półprzymknięte oczy.

- Ty potworze! - warknął Caleb. Złapał Leifa pod pachy i pchnął na najbliższe półki. Metalowe pudełka zagrzechotały i spadły, zasypując podłogę setkami zapalek.

W drzwiach pojawili się Aaron i Michael, a ich latarki rozświetliły ciemność. Leif usiłował stanąć na nogi. Rzucił się naprzód i walnął Caleba w zębra. Caleb zwinął się z bólu, a Leif uderzył w ścianę.

- Dostyc, Leif! - krzyczał, ale Leif uderzył ponownie, tym razem mocniej, w szczękę.

Wciśnięta w kąt pokoju byłam jak w pułapce. Leif zatoczył się na bok, ruchy miał opóźnione alkoholem.

- No chodź tu, zawsze chciałeś rządzić - wybełkotał. Pasma czarnych włosów opadały mu na twarz i zastanawiałam się, czy w ogóle poszedł spać, czy przez cały ten czas był na dole, opróżniając ostatnie puszki. - Zobacz, jak ci się to podoba.

Leif gwałtownie wskazywał na drzwi. Rumor obudził resztę chłopców i zgromadzili się, żeby popatrzeć. Kevin aż założył połamane okulary, jakby nie wierzył własnym oczom.

Leif krążył wokół Caleba, z rękami wyprostowanymi wzdłuż boków. Ten chłopak, który siedział obok mnie przy fortepianie i kołysał się w rytm muzyki, zniknął. Coś przejęło nad nim kontrolę, coś przerażającego i pierwotnego.

- No chodź - zachęcił ponownie i uderzył Caleba w twarz - pokaż, jak być mężczyzną.

Caleb wystrzelił naprzód. Jednym szybkim ruchem wykręcił Leifowi ramię i pchnął go na podłogę. Upadł ciężko, a jego policzek z trzaskiem uderzył o drewno.

Popłynęła kałuża krwi i nawet w ciemności widziałam, że ma rozciętą wargę.

- Ona chciała być ze mną. - Splunął krwią na podłogę. - Myślisz, że dlaczego wcześniej ze mną siedziała? Dlaczego ze mną rozmawiała? Chciała mnie. Nie ciebie, mnie. - Pewność w jego głosie była podkreślona gniewem. Przycisnęłam się do ściany, bałam się nawet teraz, gdy leżał bezwładnie na podłodze.

Caleb odwrócił się do mnie z wyrazem dezorientacji na twarzy.

- To prawda?

Ręce trzęsły mi się jak szalone, a łzy ciekły po twarzy. To co zrobił Leif było złe. A do tego... Siedziałam obok niego, grałam mu. Pozwoliłam, by nasze ramiona stykały się, gdy mówił o swojej rodzinie. Uścisnął moją dłoń. Dałam mu jakieś nieuświadomione zaproszenie? Czy moją uprzejmość wziął za coś więcej?

- Nie wiem - powiedziałam i zakryłam usta dłonią.

- Nie wiesz? - zapytał Caleb. Zacisnął uścisk na ramieniu Leifa i nadal przyciskał go do ziemi. Patrzył na mnie spode łba, delikatność, którą tak uwielbiałam, zniknęła. Chciałam, żeby przestał patrzeć, odwrócił wzrok i dał mi jeszcze chwilę na zastanowienie się.

Ale on patrzył. Czekał na odpowiedź. Zaczęłam łkać, pierś mi podskakiwała, gdy gubiłam się w wilgotnych oddechach.

- Eve! Co się stało? Nic ci nie jest? - Arden przepchnęła się przez tłum chłopców, podbiegła do mnie i złapała za rozdarcie w swetrze. - Usłyszałam hałas i... - zamilkła, gdy zauważyła minę Caleba. Prawie niedostrzegalnie kręcił głową, a jednak widać było, że wyraża ciągłe, niepodważalne „nie”.

Wstał i zostawił Leifa na podłodze w czarnej kałuży krwi. Rozepchnął Michaela i Aarona i, nie odwracając się za siebie, zbiegł po schodach.

- Caleb! - krzyknęłam wstrząśnięta jego nagłą nieobecnością. Tłum rozstał się i pobiegłam za nim, ale kiedy dotarłam na dół, zastałam tam tylko cuchnący zaduch i góry śmieci pod stopami. Magazyn był ciemny i musiałam rozejrzeć się, żeby namierzyć wyjście. - Caleb! - zawołałam ponownie.

W końcu ujrzałam jarzący się las, widoczny przez drzwi wejściowe. Na polanie Caleb właśnie dosiadał swojego konia, ciemna postać na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Nie odchodź, proszę! - krzyknęłam i wyszłam na zewnątrz. Ale już ściągał cugle i odjeżdżał.

Patrzyłam za nim, a stopy zapadały mi się w piasku. Nie zauważyłam, kiedy stanęła obok mnie Arden. Nie słyszałam Kevina i Michaela, którzy wołali go z powrotem.

Czułam tylko smutek, gdy patrzyłam, jak jedzie przez las, maleje, aż wreszcie całkiem zniknął w ciemności.

Rozdział 22

Powinnyśmy odejść - szepnęła Arden. Siedziała w naszym pokoju w norze. - Kontynuować podróż do Kalifii. Tutaj już nie jest bezpiecznie.

Opuściliśmy magazyn przed zmierzchem. Konie objuczone były workami cukierków, latarek, koców i skondensowanego mleka. Leif wciąż budził mój lęk. Na twarzy miał opatrunek. Otrząsałam się na myśl o jego ustach na moich, o kwaśnym oddechu cuchnącym piwem. Wciąż widziałam jego twarz w świetle latarki, zamknięte oczy i ciężkie jak kamień ciało przygniatające mnie.

Pokój Caleba był pusty. Wyblakłe książki leżały w stosach. Łóżko okryte było cienkim czerwonym kocem, fotel wciąż stał w rogu, a poduszka była wygnieciona pod jego ciężarem.

- Nie możemy tak po prostu odejść - powiedziałam, przyciskając plecy do zimnej ściany. Jakaś część mnie była wciąż ucepiona myśli o życiu tutaj, ten pomysł jeszcze nie zniknął. - W każdym razie nie, dopóki nie wróci Caleb.

Arden przeczesywała włosy palcami, mocniejszymi szarpnięciami rozdzielała skołtunione końcówki.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki patrzy na nas Leif. - Miała podpuchnięte oczy. Nie spała całą noc, zabarykadowała drzwi regałem i trzymała straż, dopóki nie zasnęłam.

- Nie mogę tak odejść. - Wciąż wracałam myślami do magazynu, na którego środku odtrąciłam dłoń Caleba. Nie porozmawialiśmy o niczym, byłam zbyt przybita, żeby myśleć racjonalnie. A potem pojawił się Leif, przesunął palcami po drewnie fortepianu i mylnie odczytał moją uprzejmość jako zaproszenie. Żałowałam, że wypowiedziałam te dwa fatalne słowa: nie wiem.

Bo wiedziałam, ale nie potrafiłam wytłumaczyć tych wszystkich mrocznych emocji z poprzedniej nocy. Nadeszły

tak szybko, że nie miałam czasu złapać ich, przyjrzeć się im i prawidłowo zinterpretować.

Ale teraz, kiedy siedziałam z Arden w norze, byłam pewna jednego:

- Nie chciałam być z Leifem.

Twarz Arden złagodniała. Przytuliła mnie mocno, a jej uścisk wycisnął z mojego ciała ostatnie ślady poczucia winy.

- Oczywiście, że nie chciałaś. To w ogóle nie podlega dyskusji.

Zaczęłam mówić do jej ramienia. Zatęchły zapach swetra Arden mnie ośmielał.

- Po prostu nie mogę znieść tego, że Caleb myśli, że kiedykolwiek...

- Wiem - powiedziała Arden i poklepała mnie po plecach.

Otarłam oczy. Kiedy byłyśmy w szóstej klasie, strasznie wściekłam się na Ruby za to, że powiedziała Pip, iż przechwalam się swoimi ocenami. Zamiast powiedzieć jej, co czułam, nie odzywałam się do niej przez dwa tygodnie. Pozwalałam, żeby rana powiększała się i ropiała, podsycalam panujące między nami milczenie. Nauczyłam się jednej podstawowej prawdy: związek między dwojgiem osób można ocenić po tym, czego sobie nie mówią. Pragnęłam zobaczyć Caleba choćby tylko po to, żeby powiedzieć mu, co czuję. Że dotknęły mnie jego słowa. Że jestem mu wdzięczna za to, co zrobił, że byłam zszokowana i przerażona. Że to nie Leifa pragnęłam.

Wbrew sobie, wbrew wszystkim godzinom zajęć z Zagrożeń Wywoływanych przez Mężczyzn i Chłopców, darzyłam go uczuciem. Tylko jego.

Wciąż trzymałam głowę na ramieniu Arden, gdy cały pokój zaczął się trząść, a te mikrowstrząsy odczuwałam w swojej klatce piersiowej.

- Co to?

- Trzęsienie ziemi! - krzyknął Silas i przemknął obok naszego pokoju, ciągnąc za rękę Benny'ego. Prawie potknął się o nogawki swoich za długich spodni, których mankiety plątały mu się wokół kostek, a w pasie obwiązany był sznurem. - Uciekajcie, uciekajcie!

Kilku młodszych chłopców pobiegło krętym korytarzem tak zręcznie, jak gdyby już wcześniej ćwiczyli tę procedurę.

- Trzęsienie ziemi? - zapytałam i położyłam rękę na drżącej ścianie. - Niemożliwe.

Doświadczaliśmy ich w szkole, drzenie czasem budziło nas w środku nocy. Te wstrząsy były delikatne.

- Lepiej nie czekajmy tu, żeby się przekonać - powiedziała Arden i pociągnęła mnie do drzwi.

Poszliśmy za młodszymi chłopakami, którzy tłoczyli się w przejściu, by wreszcie wysypać się na kamienistą polankę przy zboczu wzgórza. Na jego szczycie stała olbrzymia czarna ciężarówka. Jej koła miały ponad metr średnicy. Silniki ryczały tak głośno, że nic nie słyszałam.

- Super! - syknął Silas. W jasnym świetle poranka widać było, że jego nieprzyzwyczajona do słońca skóra jest znacznie jaśniejsza niż u innych. Zatkanął uszy palcami.

Benny uśmiechnął się do mnie, odsłaniając szczerbate dziąsła.

- To wielka ciężarówka! - krzyknął.

Ale ja czułam tylko strach, gdy obserwowałam sylwetkę majaczącą na przednim siedzeniu. Ta ogromna maszyna z ochlapanymi błotem drzwiczkami i wgniecionym zderzakiem nie przypominała szkolnych dżipów. Jedyne auta, jakie widziałam poza nimi, należały do rządu. Król racjonował benzynę i mało kto miał szansę na jej zdobycie.

Kilku starszych chłopców wróciło z polowania i trafili na to zamieszanie. Ich konie pojawiły się na skraju polany. Wśród nich był Leif, ruchy miał spowolnione. Ucieszyłam się,

gdy Michael, Aaron i Kevin otoczyli ciężarówkę z włóczniami wycelowanymi w szoferkę.

Silnik w końcu zgasł, pozostało mi po nim tylko buczenie w uszach.

- Opuścić broń! - krzyknął Leif. Jeden za drugim chłopcy posłuchali.

Drzwi otwały się i na kamienistym podłożu pojawił się wielki, podkuty stałą but. Cofnęłam się na widok mężczyzny. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, tłuste włosy opadały mu na ramiona. Nosił zniszczoną skórzaną kurtkę. Pot spływał mu z twarzy aż na zawiązaną na szyi chustkę. Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się, ale ten uśmiech sprawił, że moje ciało przeszył dreszcz strachu. Zamiast zębów miał żółte pokruszone kikuty.

Silas oplótł chudymi ramionami moją nogę.

- Kto to jest? - zapytał. Mężczyzna już ruszył w moją stronę, wydymał

ubrudozone jakimś jedzeniem wargi. Starsi chłopcy stali na skraju polany i nie wiedzieli, co robić. Stał dopiero wtedy, gdy był tuż przede mną i skrył mnie w swoim potężnym cieniu.

- Witaj, panienko - syknął mi do ucha. Odsunęłam się, ale złapał mnie za rękę i pociągnął

naprzód. Śmierdział brudem i potem. Aż mnie zemdliło. Michael i Kevin podbiegli do mnie. Kevin przysunął czubek włóczni do gardła nieznajomego.

- Zostaw ją! - krzyknął.

Ale mężczyzna złapał za drewniany trzonek i mocno zacisnął pięść, a potem zwrócił się do Leifa:

- Czy to ona? Leif był spokojny.

- To jej chce Król - ogłosił i rozejrzał się wkoło. Na dźwięk tych słów wyprostowałam się. Prawda została wykorzystana przeciwko mnie. Wczorajsze upokorzenie Leifa

zmieniło się w coś okrutnego. - Jest zbiegiem i już wystarczająco długo narażała nas na niebezpieczeństwo. Fletcher zabierze ją do żołnierzy.

- Nie zrobi tego! - krzyknęła Arden i zaszarżowała na jego zwalisty bok. Rzuciłam się do ucieczki, ale trzymał mnie mocno. Sięgnął po Arden i ją też chwycił za chude ramię. Szarpałyśmy się, usiłując się uwolnić z uścisku.

- Dwie w cenie jednej. - roześmiał się Fletcher, wyplując przy tym fontannę śliny, gdy włókł nas do ciężarówki.

- Nie! Ona nie może odejść! - krzyknął Benny. - Leif, proszę!

- Nie możesz mu na to pozwolić - powiedział Michael do Leifa. Trzymał rękę na włączni.

- Stój! - krzyknęło kilku nowych myśliwych, a Silas pobiegł za mną i złapał mnie za poły rozciągniętego szarego swetra. Ogarnięta paniką widziałam tylko urywki obrazów: wykrzywiona buzia Benny'ego, biegnący naprzód Kevin, Aaron upadający na ziemię i jego czerwony bok. Arden uderzała w rękę Fletchera i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, co było na pace ciężarówki: klatka, w której siedziała już jakaś drobna dziewczyna i krzyczała.

Leif zauważył ją w tej samej chwili. Wyraz jego twarzy zmienił się i położył dłoń na rękę Fletchera, którą ten trzymał Arden.

- Zaczekaj - mruknął. Podbiegł do ciężarówki i z wściekłością uderzył w jej metalowy bok. - Kto to jest? O co chodzi?

Fletcher nawet nie drgnął. Trzymał nas obydwie za nadgarstki i szorowałyśmy nogami po kamieniach, gdy nas ciągnął.

- Chciałeś, żeby zniknęła i zniknie. Co cię obchodzi, gdzie? - warknął.

Żołądek mi się skurczył i poczułam, że do gardła podchodzą mi jaja przepiórcze, które jadłam na śniadanie. Przełknęłam ślinę i wykręcałam ramię, usiłując się uwolnić. Najwyraźniej obrzydliwa umowa, którą zawarł Leif, wymknęła się nawet spod jego kontroli.

- Gdzie są lekarstwa? Gdzie nasza zapłata? - Leif ruszył naprzód, a jego twarz pałała czerwienią. Michael i Aaron poszli za nim, stawiali niepewne kroki, dzierżąc w rękach włócznie. Zamknęłam oczy i czekałam na ich atak, ale brutalny olbrzym wyciągnął zza paska pistolet i wystrzelił w niebo. Chłopcy odskoczyli przerażeni nagłym wybuchem.

- A teraz posłuchajcie - warknął Fletcher. Odchrząknął i splunął zielonkawą flegmą. - Zabieram swoje łupy i znikam, ale jeśli przy okazji będę musiał kogoś zastrzelić, nie ma sprawy. Zrozumiano?

Silas trzymał palce w buzi i jęknął boleśnie. Nie spuszczał ze mnie wzroku, gdy szorując skrwawionymi stopami po kamieniach, zostałam zaciągnięta do ciężarówki.

Arden krzyczała i uderzała pięściami w potężne ramię myśliwego.

- Ty bydlaku! - wrzeszczała. - Puść mnie, ty obrzydliwa bestio!

Wciąż walczyła, nie chciała uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ale ja wiedziałam, że to koniec. Nasze pięści nie mogły się równać z pistoletem. Chłopcy wpatrywali się w swoje włócznie, jak gdyby zostali zdradzeni. Zaostrzone kości wydawały się teraz tak nieskuteczne.

Wpatrywałam się w Silasa i Benny'ego, jak szloch wstrząsa ich drobnymi ciałkami. Benny szarpał Leifa za rękę, ale on tylko patrzył przed siebie. Rozglądał się wokół swoimi czarnymi zdziwionymi oczami.

- Wszystko będzie dobrze! - krzyknęłam do Benny'ego i Silasa i usiłowałam się uśmiechnąć. - Nic mi nie będzie. Nie martwcie się! - Miałam nadzieję, że mi wierzą.

Fletcher otworzył kłódkę i wycelował w nas pistolet. Pokazał, że mamy wejść do środka. Wspięłam się na pakę, a on dotknął szorstką ręką mojej skóry. W klatce było gorąco od słońca. Dziewczyna leżała w kącie, a chude jak patyczki ramiona miała skrzyżowane. Kiedy krata otworzyła się, wstąpiły w nią nowe siły.

- Ratunku, pomóżcie mi! - krzyczała i wyciągała ręce pomiędzy prętami do stojących nieopodal Michaela i Aarona.

Patrzyli to na nią, to na pistolet. Kiedy zrobili krok naprzód, Leif wyciągnął rękę i zatrzymał ich w miejscu.

- Ty to zrobiłeś, Leif! - krzyczała Arden. Przyciskała twarz do krat i pokazywała na niego palcem. - To twoja wina!

Fletcher wszedł do szoferki.

- Chcemy zapłatę! - rzucił Leif i podszedł bliżej. - To była umowa. Zaufałem ci. - Podbiegł do ciężarówki i uderzył pięścią w jej pancerne drzwi.

Fletcher patrzył na niego przez okno, popękane koncentrycznie od naboju.

- Takie jest prawo dżungli - powiedział i zamachał pistoletem. - Nie ufaj nikomu, chłopcze. - Uśmiechnął się, a ze spierzchniętych warg pociekła krew. Potem zapuścił silnik.

Trzymałam się cienkich krat, napierałam na nie i łudziłam się, że ustąpią. Słońce parzyło, klatka była ciasna, a cienki koc w kącie pokryty był wymiocinami. Wstrząsał mną krzyk Arden i jeszcze bardziej pogłębił mój smutek. Leif nas zdradził. Caleb odszedł. Tyle nocy spędziłam na zastanawianiu się, czy powinnam zostać i jak długo - wszystko bez sensu. Czego chciałam ja? Czego chciał Caleb? To nie miało znaczenia.

Teraz jechałyśmy. Decyzja została podjęta za mnie. Kopałam w drzwi klatki i drapałam zamek. Krzyczałam, wyłam, błagałam, ale nic, ani jedna rzecz nie mogła zmienić rzeczywistości.

Ciężarówka zjeżdżała z kamienistego zbocza, a nami rzucało od jednej ściany klatki do drugiej. Starsi chłopcy odsunęli się i usiłowali zagnać Benny'ego i Silasa z powrotem do obozu, gdy gigantyczna maszyna brnęła naprzód wzdłuż brzegu jeziora. Patrzyłam na chłopców, na Aarona, który ścisnął Leifa za ramię i błagał go o jakąś reakcję, i na Kevina, który wyrzucił swoją włócznię w powietrze, tak że opadła jakieś trzy metry od ciężarówki. Patrzyłam na wejście do nory znikające za niskimi krzakami.

Leif złapał Benny'ego za ramiona, żeby go powstrzymać, ale ten wyrwał się i pobiegł za ciężarówką. Jego wątłe nogi napędzała wściekłość.

- Kocham cię! - krzyknął, kiedy był zaledwie trzy metry od ciężarówki. Złapałam się stalowych prętów, a w gardle dławili mnie emocje.

- Kocham cię! - krzyknął Silas, który biegł za Bennym.

Wciąż byli blisko, tuż za ciężarówką. Patrzyłam na ruchy ich ust, wciąż powtarzali te słowa, aż wreszcie ciężarówka wjechała do lasu i ich małe sylwetki nieodwołalnie zniknęły za drzewami.

Rozdział 23

Ciężarówka wspinała się po górzystym terenie, przedzierała się przez łąki chwastów i przerośniętych krzaków, aż wreszcie dotarliśmy do nierównej drogi. Koła zaczęły kręcić się szybciej, wzbijając tumany kurzu przy błotnikach. Słońce tak rozgrzało pręty klatki, że nie dawało się ich dotknąć.

Po godzinie nie poznawałam już lasu, który rozciągał się ponad skalistym poboczem. Nawet niebo wydawało się obce, wielki błękit był pusty, nie latały ptaki.

- Wiedziałam - powiedziała w końcu Arden. Bładą skórę miała pokrytą warstewką kurzu. - Leif chciał nas sprzedać. I to za co? - Osłoniła oczy od słońca. - Za jakieś lekarstwa i trochę pieniędzy?

- Chciał, żebym zniknęła - stwierdziłam. - Nie sądzę, żeby chodziło o leki.

Zastanawiałam się, jak to się stało. Czy przekopał czarny magazyn w poszukiwaniu radionadajnika? A może trafił na niego, kiedy szukał plastra, którym chciał zakleić krwawiącą wargę?

Zastanawiałam się, kiedy Caleb się zorientuje, że zostałam wywieziona. Czy zsiądzie z konia na skraju lasu, gdy zobaczy przy wejściu do nory zapłakanych Benny'ego i Silasa? Czy uklęknie, żeby z bliska przyjrzeć się śladom tego, jak byłam ciągnięta po ziemi, a potem popatrzy na Leifa? Będzie za mną tęsknił? Czy w ogóle go to obejdzie?

Nic nie miało znaczenia. To był koniec. Nie istniał sposób na ucieczkę zza krat, od palącego słońca i mężczyzny z połamanymi żółtymi zębami. Znowu byłam uwięziona, zamykały się wokół mnie inne mury, byłam wieziona do Króla. Bramy Miasta otworzą się i zamkną za mną, jak jeszcze jedna klatka.

Klatka za klatką, a potem kolejna.

Za kratami świat przemieszczał się szybko, szybciej niż kiedykolwiek tego doświadczyłam. Drzewa. Żółte kwiaty rosnące przy drodze. Stare domy z zapadniętymi dachami. Widziałam jelenia i króliki, połamane rowery, zardzewiałe samochody i dzikie psy. Wszystko to pojawiało się i znikało, poruszało się szybko jak woda w rynsztoku.

Jadę do Miasta Piasku, powtarzałam w myślach, jak gdybym za którymś razem miała zobojętnieć. Zabiera mnie do Króla. Już nigdy nie zobaczę Caleba.

Arden też patrzyła za kraty, oczy miała mokre. Tak bardzo starała się uwolnić od szkoły. Dotarła daleko i tak to się miało skończyć? Z mojego powodu trafiła z powrotem w jej macki? Nie miałam wątpliwości, że myśli o głupiej decyzji, którą podjęła kilka tygodni temu w chacie. Z pewnością żałowała, że się zgodziła, żebym została z nią.

- Przepraszam - powiedziałam zdławionym głosem. - Tak mi przykro, Arden. Na pewno żałujesz, że z tobą poszłam.

- Nie. - Arden opłotła palcami pręt klatki. Błada skóra zaróżowiła jej się po zaledwie godzinie na słońcu. - Wcale nie, Eve. - Spojrzała na mnie i w jej orzechowych oczach załśniły łzy.

Dopiero wówczas poruszyła się dziewczyna w kącie. Usiadła i potarła twarz rękami. Gdy opuściliśmy norę, była w zbyt dużej hysterii, żeby z nami porozmawiać. Zwinęła się na rozgrzanej metalowej podłodze i zasnęła, a jej zamkniętymi powiekami wstrząsały koszmary.

- Kim jesteście? - zapytała. Wzdrygnęła się, gdy dotknęła krat.

- Ja jestem Eve, a to jest Arden - powiedziałam. W szoferce Fletcher podgłośnił muzykę i wył do wtóru paskudnej, urywającej się piosenki.

- Kocham rock'n'roll - oll - oll - oll. Wrzuć jeszcze centa do maszyny grającej, mała.

Dziewczyna wyciągnęła szczupłą dłoń i uścisnęłyśmy sobie ręce.

- Nazywam się Lark.

- Do której szkoły chodziłaś? - zapytałam, gdy zauważyłam jej sweter. Miał taki sam fason, jak nasze, tyle że był niebieski, a nie szary.

- Chyba do zachodniej. - Przeczesła palcami gęste, krótkie włosy. Wyglądała na jakieś trzynaście lat. Ręce miała tak chude, że kości ramion sterczały jak dwa supły. Ciemnobrązowa skóra popękała i łuszczyła się na łokciach i kolanach. - $38^{\circ}35'N$, $121^{\circ}30'W$, tak mówiły nauczycielki.

Wiedziałam, że te numery muszą coś znaczyć. Nauczycielki używały ich, gdy mówiły o szkole, ale nigdy nie dowiedziałam się, co znaczą. Nasz symbol brzmiał: $39^{\circ}30'N$, $119^{\circ}49'W$.

- A więc uciekłaś? - zapytała Arden.

- Musiałam się stamtąd wydostać. - Dziewczyna wcisnęła się w kąt klatki i nie patrzyła nam w oczy.

Zerknęłam na Arden i poczułam ulgę, że nie tylko my dwie znałyśmy prawdę o szkołach. Spojrzałam na nogi Lark, całe w czerwonych plamkach. Tak samo wyglądały moje w czasie pierwszych dni w lasach. Ślady po ukąszeniach komarów miała na ramionach, a w płóciennych trampkach była dziura, przez którą wystawał duży palec.

- Jak się tu dostałaś? - zapytałam.

Lark potarła skórę wokół oczu, gdzie zaschły jej łzy i zostawiły białe słone ścieżki.

- Znalazłam wyrwę w murze. Miała niecałe pół metra i mieli zamiar ją naprawić. Zasłonili ją na noc, żeby nie wpuścić psów, ale przecisnęłam się. - Wskazała na dziurę na boku swetra, przez którą widać było gołe biodro. - Potem biegłam, dopóki nie znalazłam domu, w którym położyłam się spać. To chyba było cztery dni temu, ale nie jestem pewna.

- Gdzie cię znalazł? - Arden wskazała na Fletchera. Wystawił mięsiste ramię przez okno i poruszał nim w rytm wyśpiewywanych słów: „Chodź i zatańcz ze mną, ze mną!”

Lark oplotła ramionami nogi i zwinęła się w kłębek.

- Zobaczyłam przy drodze dzbanek z wodą. Strasznie chciało mi się pić, cały dzień maszerowałam w słońcu. Ale to była pułapka, musiał mnie śledzić.

Ciężarówka podskoczyła na wyboju i żołądek podjechał mi do gardła. Złapałam się prętów, choć parzyły mnie w delikatną skórę dłoni.

- Powiedziałaś komuś jeszcze o rozmnażalni? - pytałam. - Czy inne dziewczyny będą próbowały uciec?

Lark spojrzała na mnie zdumiona:

- O rozmnażalni? O czym ty mówisz?

- O maciorach - powiedziałam na tyle głośno, żeby było słychać spoza ryku silników i radia. Ale Lark wciąż nie rozumiała, o co chodzi. - Przecież dlatego uciekłaś. Żeby nie zostać wykorzystana w hodowli.

Lark podkuliła nogi na metalowej podłodze i wyprostowała się.

- Nie - rzekła z napięciem. - Uciekłam dlatego. - Odwróciła się i pokazała nam niebiesko - czarne pręgi z tyłu bicepsa. Nie było wątpliwości, że to ślady palców. - Poczekala, aż wszyscy wyjdą, a potem mnie uderzyła. Zamierzałam znaleźć inną szkołę, lepsze miejsce. Nie chcę już nigdy zobaczyć tej kobiety.

Arden otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, chętna do podzielenia się z Lark wiedzą o witaminach, wspomaganii płodności i potwornych salach z metalowymi łózkami, ale podniosłam rękę. Pod wieloma względami mogłam polegać na Arden, ale trudno było liczyć na jej delikatność.

- Lark - powiedziałam powoli, kiedy spojrzała na mnie. - Uczennice szkół, a byłam jedną z nich, nie miały nigdy uczyć

się zawodu. Poza murami szkoły nazywa się nas maciorami i naszym zadaniem jest rodzenie dzieci. Tylu, ile damy radę, żeby zasiedlić Miasto Piasku.

Arden nie mogła się już dłużej powstrzymać.

- Zabierają nas do Miasta, Eve zostanie wydana Królowi, a ty i ja wrócimy do szkół, prosto do łóżek. - Kiedy to powiedziała, głos jej się załamał.

- Nie - wydukała Lark. Odgryzła kawałek skórki na opuszcze palca i wypluła. - To niemożliwe.

- Ja też nie mogłam uwierzyć, ale zobaczyłam na własne oczy...

- To źle widziałaś - przerwała Lark. Pochyliła się do przodu na kolanach. - Nie wiecie, o czym mówicie. - Pokręciła głową. - Może tak było w waszej szkole. Nam by tego nie zrobili. Niby za co?

Arden przysunęła się do Lark i wzięła ją za szczupłą rękę.

- Posłuchaj nas - syknęła. Lark cofnęła się, czując jej gorący oddech. - Posłuchaj, co do ciebie mówimy. Muszą zasiedlić Miasto. Myślisz, że jak mają to zrobić? No jak?

- Odczep się - syknęła Lark i strąciła jej ramię. - Chyba zwariowałaś. - Ale kiedy wracała do swojego kąta, jej głos był cichszy, mniej pewny.

- Skoro chcesz być do końca życia maciorą, to sobie bądź - rzuciła Arden i wycelowwała w Lark palec. - Ale my nie wracamy do szkoły. W każdym razie ja nie wracam, nie zamierzam... - Zacisnęła usta, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Kiedy się cofnęła, wydawała się znacznie drobniejsza i słabsza niż wcześniej.

Poczułam, że ktoś na nas patrzy i odwróciłam się, żeby napotkać we wstecznym lusterku spojrzenie Fletchera. Ściszył muzykę i otworzył okienko do wnętrza naczepy.

- Nie bój się, ślicznotko - powiedział. - Nie zabieram was z powrotem do szkoły. - Obniżył lusterko tak, żeby popatrzeć

na gołe nogi Arden. - Trzy panny... Czyste. Gdzie indziej dostanę za was dużo więcej.

To powiedziawszy, znów podgłośnił radio i zaczął stukać palcami w drzwi.

- Chodź i zatańcz - ańcz - ańcz ze mną, ze mną! Au! Arden milczała. Po raz kolejny przymierzyła się do otwarcia metalowego zamka i szarpała tak długo, aż palce jej poczerwieniały. Krajobraz przesuwiał się obok nas w chmurze żółtego pyłu. Gałęzie drzew zwieszały się ku drodze jak zdeformowane palce.

- Co on ma na myśli? - zapytała mnie Lark. Dolna warga jej drżała.

W tym momencie nienawidziłam tej obcej dziewczyny za to, że była do mnie tak podobna. W jej twarzy widziałam kogoś, kim sama byłam: pełna wiary w szkołę, pewna jej murów, reguł i równych rzędów dziewcząt kierujących się z sypialni do jadalni. Myślała, że pójdzie gdzie indziej i ktoś podaruje jej coś nowego, lepszego. Przyszłość.

- Twoje marzenie się spełni - powiedziałam, bo nie mogłam powstrzymać zimnych słów cisnących mi się na usta.

- Nie zobaczysz już swojej dyrektorki.

Rozdział 24

Spędziłyśmy w ciężarówce całe godziny. Płuca miałyśmy pełne kurzu. Nawet słońce nas opuściło i schowało się za drzewami. Zasypiałyśmy i budziłyśmy się. Myślałyśmy, że mamy czas na przygotowania, na ucieczkę, ale potem zabręczało jakieś urządzone przy pasku Fletchera i obudziło nas.

- Fletcher, ty diable! Kiedy będziesz? Jest zainteresowanie, a nie mam towaru.

Wcisnęłam się w kąt. W drugim spała Lark, a Arden skuliła się przy mnie. Widziałam ich twarze w czerwonym świetle reflektorów.

Fletcher przytknął ten dziwny nadajnik do ust i nacisnął guzik z boku, który uciszył buczenie.

- Opanuj swojego ogiera - zaśmiał się. - Muszę gdzieś przenocować. Będę rano.

Urządzenie znów zaczęło buczeć, a z głośnika rozległ się obleśny śmiech.

- Powiedz chociaż, co tam masz. Rzuć chłopakom na smaczek.

Wyobraziłam sobie tych mężczyzn, których widziałam kiedyś przy chacie, z klatkami piersiowymi opalonymi na brązowo, zebranych pod plandeką na jakimś obozowisku i czekających na nasz przyjazd. Przycisnęłam twarz do krat, byłam spragniona powietrza.

- Sam zobaczysz - odparł Fletcher i zerknął na nas w lusterku. - Jutro ci je dostarczę, ty brudny pijaku. - Wyłączył nadajnik i znów podgłosił muzykę.

Jeszcze w szkole kłóciłam się kiedyś o to, że ludzie są dobrzy i chcą się doskonalić. Ale kiedy słuchałam, jak on się śmieje do beztrako trzymanego w dłoni radia, czułam, że jest zdegenerowany. Jedną rzecz, którą mówiła pani Agnes, była

prawdziwa: niektórzy mężczyźni traktowali kobiety jak towar. Taki sam jak paliwo, ryż albo puszki z mięsem.

Arden patrzyła na mnie, a potem odwróciła się do Fletchera plecami.

- Musimy się stąd wydostać - szepnęła. - Dzisiaj wieczorem.

- Ale on nas zabije - chlpała Lark i okryła nogi zniszczonym kocem.

- Już nas zabił - odparowała Arden.

Skinęłam głową, bo wiedziałam, że ma rację. Przeżyłam to w magazynie z Leifem, czułam, że moja dusza słabnie, chwieje się, jest w agonii i prawie znika. Fletcher nie zmienia zdania. Nie wykaże się nagłym odruchem serca. Nie przebudzi się w środku nocy tknięty litością.

Odwróciłam się do Lark i Arden i zasłoniłam usta włosami, żeby Fletcher nie wyczytał moich słów z ruchu warg, gdyby spojrzął w lustro.

- Możemy uciec, gdy będzie rozbijał obóz - powiedziałam i poczułam nerwowe napięcie.

Spojrzałam za kraty z nadzieją na ujście jakiegoś znaku, drogowskazu, wskazówki, która umiejscowi nas w przestrzeni, ale zobaczyłam tylko ciemność.

Wiele godzin później ciężarówka zjechała z drogi, a koła skakały na kamieniach i połamanych gałęziach. Zatrzymaliśmy się na polanie. Niebo było zachmurzone, księżyc się schował. Gęste drzewa ustąpiły miejsca otwartej przestrzeni, niskim krzewom i piaskowi, który w świetle reflektorów jarzył się na czerwono. Nad nami wznosiły się formacje skalne, coś pomiędzy górami a klifami. Ich kształty rzucały w świetle gwiazd dziwaczne cienie. Fletcher wysiadł z wozu, rozprostował ramiona, a potem odszedł w zarośla i oddał moc.

- Rób, co ci powiemy - szepnęła Arden i złapała Lark za rękę.

- Wiem — warknęła i wyrwała się. Głos miała oschły. - Już mówiłaś.

- Musimy się załatwić. - Zadudniłam w kraty. - Prosimy, wypuść nas.

Fletcher zapinał właśnie rozporek.

- Co?

- Powiedziała - wtrąciła się Arden i odgarnęła z czoła czarne włosy - że musimy się wysikać.

Fletcher skinął głową, jak gdyby to słowo zrozumiał lepiej. Poświecił latarką do wnętrza klatki, a potem w krzaki. Na wysokich skałach stał zniszczony dom.

- Wszystkie?

- Wszystkie - odparła Arden. Nawet Lark pokiwała głową z przekonaniem.

Fletcher oświetlił twarz Arden, potem Lark, a na końcu moją. Skrzywiłam się.

- Macie dwie minuty. Możecie iść tam, do lasu. - Skierował snop światła na ścieżkę wyznaczoną przez spalone drzewa, czarne i powykręcane do wysokości, do której dotarł ogień. - Ale jeśli zrobicie choćby krok bez mojego pozwolenia... - Wyciągnął zza paska pistolet i pomachał nim.

Lark oddychała szybciej, gdy Fletcher otwierał gigantyczną kłódkę. Wyszliśmy, najpierw Arden, potem ja i wreszcie Lark. Oświetlał nas latarką, gdy szliśmy między drzewa.

W świetle las wyglądał jeszcze groźniej. Gałęzie, chwilowo bez kory i liści, sięgały ku nam i wabiły dalej.

- Jeszcze nie - szepnęłam, ale nie byłam pewna, czy to Lark, czy może jednak ja potrzebuję napomnienia. Wśród niskich krzewów szliśmy powoli i ostrożnie. Ze spopielałych

korzeni wyrastały młode drzewka, wysokie trawy i paprocie. Były dowodem witalności.

Kiedy dotarliśmy do granicy lasu, Arden się do mnie odwróciła. Spojrzenie jej złagodniało. Usta wyginała leciutko w uśmiech dostrzegalny tylko przeze mnie.

- Może to pożegnanie - zdawała się mówić. - Przepraszam, jeśli tak będzie.

Weszliśmy kilka kroków do lasu. Spojrzałam w prawo. Widziałam dwa drzewa, a dalej już nic.

- Teraz - powiedziała Arden tak zduszonym głosem, że ledwie ją słyszałam.

Ruszyłam przed siebie, jakby moje ciało nic nie ważyło. Bez wysiłku mknęłam przez połamane gałęzie i kłujące krzaki, coraz bardziej zagłębiając się w spalony las. Ręce miałam wyciągnięte przed siebie, żeby w tej ciemności jakoś odnajdywać drogę.

- Wy małe...! - krzyknął za nami Fletcher, a jego ciężkie buty dudniły, gdy biegł przez polanę. - Poderżnę wam gardła!

Lark i Arden pomknęły w las, rozmywając się w ciemności. Potem powietrze przeciął pierwszy wystrzał, uciszył nawet ptaki i owady. Padłam na ziemię przerażona, że Arden krzyknie, ale słyszałam tylko dźwięk kroków, łamanych gałązek i głośny, zasapany oddech Fletchera. Biegłam naprzód, brnęłam przez splątane krzaki, ale on się zbliżał. Jego cień pojawiał się systematycznie między drzewami i wciąż poruszał się naprzód.

Podniosłam się, ale wykręciłam kostkę. Gdzieś za spalonymi drzewami mrugnęło do mnie światło w oknie domu. Widziałam tylko frontowy ganek i wysmarowany smołą dach potężnego sześcianu odcinającego się na tle cienistego krajobrazu.

- Wracaj! - ryknął.

Czułam puls dudniący w palcach nóg i rąk. Biegłam ku światłu, ale oddychałam ciężko i z trudem przestawiałam nogi.

- Biegnij - powtarzałam sobie. - Naprzód.

Drzewa szybko skończyły się i rozciągnęła się przede mną przestrzeń gęsto zarośnięta dzikimi kwiatami. Światło było znacznie dalej, niż myślałam, jakieś sto metrów ode mnie, pod górującymi nad okolicą piaskowymi rzeźbami.

Buty Fletchera natrafiały na kamienie, gdy biegł przez las.

- Ty obrzydliwa macioro! Myślisz, że mnie wykiwasz? - wrzeszczał z większą niż wcześniej wściekłością:

Rozejrzałam się. Z lewej strony wznosiły się klify, widziałam ich zbocza. Z prawej wiała się piaskowa droga. Przede mną był znów las, ale nawet szybkim biegiem nie dotarłabym tam, zanim nie dopadłby mnie Fletcher. Nie miałam innej kryjówki poza gęstym kobiercem kwiatów i ich delikatnymi płatkami, często nie większymi niż kilka centymetrów.

Przypadłam do ziemi. Niebieskie i złote pączki łamały się pod moim dotykiem. Położyłam się na boku i przygięłam ku sobie łodygi, żeby lepiej mnie zasłoniły.

Kiedy ostrożnie podniosłam głowę, zobaczyłam Fletchera na krawędzi lasu. Z głębokiego rozcięcia na czole leciała mu krew.

Odwróciła się i splunął na ziemię.

- Wyłaź! Chodź tu, gdziekolwiek jesteś! - Odbezpieczył pistolet, a mnie włoski na rękach stanęły dęba.

Kiedy szedł przez łąkę, przypłaszczyłam się jeszcze bardziej do ziemi i pragnęłam, żeby się rozstała i połknęła mnie cała. Poruszał się wolno, kwiaty rozchylały się na wysokości jego kolan, a lufę pistoletu kierował przed siebie. Każdy krok miażdżył kielichy kwiatów. Był kilka metrów ode mnie, gdy się skrzywił. Przechylił głowę, jakby nie był pewien, czy jestem tylko cieniem, czy jednak nie.

Zamarłam w bezruchu, nie śmiałam nawet odetchnąć. Wbiłam palce w ziemię. Pot spływał mi po plecach. Powietrze uwięziłam w płucach.

Po starannej lustracji odwrócił się i spojrzał gdzie indziej.

Z ulgą zamknęłam oczy, nie zauważył mnie, a Lark i Arden zyskały dodatkową minutę na ucieczkę. Rozluźniłam się i wyciągnęłam wśród krzewów, płuca karmiły się tlenem, gdy nagle, tuż obok, usłyszałam trzask łamanej gałązki.

- Witaj, laleczko. - Fletcher splunął na ziemię. Wstałam, zanim zdążył wycelować we mnie broń.

Pierwsza kula mnie minęła, a ja wystartowałam, z sercem tłukącym mi się wśród żeber. Strzelił ponownie, tym razem trafił w drzewo. Wciąż biegłam i nie oglądałam się za siebie, a wtedy strzelił raz jeszcze. Tym razem nie było huku eksplozji, tylko metaliczny trzask spustu. Kiedy się odwróciłam, uderzał zepsutym pistoletem o dłoń.

Biegłam wśród kwiatów, ale doganiał mnie. Biegł szybciej niż wcześniej, choć wydawał krótkie sapnięcia.

- To już koniec - powiedział i zatrzymał się, żeby wystrzelić.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że unosi broń i celuje mi w plecy. Zacisnęłam oczy i modliłam się, żebym nie konała tak długo, jak tamta łania, żebym nie męczyła się jak ona.

Rozległ się wystrzał.

Czekałam na krew wyciekającą z rany i palący ból w miejscu, w którym kula wdarła się w moje ciało. Ale nic takiego się nie stało. Nie było rany ani bólu.

Nic.

Za mną Fletcher zastygł w bezruchu. Opuścił broń. Na środku jego koszuli stopniowo powiększała się czerwona plama, rozprzestrzeniała się na pierś i boki. Wydał gulgoczący charkot, a potem, z otwartymi ustami, upadł na kwiaty.

Odwróciłam się i zobaczyłam idącą przez pole postać. W moją stronę szła starsza kobieta. Wyglądała na siedemdziesiąt lat, a białe jak śnieg włosy miała splecione w warkocz na plecach. Jak ukochane zwierzątko głaskała trzymaną w dłoni strzelbę.

- Nic ci nie jest? - zapytała i wpatrywała się we mnie. Położyłam dłoń na piersi, żeby poczuć, że serce wciąż mi bije.

- Tak - powiedziałam z trudem. - Tak myślę.

Podniosła z ziemi pistolet Fletchera i na podstawioną dłoń wysypała zawartość magazynka. Potem mocno kopnęła go na bok. On się nie poruszył. Już nie żył.

- Dziękuję - szepnęłam, nie wiedząc, co powinno się powiedzieć w takiej sytuacji.

Starsza kobieta uśmiechnęła się. Twarz miała pokrytą piękną siecią zmarszczek.

- Jestem Marjorie Cross - powiedziała i wyciągnęła na powitanie zwiędłą dłoń. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Rozdział 25

Jesteśmy na miejscu - powiedziała Marjorie i otworzyła drzwi do domu. - Proszę, rozgośćcie się. - Wskazała wejście do salonu, przed kominkiem stała różowa kanapa. Na każdym podłokietniku leżała żółta makatka. Przed kanapą stał garnek, z którego unosił się wypełniający cały pokój zapach jagód.

Pomachałam do idących za mną Arden i Lark.

- W porządku - szepnęłam. Marjorie rozkładała broń na kuchennym stole. - Jesteśmy bezpieczne.

- Otis! - zawołała Marjorie w górę schodów. - Otis! - Trzymała się ręką za gardło, gdy z trudem wykrzykiwała każde słowo. - Wybaczcie - powiedziała i spojrzała na nas - ale nie ma skąd wziąć aparatu słuchowego. Same rozumiecie.

- Przypomnij mi, co robimy w domu tej zwariowanej babeczki? - poprosiła Arden, gdy usiadłyśmy na kanapie. Przyciskała ręką zadrapanie na ramieniu, które biegło aż do łokcia i było przybrudzone popiołem.

- Ta zwariowana babeczka właśnie uratowała mi życie.

Wołałam wśród drzew prawie dwadzieścia minut, zanim wreszcie Arden i Lark pokazały się. Bały się, że to zastawiona przez Fletchera pułapka. Idąc za Marjorie, dotarłyśmy do jej ukrytego w lesie domku, w którym paliło się tylko jedno światło. To właśnie je widziałam, gdy uciekałam.

Marjorie krzątała się po kuchni, w jednej ręce trzymała talerze.

- Ładnie tu - powiedziała Arden. Twarz miała wciąż mokrą, a sweter poplamiony czerwonym błotem. - Podoba mi się.

Kanapa wyglądała na wygodną, a miękkie poduszki nie śmierdziały pleśnią, jak większość mebli od czasu zarazy. Pokój zastawiony był delikatnymi filiżankami na herbatę - żadna nie była wyszczerbiona - i porcelanowymi figurkami tańczących albo spoglądających przez teleskop dzieci. Po

drugiej stronie barku oddzielającego kuchnię od pokoju stał długi drewniany stół, a na nim srebrna misa pełna czerwonych, żółtych i zielonych pomidorów.

Pomyślałam o jednej z najbardziej pożądanых książek ze szkolnej biblioteki o małej dziewczynce imieniem Nancy, która miała spódniczki baletowe i balerinki, i wszystkie inne luksusowe dobra, na które my nie miałyśmy szansy. Kiedy byłyśmy małe, Pip, Ruby i ja zwijałyśmy się razem w łóżku i czytałyśmy o rodzinie wybierającej się do lodziarni i zatrzymywałyśmy się na dłużej na fragmencie, w którym Nancy szykowała do wyjścia swoich rodziców. Zakładała tacie okulary i polerowała paznokcie mamy. Uwielbiałam jej dom z wielką kanapą, w której można było się zapaść, z kwiatami stojącymi na stołach i szafą zawsze pełną ubrań i zabawek. To był prawdziwy dom, z pomalowanymi ścianami i pasującymi do siebie meblami. Taki jak ten.

Na ceglany kominku stały zdjęcia w ramach. Czarno - biała fotografia pokazywała dziewczynkę w fartuszkach w kratkę. Na innej był chłopczyk w białym garniturku i z kwiatkiem w butonierce. Jeszcze inna przedstawiała młodą parę w spodniach z wysokim stanem, obejmującą się ramionami. Kobieta z jasnymi włosami, trochę starsza niż ja teraz, stała u boku mężczyzny, a dłoń trzymała na jego sercu.

Od razu pomyślałam o Calebie. Był gdzieś i wierzył w to, co się stało. W jego pamięci odtrącałam wyciągniętą do mnie rękę i nie byłam pewna odpowiedzi, gdy zapytał o Leifa. Był tam beze mnie.

- Widzę, że mamy gości. - Po schodach schodził siwowłosy mężczyzna. Jedną nogę przestawiał z wysiłkiem. Był jeszcze starszy niż Marjorie. Kraciastą koszulę wpuszczoną miał w spodnie, które na kolanach przetarły się do białości. Lark wystraszyła się na jego widok, a ja zdałam sobie sprawę, że jeszcze kilka tygodni temu zareagowałabym

tak samo. Po czasie spędzonym z Calebem, po jeźdzeniu z nim na koniu i wędrówkach po lesie nie bałam się już tak jak kiedyś.

Marjorie uklękała przy kominku i na każdy talerzyk nałożyła pełną łyżkę jagód.

- Znalazłam je w lesie. Jakiś dzikus chciał je zabić. - Patrzyła na Otisa o chwilę za długo i czułam, że przekazali sobie coś bez słów.

- Co tam robiliście? - Otis, szurając po podłodze, przysunął sobie z jadalni krzesło i usiadł obok nas.

Do oczu Lark napłynęły łzy.

- Ten człowiek, Fletcher, złapał nas. Chciał nas komuś sprzedać. - Kiedy to mówiła i założyła czarne gęste włosy za uszy, dłonie jej się trzęsły.

- Uczyłyśmy się w szkołach - dodała Arden. - Uciekłyśmy.

Marjorie podała mi talerz parujących jagód i wciągnęłam ich pikantny zapach. Wzdłuż krawędzi porcelanowego talerza narysowane były purpurowe różyczki. To miła odmiana po metalowych spodkach, z których jadłyśmy w szkole, i wystruganych w drewnie talerzach, które Caleb dał nam w norze.

- Jak długo byliście na wolności? - zapytała Marjorie.

- Cztery dni - odparła Lark. Marjorie spojrzała na mnie i na Arden. Przełknęłam łyżkę jagód.

- Nie jestem pewna... Kilka tygodni?

- Tak - zgodziła się Marjorie. - Trudno zachować rachubę czasu, gdy się ucieka. - Kiedy to mówiła, spojrzała na Otisa. - Dokąd zmierzałyście?

Arden zerknęła na mnie i zamilkła. Uniosłam jedno ramię w ledwie dostrzegalnym geście niepewności.

Niebezpiecznie było ufać komukolwiek, ale Marjorie właśnie uratowała mi życie.

- Miałyśmy zamiar kierować się drogą numer 80 do Kalifii - wyjaśniła Arden, nabierając jedzenie na widelec.

- Dzielne dziewczyny - powiedział Otis. Kiedy siedział, spodnie trochę mu się podwinęły i zobaczyłam, że prawą nogę ma drewnianą. Wpatrywałam się w słoje drewna, niestarannie wystrugane przewężenie, które tworzyło kostkę i znikało w bucie. Noga wyglądała, jakby została wycięta z gałęzi - A jak chcecie się tam dostać teraz?

- Zgubiłyśmy się - odparłam. - Nie wiem. Wyglądniała Lark napychała usta jagodami. Marjorie jeszcze raz spojrzała na Otisa. Potem wstała i powoli podeszła do stojącej na oknie lampy. Podniosła ją i zdmuchnęła świeczkę.

- A ja wiem.

Spojrzałam na półki za nią i zauważyłam czarny metalowy odbiornik radiowy z leżącymi obok słuchawkami.

- Szlak - powiedziałam na głos do siebie.

- Tak, jesteście na Szlaku. - Otis wskazał podłogę.

- O czym mówicie? - zapytała Arden. Postawiła talerzyk na kolanach, a odłożony widelec zadzwonił o porcelanę. Mówiłam jej o Szlaku, gdy byłyśmy jeszcze w norze, w pokoju Paula, ale miała gorączkę i pewnie zapomniała.

Marjorie stała przed nami, pomarszczone ręce złożyła razem.

- Ten dom to azyl. Niedaleko stąd jest kilka różnych nor i Kalifia. Pomagamy sierotom wyrwać się spod kurateli Króla.

Lark wpatrywała się w świeczkę w lampie i w dym wijący się nad czarnym knotem.

- Ale żołnierze nie wiedzą, że tu jesteście? - Objęła się ramionami.

- Są podejrzliwi - powiedział Otis. - Co jakiś czas przyjeżdżają dżipami, wypytują albo przeszukują dom. Ale bez dowodu na jakieś wykroczenie nic nie mogą zrobić. Mamy pozwolenie na życie poza granicami Miasta Piasku.

- Pozwolenie? - zapytałam. Słyszałam już o Bezpańskich, ale byli dla mnie biedakami, włóczęgami bez domu. Wyobrażałam ich sobie jako bezdomnych ze starych książek i nie sądziłam, że mogą mieć domy, i to takie jak ten.

Otis poprawił nogawkę spodni i zakrył drewnianą nogę.

- To długi proces i nie wszyscy decydują się na przejście przez niego, chyba że mają ważny powód. Ale my jesteśmy starzy, niepotrzebni w Mieście Piasku, więc dają nam spokój.

Lark odgryzła skórę z palca. Ogień rozgrzał jej policzki i wydobył z jej okrągłej delikatnej twarzy piękno.

- Co by zrobili, gdyby odkryli, że nam pomagacie?

Język stanął mi kołkiem w ustach jak zeschnięty wąż. Tyle razy marzyłam o tym miejscu, o czystych ulicach, o plażach, na których panie wylegiwały się pod parasolami, czytając książki. Jak mogłam wierzyć w te kłamstwa?

- Zostaniecie u nas kilka dni - powiedział Otis. - A potem prześlemy was do następnego azylu. Jeśli pali się świeczka, znaczy, że mają wolne miejsce.

Lark wciąż majstrowała coś przy palcach. Ogryzała skórki, aż pojawiła się krew.

- Ale jeśli nas złapią, zabiją was, sama pani powiedziała.

Marjorie wplotła niesforne pasmo białych włosów do warkocza. W świetle płomieni podskakiwały cienie, a jej wyraz twarzy nie zmienił się ani trochę.

- Prawie dwieście lat temu Harriet Tubman walczyła o wolność niewolników. A kiedy powiedzieli jej, że nie są pewni, czy dadzą radę, że bardzo się boją, wycelowała w nich broń i powiedziała: - Marjorie wystawiła ręce, jak gdyby trzymała w nich pistolet - Idźcie naprzód albo gińcie.

Otis położył dłoń na jej ręce i opuścił w dół lufę niewidzialnego pistoletu. Potem odwrócił się do nas i zmrużył oczy, aż pomarszczyła mu się skóra pod nimi.

- Ona chce powiedzieć, że tu nie ma miejsca na strach. Na tym opiera się reżim Króla, na przekonaniu, że jesteśmy zbyt przerażeni, żeby żyć inaczej.

Przypomniałam sobie to uczucie, gdy byłam już prawie za murem. Mimo wszystkiego, czego się dowiedziałam i co zobaczyłam we wnętrzu potwornego budynku po drugiej stronie jeziora, coś mnie tam trzymało. Słyszałam szepty uczennic, mówiące o dzikich psach i gangach. Słyszałam ponagląjące postukiwanie palcami w blat biurka, kiedy dyrektorka kazała mi łykać witaminy. Do chóru dołączały się nauczycielki ze swoimi tyradami na temat mężczyzn, którzy manipulowali kobietami przy użyciu uśmiechu. Cała moja przeszłość śpiewała kuszącą pieśń, która miała mnie zatrzymać w szkole.

- Na pewno jesteście zmęczone - stwierdziła w końcu Marjorie. - Pokażę wam wasz pokój.

Otis zbierał puste talerze, a ona wstała i poprowadziła nas w dół wąskimi drewnianymi schodami. Pod domem rozciągała się piwnica pełna połamanych krzeseł i pudełek. Była tam także poobijana szara maszyna z klawiaturą i jakieś zalane wodą gazety.

Podniosłam jedną, która leżała na wierzchu. To był „New York Times”. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie kobiety sięgającej ponad barykadę. Usta miała otwarte, jakby krzyczała. „Kryzys. Mur rozdzielił rodziny”, głosił tytuł. Nauczycielki opowiadały o tym Mieście, o zarazie opanowującej całe apartamentowce, których drzwi zamykano na kłódkę od zewnątrz, więżąc mieszkańców.

- Tutaj? - Arden wskazała zniszczoną kanapę w rogu.

Ale Marjorie skierowała się na drugą stronę pomieszczenia i otworzyła drzwi do szafki spiżarnianej. Wyjmowała jedną puszkę jedzenia za drugą, aż w końcu wyjęła całą środkową półkę.

- Tak naprawdę - powiedziała, zrywając pajęczą sieć - tutaj.

Zapaliła lampę i oświetliła sekretny pokój. Pod ścianą stały dwa piętrowe łóżka, a w rogu był metalowy zlew. Ściany były niepomalowane i brudne, a na podłodze leżała cienka szara mata. Pokój przypominał lepianki w norze chłopców.

- To na wypadek, gdyby żołnierze zaskoczyli nas w nocy. Za rogiem, jakieś sto metrów dalej, są drzwi prowadzące na podwórko. Są tu ręczniki, ubrania na zmianę i jakieś buty - oznajmiła, patrząc na nasze bose, brudne stopy.

Arden przeszła przez spiżarnię i rzuciła się na jedno z dolnych łóżek.

- Dużo tu miejsca - zauważyła, kiedy Lark poszła za nią.

Lark, zanim rzuciła się na materac i naciągnęła cienki koc na nogi, przebrała się ze swojego podartego swetra w czystą koszulę nocną. Położyła głowę na poduszce i po raz pierwszy zobaczyłam, że jest spokojna, szykując się do snu.

Żołądek miałam pełen jagód, a bicie serca wróciło do normalnego rytmu. Wciąż byłyśmy w niebezpieczeństwie, cały czas w drodze, ale nie czułam już paniki. Spojrzałam na miłą, bladą twarz Marjorie.

- No, dalej. - Pokazała mi przejście. Ubrania przesiąkły jej zapachem ognia, dziwnie znajomym i kojącym. - Tutaj jesteście bezpieczne, daję słowo.

Nie mogłam się powstrzymać. Przytuliłam ją i chłonełam uspokajające ciepło jej ciała. Nauczycielki nas nie dotykały, z wyjątkiem szybkiego muśnięcia dłoni na plecach, w drodze na obiad albo szorstkiego poklepania po ramieniu, gdy w czasie lekcji zapatrzyłyśmy się w okno. Pierwszego roku w szkole błagałam panią Agnes, żeby rozczesła mi włosy. Piszczalam i wierzgałam, aż w końcu rzuciłam szczotkę do porcelanowej umywalki. Stała ponad godzinę, z rękami w kieszeniach. Ani drgnęła, dopóki sama nie rozplątałam kołtuna.

Marjorie uniosła ręce i też mnie objęła. Czułam kości na jej plecach i zdałam sobie sprawę, jaka jest drobna pod luźnym lnianym strojem.

- Dziękuję - powtarzałam raz za razem, choć słowa były coraz cichsze. - Dziękuję, dziękuję.

Rozdział 26

Obudził nas zapach świeżo pieczonego chleba.

- Mamy dla was świeże jajka - powiedział Otis i rozstawił krzesła wokół stołu w jadalni. Popatrzyłam na ucztę: dymiąca jajecznica, suszone w cienkich paskach mięso z dzika i miękki chleb, dopiero co wyjęty z piekarnika. Uśmiechnęłam się i znów ścisnęło mnie w gardle z emocji.

- Wygląda pysznie! - ucieszyłam się. Lark usiadła przy stole i nałożyła na talerz czubatą łyżkę. Nie zwracała sobie głowy przebieraniem z koszuli nocnej.

Arden rozglądała się po pokoju. Patrzyła na frontowe i boczne okna, a także na wychodzące na podwórko drzwi. Zasłony były opuszczone.

- Czy oni są wampirami? - szepnęła.

Marjorie krzątała się po kuchni, kroїła pomidory i wkładała do miski. Znów pomyślałam o ucieczce przez las, o Fletcherze i o ranie w jego piersi.

- Czy on wciąż tam jest? - zapytałam, patrząc na nią. Marjorie przerwała krojenie. Potem wskazała nożem na okno.

- Bill i Liza się nim zajmują.

Arden wpatrywała się w talerz czerwonego mięsa.

- Kim są Bill i Liza?

- To nasze koty - wyjaśniła Marjorie. Położyła dłoń na karku Otisa i podała mu dwa pomidory.

Lark przełknęła ślinę i patrzyła to na Marjorie, to na Otisa.

- Wasze koty zajmują się Fletcherem?

Otis skinął głową, a potem wziął kolejny kęs mięsa.

Zajrzałam za zasłonę i wpuściłam do środka trochę światła, które podświetliło unoszący się w powietrzu kurz. Sto metrów dalej dwie pumy rozrywały zwłoki Fletchera i wbijały zęby w jego krwawe mięso. Jedna z bestii trzymała w paszczy jego rękę, a poszarzałe palce wystawały jej spomiędzy zębów.

- Lepiej nie zbliżaj się do okna, kochanie - powiedziała Marjorie i zawołała mnie z powrotem do stołu. - Zawsze może się zdarzyć, że żołnierze nas obserwują.

Lark żuła kawałek mięsa. Patrzyła ostrożnie raz na Marjorie, raz na Otisa.

- Jesteście... małżeństwem?

Marjorie dotknęła palców Otisa, a w oczach zamigotały jej iskierki rozbawiania.

- Poznałam Otisa długo przed zarazą. Mieszkałam wtedy w Nowym Jorku...

- One nie wiedzą, co to jest Nowy Jork - przerwał jej Otis.

Marjorie zmarszczyła nos, udając, że jest niezadowolona z wtrącenia. Odwrócił się do nas, ale patrzył gdzieś dalej.

- To było jedno z najwspanialszych miast świata. Wieżowce wystrzeliwały z chodników, a ludzi było tylu, że trzeba było torować sobie wśród nich drogę. Pod ziemią jeździło metro, a na ulicy można było kupić hot dogi.

Czytałam książki, których akcja toczyła się w Nowym Jorku - Wielki Gatsby, Świat zabawy - ale to brzmiało niewiarygodnie. Ilu ludzi trzeba, żeby wypełnić drapacz chmur, zapełnić ulicę... Przez całe życie nie widziałam ich aż tylu.

Marjorie podniosła jego dłoń do ust i pocałowała.

- Dziękuję, kochanie. Byłam w Nowym Jorku i któregoś wieczoru spotkaliśmy się. Siedział naprzeciwko mnie i opowiadał jakąś niedorzeczną historię o recyklingu.

- Nie mówiłem o recyklingu - mruknął do siebie Otis. - Ale nieważne.

- Co to jest recykling? - zapytała Arden.

- Nieważne. Nie słuchałam go - kontynuowała Marjorie. - Tylko na niego patrzyłam i myślałam, że ten mężczyzna, ten ktoś, nawet nie znałam jego imienia, jest taki żywy. Był najbardziej ekscytującym człowiekiem, jakiego w życiu

spotkałam. I najbliższym mi. - Teraz Otis ucałował dłoń Marjorie.

Pomyślałam, jak patrzył na mnie Caleb, jak wyczuwałam każdy dzielący nas centymetr. O półokrągłej bliźnie na jego policzku, która marszczyła się, gdy się uśmiechał, i że zawsze patrzył prosto przed siebie, gdy mówił coś ważnego.

- Miałam nadzieję, że jest głupkiem, ale z każdą spędzoną z nim minutą kochałam go coraz bardziej - zakończyła Marjorie.

Arden przełknęła porcję jajecznicy.

- To dlatego nie wyjechaliście, jak wszyscy? - zapytała. - Kiedy Król kazał zjeżdżać do Miasta Piasku, gdzie by was rozdzielili?

Marjorie spojrzała w dół i przesunęła palcem po słoju na drewnie stołu.

- Król nie chce w Mieście ludzi takich jak my. Jesteśmy za starzy, żeby miał z nas pożytek. Co prawda chciał, żebym uczyła w szkołach, a Otis miał zamiatać podłogi w obozach pracy, ale nie, to nie dlatego nie wyjechaliśmy.

- Nie pojechaliśmy, bo to było złe. Nadal jest - wyjaśnił Otis.

- W czasie zarazy, i wkrótce po, wszyscy byli przerażeni. Zanim to się stało, panowała demokracja, prawomocnie powołany rząd. Ale choroba rozprzestrzeniła się tak szybko, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy umarli wszyscy rządzący krajem. Prawo nie miało sensu, nikt nie czytał konstytucji. Informacji nie było, jestem teraz pewna, że celowo. Bardzo długo nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Nie było elektryczności ani telefonów. A potem jeden polityk przedstawił plan odbudowy kraju. Miał rządzić tylko do czasu, aż sytuacja się ustabilizuje, ale potrzebne były jeszcze dwa lata, żeby zaraza się skończyła. Zdążył zdobyć powszechne zaufanie. Ludzie wierzyli, kiedy mówił, że Ameryka powinna

być rządzona jedną ręką. Tak się bali, że szli za nim ślepo. Nie zadawali pytań i było coraz gorzej.

- Może coś się zmieni, jeśli zaczekamy? - Lark oparła brodę na dłoniach. - To nie może trwać wiecznie. Może gdy Miasto Piasku będzie gotowe...

- Czas jest kategorią neutralną - upomniała ją Marjorie i mówiła dalej z pamięci: - Będziemy musieli odpokutować nie tylko za okrutne słowa i złe czyny złych ludzi, ale także za przerażające milczenie ludzi dobrych.

Otis rozparł się na krześle, drewnianą nogę wyciągnął przed siebie.

- Martin Luther King junior.

- Kto to był? - zapytałam i wzięłam ostatni kawałek mięsa.

Otis i Marjorie spojrzeli na siebie.

- Wiele jeszcze musicie się nauczyć - powiedział on.

- Mamy kilka dni - odparłam. W szkole tyle się uczyłam, ale to wszystko wydawało się teraz zupełnie bezużyteczne. Prawdziwa edukacja zaczęła się od Caleba. Czułam, że dopiero zaczynam, a prawdy nie umiem sobie jeszcze nawet wyobrazić.

- Tak - potwierdziła Marjorie. - Mamy. - Przesunęła dłonie po blacie stołu i spojrzała na Otisa. - Może tymczasem włączysz projektor? Założę się, że one nigdy nie widziały prawdziwego filmu.

Otis poszedł do salonu. Na środku stało wielkie pudło oklejone srebrną taśmą.

- Działa na baterie - powiedział, klepiąc urządzenie. - Sam je zaprojektowałem.

Nacisnął kilka guzików i na ścianie nad kominkiem pojawił się biały prostokąt.

- Co to? - zapytała Lark i usiadła na kanapie. Na kolanach położyła sobie koronkową poduszkę. Pokój wypełniła wolna muzyka, a na ścianie wyświetliły się słowa „Uwierz w ducha”.

Bardzo rzadko widywałyśmy fragmenty filmów nakręconych za murem. Gromadziłyśmy się i wpatrywałyśmy w mały ekran trzymany przez nauczycielkę. Na filmach była zgraja psów pożerających jelenia albo wysoka trawa uginająca się pod naciskiem łokci czy kolan członków gangu, którzy nie chcieli zostać zauważeni. Ale to było co innego. Na ekranie pojawiały się ujęcia: młot rozwalający starą chwiejną ścianę, kobieta rzucająca się mężczyźnie w ramiona i całująca go, ludzie idący ulicami wielkiego miasta, tak jak to opisał Otis. Arden i ja stałyśmy i wpatrywałyśmy się w obrazy.

- Możecie usiąść - roześmiała się Marjorie i popchnęła nas w stronę kanapy.

Opadłam na poduszki i po chwili zapomniałam o bożym świecie, bo zatopiłam się w filmowej historii. Zarumieniłam się, gdy Sam oplótł ramionami Molly i wilgotne gliniane naczynie zgmiotło się pod ich dotykiem. Cała się napięłam i szybko oddychałam, gdy zostali zaatakowani na ciemnej ulicy. Na końcu zakryłam usta, żeby się nie rozplakać, gdy się żegnali.

Kiedy ekran pociemniał, Lark ubłagała Otisa, żeby włączył jeszcze jeden film. Ja nie mogłam powiedzieć ani słowa. Film opowiadał o miłości, rozstaniu i śmierci. Myślałam tylko o Calebie.

- Pójdę się położyć - powiedziałam i usiłowałam nie patrzeć na Arden.

- Wszystko dobrze, kochanie? - spytała Marjorie.

- Zostań - poprosiła Lark. - Obejrzymy jeszcze jeden.

Byłam już na schodach do piwnicy.

- Wszystko w porządku, jestem tylko trochę zmęczona. Stres jeszcze ze mnie nie opadł - skłamałam. Arden kiwnęła głową ze zrozumieniem i zesłałam na dół.

- Czasem jej się zdarza - słyszałam ją jeszcze. - Nie ma się czym przejmować.

W ciemnym sekretnym pokoju położyłam się na łóżku i pozwoliłam sobie na łzy. Wkrótce szlochałam głęboko i boleśnie, jak ktoś, komu nie było dane pożegnanie. Miałam tylko to łóżko, drogę do Kalifii i kilka dni, zanim zaczęłam uciekać dalej. Już nigdy nie zobaczę Caleba.

Kiedy Arden i Lark przyszły się położyć kilka godzin później i ustawiły za sobą piramidę puszek, udawałam, że śpię. Arden naciągnęła koc na moje nagie stopy i delikatnie je owinęła.

- Śpij dobrze - szepnęła. Wkrótce usłyszałam ich spokojne, powolne oddechy i zapadły w głęboki sen.

Ja nie spałam, nie mogłam zasnąć. Myślałam o drewnianej półce i o radiu, które na niej stało. Wyobrażałam sobie Caleba tamtej nocy w obozie pracy, kiedy leżąc w łóżku, kręcił gałką tam i z powrotem. Przypomniałam sobie radio, które stało na małym połamanym stolyczku w jego pokoju. Musiał wciąż go słuchać. Skąd wiedziałby, co się dzieje w Mieście? Jak inaczej kontaktowałby się z Mossem?

Wstałam. Nie czułam poprzednich godzin, zmęczenia po podróży z Fletcherem ani łez, które mnie wyczerpały. Przeszawiałam puszki tak cicho, jak się dało, i czułam, że mam szansę.

„Pamiętał o morzu ogromnym, co nocą adamaszkową darło ciasne hełmy obroże dzikie zęby irysów”.

Salon był ciemny. Rozejrzałam się i w końcu znalazłam na kuchennym stole lampę. Zastanawiałam się, czy nie obudzić Marjorie, ale byłoby za dużo do opowiadania. O magazynie

wojskowym, o Leifie i o zdaniu, które sprawiło, że Caleb odjechał do lasu.

Otworzyłam kilka szafek i wśród przypalonych garnków i słoików z jedzeniem szukałam zapisu naszej lokalizacji. Któraś z nauczycielek powiedziała kiedyś, że przed zarazą działał system pocztowy. Ludzie posługiwali się wtedy adresami, chyba tego słowa użyła. Przeszukałam szufladę z narzędziami, w innej były baterie, gumki recepturki i nożyczki. W stoliczku za kanapą znalazłam stare zdjęcia, Marjorie w ciąży i z małą dziewczynką przytuloną do jej nogi. Na innych była dwójka dzieci w wannie pełnej piany. Dziwne, że nie mówili nic o córkach, nigdzie nie było ich fotografii.

Pod kupką zdjęć znalazłam trzy sztywne kartoniki ze zdjęciami. Na jednym był napis „Phuket, Tajlandia”, a woda rozciągała się aż po horyzont. Na odwrocie napisane było: „Cześć mamie i tacie, Thom i ja bawimy się świetnie. Tu są najpiękniejsze plaże na świecie. To raj. Kocham Was, Libby”.

Kartkę wysłano do Sedony w Arizonie.

Ściągnęłam radio z półki i zaczęłam kręcić gałkami tak samo, jak to robiły nauczycielki w szkole, w czasie audycji. Pokój wypełniło niskie buczenie. Trzymałam słuchawkę w ręce i nacisnęłam guzik. Buczenie ustało. Mówiłam powoli, wyraźnie wymawiając każde słowo: „Zyskał nadzieję, ale jedno dziwne źdźbło eksplodowało Victorią emocji”. Powtarzałam to raz za razem, jak gdybym mówiła tak po prostu, że za nim tęsknię, że go potrzebuję, że mi przykro.

Kiedy powtórzyłam to już dziesięciokrotnie i ten rytm wszedł mi w krew, powiedziałam: „Szyk eleganckiej damy osłodzi noc astralną”. To też powtórzyłam. A potem raz jeszcze nacisnęłam guzik. Znow rozległ się szum.

Proszę, powiedz coś, myślałam i wyobrażałam go sobie siedzącego w połamanym fotelu i słuchającego, jak mój głos wypełnia przestrzeń. Powiedz coś.

Ale w uszach brzmiała mi tylko cisza. Czekałam i wpatrywałam się w czarne słuchawki, aż wreszcie odłożyłam je z powrotem na półkę. Może nie słyszał. Może wciąż był zły. Ale to mnie nie zraziło.

Nazajutrz i każdego następnego dnia, dopóki nie wyruszymy dalej, będę wysyłać wiadomości. Mój głos będzie odbijał się echem w norze, a słowa zaczną wpadać jedno na drugie, ułożone w misterny kod, wypowiedane wciąż i wciąż, dopóki w środku nocy do niego nie dotrą.

Rozdział 27

Chcę obejrzeć więcej filmów - powiedziała Lark i wstawiła do zlewu talerze po śniadaniu. Marjorie i Otis siedzieli na końcu stołu i dopijali herbatę, a Arden i ja grałyśmy w karty.

- Nie, już ani jednego filmu więcej - oznajmiła Arden i spojrzała na mnie sponad wachlarzyka kart. Jej zwykle rozczochrane czarne włosy były gładko zaczesane za uszy, a skóra, wyszorowana do czysta, lśniła zdrowiem. - Nie chcemy żadnych romansideł.

Szarpałam się za postrzępione końcówki włosów, ciałem byłam tutaj, a myślami z Calebem. Po przesłaniu wiadomości zeszłej nocy padłam na łóżko i pozwoliłam mojemu ciału zasnąć głęboko. Wkrótce myśli zamieniły się w sny i zobaczyłam go w pokoju, z palcami na pokrętłach radia.

Widziałam, jak odsłuchuje wiadomość.

Lark ruszyła do stołu i wskazała palcem na Arden. Sweter, który miała na sobie, był o trzy rozmiary za duży i zjeżdżał jej ze szczupłych ramion.

- Nie ty tu decydujesz. Może jestem młodsza od ciebie, ale też mam prawo głosu...

- Dobrze, już dobrze - Otis poddał się i uniósł ręce w górę. Roześmiał się i spojrzał szarymi oczami na Marjorie. - Czuję się jak za dawnych czasów.

Przypomniałam sobie zdjęcie z plaży i nabazgraną wiadomość od dziewczyny o imieniu Libby.

- Macie córkę? - zapytałam i złożyłam karty na stole, grzbietami do góry.

- Dwie - odparła Marjorie. Sprzątała ze stołu i zdrapywała właśnie paznokciem kawałek zaschniętego pomidora. - Libby i Anne.

Otis wstał. Odwrócił się do nas plecami i wlał do zlewu wiadro wody.

- Były spełnieniem marzeń każdego rodzica - powiedział.
- Miały dwadzieścia siedem i dwadzieścia trzy lata - dodał, odwracając się ze łzami w oczach.

- Już o tym nie rozmawiamy - dodała Marjorie. Naczynia zabrzączały w zlewie. - Otis chciał tylko powiedzieć, że dobrze was tu mieć, dziewczynki.

Pomyślałam o mojej mamie i o liście, który do mnie napisała. Schowała mi go do kieszeni tego dnia, kiedy przyjechały ciężarówki. To ostatnia rzecz, jaką mi dała. Straciłam go, był z resztą moich rzeczy w norze. Już nigdy go nie odzyskam. Przypomniałam sobie, jak mama leżała obok mnie w łóżku i czytała mi historyjki o gadającym słoniu Babarze. Zawiazywała mi sznurówki, ubierała mnie i czesała. „Kocham cię”, mówiła cicho, zapinając każdy guzik, wygładzając każde zagniecenie na ubraniu. „Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię”.

- My też jesteśmy tu szczęśliwe - rzekłam.

Ale Marjorie patrzyła na coś ponad moim ramieniem. Zmarszczki na jej twarzy wydawały się teraz głębsze i było ich więcej, gdy szła w stronę półki z książkami. Dotknęła najpierw górnej półki, a potem stojącego niżej czarnego metalowego radia.

- Ktoś ruszał radio.

Sposób, w jaki to powiedziała: powoli, cicho, gniewnie, wystraszył mnie. Otis oparł się o barenk i jego spojrzenie spoczęło na Lark.

- Dlaczego pan patrzy na mnie? - zdziwiła się. Odsunęła się i naciągnęła sweter na ramiona. - Nic nie zrobiłam.

- To ja - powiedziałam, choć głos wiązał mi w gardle.

Marjorie przekrzywiła głowę i przyjrzała mi się.

- Co zrobiłaś? - zapytała głośniejszym niż zwykle.

Arden też spojrzała na mnie z wyrazem zdumienia na bladej twarzy. Odłożyła karty.

- Musiałam wysłać do kogoś wiadomość. Ale zaszyfrowaną.

- Jakiego szyfru użyłaś? - zapytała ponagląco Marjorie i podeszła bliżej. Skręcała koniec purpurowego szalika, aż zrobił się z niego sztywny, zbity supeł.

Arden chwyciła mnie za ramię.

- Do Caleba? - zapytała.

- Kto to, do diabła, jest Caleb? - zapytał Otis. Wzdrygnęłam się i zaczęłam oddychać szybciej.

- Nieważne, kto to - powiedziała i złapała mnie mocno za ramiona - ważne, jakiego szyfru użyłaś. Powiedz, który to był?

Marjorie i Arden wpatrywały się we mnie nagląco i wyczekująco. Stałam i opierałam się plecami o ścianę.

- Jest jeden kod.

Marjorie uderzyła dłonią w stół, aż woda wylała się z jej szklanki i pociekła na podłogę.

- Nie. Odkąd pięć lat temu zaczął działać Szlak, pojawiło się trzydzieści kodów.

W pokoju zrobiło się nagle bardzo gorąco. Skórę pokryła mi cienka warstwa potu. Ledwie udało mi się powiedzieć:

- Pamiętał o morzu ogromnym...

- O nie! - krzyknął Otis i uderzył pięścią w blat. - Nie, nie, nie!

Oczy Lark zaszły łzami.

- Co się stało?

- To na pewno jakaś pomyłka - powiedziała szybko Arden. - Może źle to zrobiła, może nikt nie usłyszał. Kto właściwie miałby słuchać?

- Wszyscy! - rzucił Otis. - Wszyscy, oto kto!

Marjorie pocierała ręką czoło. Słońce przeświecało przez zasłony i rzucało różową poświatę na jej skórę. W końcu zwróciła się do Otisa:

- Weź torby. Nie mamy wiele czasu.

- Przepraszam - wydusiłam przez ściśnięte gardło.

Z zewnątrz dobiegł jakiś daleki dźwięk. Wszyscy zamarliśmy. Poprzez chór ptasich treli i wiatru usłyszałam coś dziwnego i przerażającego: nieustający odgłos silnika.

Marjorie podeszła do okna i uchyliła zasłonę.

- Już tu są.

- Kto? - zapytała Lark, nerwowo zagryzając wargę. Otis otworzył szafkę wiszącą nad barkiem i zaczął szukać czegoś za rzędem słoików. W końcu wyciągnął pistolet i schował za paskiem.

- Żołnierze.

Marjorie podbiegła do zlewu, wyciągnęła trzy z pięciu mokrych talerzy i wrzuciła je do szafki. Potem zanurzyła dłonie w spienionej wodzie i grzebała w poszukiwaniu noży i widelców, ale Otis ją odepchnął.

- Nie! - rozkazał. - Po prostu chodź.

Ręce miała mokre aż do łokci, a mydliny przykleiły jej się do skóry.

- Za mną - poleciała w końcu i ruszyła po schodach na dół.

Lark, z policzkami mokrymi od łez, ruszyła za nią.

- Co powiedziałaś? - zapytała Arden. Złapała mnie za rękę, gdy zbiegałyśmy po schodach. - Co powiedziałaś w wiadomości?

Ryk silnika był coraz wyraźniejszy. Na podwórku słyszeć było opony. Otworzyłam usta, ale nie mogłam jej powiedzieć, że szczegółowo powiedziałam, gdzie i kim jestem. Nie potrafiłam wyznać, że w środku nocy wymknęłam się do salonu i naraziłam życie nas wszystkich.

W piwnicy Marjorie otworzyła drewniany kredens.

- Pomóżcie mi - rozkazała i jednym gwałtownym ruchem wygarnęła z półki wszystkie puszkę. Upadły na betonową podłogę.

Arden wyjęła półkę, a Lark i ja wpadliśmy do sekretnego pokoju. Arden weszła zaraz po nas.

- Ani słowa - szepnęła Marjorie i zaczęła ustawiać puszek na półce.

Na górze z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe i rozległy się niskie i szorstkie męskie głosy, domagające się czegoś.

- Szybko - błagała Lark i bębniła palcami w drewnianą półkę. - Proszę, Marjorie, szybko.

Marjorie pochyliła się i postawiła na półce narecze puszek. Pomarszczone ręce poruszały się powoli, zdradzając jej wiek.

- Staram się, jak mogę - zapewniła drżącym głosem. - Staram się. - Otarła ręką twarz. Wtedy zorientowałam się, że płacze. Wąskie strużki spływały jej po twarzy.

Głosy były coraz głośniejsze. Ciężkie kroki na górze spowodowały osypywanie się tynku.

- Tylko moja żona* - powiedział Otis i rozległo się więcej kroków. Marjorie ustawiała już ostatnie puszek, gdy na schodach pojawili się ubrani na brązowo i zielono żołnierze. Arden ścisnęła mnie za rękę i pociągnęła w głąb pokoju.

Drugą rękę przycisnęłam do drżących warg Lark, żeby ją uciszyć. Szklane drzwi spiżarni zamknęły się.

Przez szpary między półkami widziałyśmy fragmenty pokoju. Stałyśmy w cieniu i obserwowałyśmy, jak mężczyźni schodzą po schodach.

W jednej chwili Marjorie wyprostowała się, jej twarz przybrała obojętny wyraz, a ręce swobodnie wisały wzdłuż boków.

- Co mogę dla panów zrobić tym razem? Poruczniku Calverton? - zwróciła się do starszego żołnierza, który miał połamany nos i włosy przetykane siwizną. Stojący obok niego szczupły i blady mężczyzna trzymał rękę na kolbie pistoletu. - Sierzancie Richards? Macie zamiar znowu nas niepokoić?

Zeszli na sam dół. Byli gładko ogoleni, twarze mieli napięte i lśniące.

- Dość tych gier, Marjorie - powiedział Calverton. - Wiemy, że ukrywasz dziewczynę o imieniu Eve. Ona jest własnością Króla.

Arden przycisnęła mnie bliżej. Nogi się pode mną uginały, ale trzymała mnie mocno.

- Nic takiego nie robimy - powiedział Otis. - Kiedy dacie nam spokój? Chcemy po prostu przetrwać, tak jak wszyscy inni.

Richards szedł wśród kartonowych pudeł, otwierał je i zaglądał do środka. Przemierzał piwnicę, otworzył drzwi do schowka pod schodami, obmacał starą kanapę i postukał w ściany za jakimiś starymi urządzeniami.

- Czy naprawdę musimy przez to przechodzić za każdym razem? - zapytała Marjorie i skrzyżowała ramiona na piersi.

Otis pokonał kilka ostatnich schodków. Oparł się o ścianę, a ramię miał przyciśnięte do boku, bo łokciem przytrzymywał pistolet.

- Nic tu nie znajdziecie - sapnął.

- Coś mi mówi, że kłamiesz - syknął Calverton. A potem wskazał drzwi do kredensu. Serce mi waliło, ale ten nieustający rytm przypominał mi, że wciąż żyję. Arden popchnęła mnie za piętrowe łóżka, a potem pociągnęła za sobą Lark. Przytuliłyśmy się do siebie i starałyśmy się uspokoić i wyciszyć oddechy, kiedy młodszy żołnierz otwierał drzwi.

Spomiędzy prętów łóżka widziałam jego nogi. Słyszałam dzwoniące o siebie puszki na górnej półce. Przeniósł się na dolną półkę i przesuwiał ręce po drewnie. Potem poruszyły się puszki zakrywające przejście. Lark pisnęła, gdy kryjówkę zalało światło. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że żołnierz patrzy na mnie.

- Proszę pana - powiedział i odsunął więcej puszek. - Tu jest więcej macior.

Otis wyciągnął broń i strzelił Richardsowi w bok. Żołnierz upadł i pociągnął na siebie półkę. Złapał się za ramię, gdzie utknął pocisk.

Kiedy Otis odwrócił się do Calvertona, Marjorie krzyknęła do nas:

- Uciekajcie! - Wskazała na tunel, który ginął w ciemności. - Szybko!

Calverton przycisnął Otisa do ściany i zabrał mu broń. Wygładził mundur w miejscu, gdzie złapał go Otis, a potem opuścił pistolet.

- Nie! Stój! - krzyknęła Marjorie. Wyciągnęła ręce i starała się wdrzeć w dzielącą ich przestrzeń. To się stało bardzo szybko. Jeden strzał, potem drugi, obydwa w pierś Otisa. Był martw, zanim jeszcze upadł na ziemię.

Lark pomknęła do tunelu, a za nią Arden, ciągnąc mnie za sobą. Ale nogi miałam jak z ołowiu, zalewał mnie smutek. Z odwróconą głową patrzyłam, jak Marjorie mocno pchnęła żołnierza w bok. Uniósł broń i uderzył ją w policzek. Upadła na Otisa i przytuliła go, a żołnierz ponownie opuścił pistolet i oddał jeszcze jeden strzał.

Rozdział 28

Arden ciągnęła mnie za rękę, ale ja stałam jak wmurowana i nie mogłam oderwać wzroku od tej sceny, jak gdyby była wyświetlana na ścianie nad kominkiem. Richards mrużył z bólu oczy, a na błądy policzek trysnęła mu krew. Marjorie osunęła się, a jej biały warkocz robił się coraz bardziej czerwony.

Calverton ruszył w naszą stronę, ale ja nie mogłam się ruszyć. Po chwili Arden pociągnęła mnie na tyle mocno, że drżąc, ruszyłam za nią.

Biegłyśmy przez tunel, a nasze stopy wybijały rytm, w którym sunęłyśmy w ciemności. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Marjorie i Otis zostali zabici. Nie żyli. Z mojej winy. Im więcej razy powtarzałam sobie te fakty, tym bardziej były absurdalne.

Kiedy w końcu dotarliśmy na koniec tunelu, wpadłyśmy na schody. Przez długą szparę w suficie sączyła się do środka smuga światła. Lark natarła na drzwi, ale ani drgnęły.

- Są zablokowane! - krzyknęła i zabębniła w nie pięściami.

W końcu drzwi drgnęły o milimetr i zobaczyłyśmy, że przywaliała je gruba gałąź, która uniemożliwia otwarcie.

Za naszymi plecami rozległ się dźwięk uderzających o siebie puszek, gdy żołnierze przedzierali się przez szafkę z zapasami. Lark cofnęła się i przepuściła nas do drzwi. Żołnierze byli tuż za rogiem, gdy rozległ się wystrzał.

- Nie strzelaj, musimy ją mieć żywą! - krzyknął Calverton.

- Mocniej! - wołała Arden i przyciskała dłonie do drzwi.

- Stójcie! Na rozkaz Króla Nowej Ameryki! - W tunelu zabrzmiał głos Richardsa.

Arden i ja ponownie zaszarżowałyśmy na drzwi i uderzyłyśmy w nie tak mocno, że zabolowały nas ręce. Na

szczęście gałąź pękła i spadła na nas, gdy drzwi stanęły otworem i zalały wnętrze światłem poranka.

Arden wyskoczyła na zewnątrz. Ja przystanąłam na schodach i szybko się odwróciłam, żeby pomóc Lark. Ale ona osunęła się na ziemię u podnóża schodów. Krew spływała jej z włosów i zbierała się wokół czaszki w kałuży purpurowej czerwieni.

- Lark! - Zbiegłam na dół i podniosłam ją. Czułam, że stoję w ciepłej kałuży. Wystrzelona kula utkwiała z tyłu jej szyi. - Lark!

- Musimy iść - powiedziała z góry Arden. Wskazała w kierunku lasu. - Nie chcę, ale...

Zanim skończyła mówić, zza rogu wypadli żołnierze z uniesionymi pistoletami. Richards miał rękę prowizorycznie zabandażowaną purpurowym szalikiem Marjorie.

Z wściekłością pobiegłam do Arden i zatrzasnęłam za sobą metalowe drzwi, a za nimi ciało Lark. Słońce było nieznośne, oświetlało wypaloną trawę i rzucało cienie pod spalone drzewa. Tu i ówdzie leżały rozrzucone ogromne czerwone skały, przez które nie można było się przedrzeć. Krzaki były niskie, piasek gorący, a następny dom był tylko małym punkcikiem na horyzoncie. Nawet na zewnątrz nie było się gdzie schować.

Drzwi za nami otwały się. Calverton biegł naprzód przez trawę i przeładowywał pistolet.

- Chodźmy - powiedziałam i skręciłam w prawo, z dala od wypalonego lasu, przez który przedzierałyśmy się, uciekając przed Fletcherem. Przebiegałyśmy między drzewami, a gęste zarośla drapały mi łydki. Daleko za domem Marjorie, ponad wydmami i linią drzew, widoczna była dziurawa droga.

W drzewo przed Arden trafił pocisk.

- Zabiją mnie! - krzyknęła i wskoczyła na spróchniałą gałąź.

Wciąż biegłam i na chwilę żołnierze zniknęli za wysoką trawą.

- Tutaj. - Wskazałam zarośnięty trawą dom. Przez powyginaną furtkę wbiegłyśmy na jego tyły.

Pośrodku ogródka był pusty basen, na którego dnie leżał szkielet psa. Wokół domu biegł zrujnowany taras, na którym poniewierały się poprzewracane krzesła. W rogu stała drewniana budka, z której całymi płatami odchodziła biała farba, a otaczało to wszystko ponad dwumetrowe pożółkłe ogrodzenie.

Arden podbiegła i kopnęła w nie. Nie ustąpiło. Za bramą słyszałyśmy coraz bliżej kroki żołnierzy. Arden kopnęła jeszcze raz, przekręciwszy stopę, włożyła w to całą siłę. Z wysiłku zaczęły jej łzawić oczy.

- Nie, to się nie może tak skończyć! Nie!

Z drugiej strony budynku nie było innego wejścia ani wyjścia. W ścianach nie było wyłomów, nie miałybyśmy się po czym wspierać. To była jedyna droga.

- Jesteśmy w pułapce. - Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, zatrzęsły mi się ręce.

Arden pociągnęła mnie za drewnianą budę. Ukucnęłyśmy, jej ręka ślizgała się w mojej i wyglądałyśmy przez stłuczoną szybę okienną. Żołnierze weszli do ogrodu, pistolety mieli opuszczone i okrążali basen. Calverton uniósł palec do ust, jak gdyby mówił „Cśśś”.

- Przepraszam - prawie niesłyszalnie szepnęłam Arden do ucha. Wysłałam wiadomość, sprowadziłam żołnierzy do domu Marjorie. A teraz przywiodłam nas do miejsca stracenia. Wybrałam złą drogę.

Richards wyciągnął zza paska latarkę i zajrzał pod zawalony taras. Wzrok Arden spoczął na przewróconych

krzesłach, rzuconych jedno na drugie przy tylnych drzwiach domu. Wskazała na nie.

- Użyj jednego z nich. Uciekniesz tyłem.

Przez stłuczone szkło patrzyłam na Calvertona. Był z drugiej strony budki, przy starym kojcu dla psa.

- A ty? - zapytałam, choć znałam odpowiedź. Usiłowała się uśmiechnąć, ale twarz miała napiętą.

- Ja odwrócę ich uwagę. Nie martw się, spotkamy się w Kalifii - powiedziała. - Znajdę drogę.

- Nie - zaprzeczyłam i otarłam oczy. Chciałam jej wierzyć, ale wiedziałam, jak mało prawdopodobne jest, że damy sobie radę na własną rękę. - Nie wolno ci. Wolę, żeby mnie zabrali do Miasta, już mi wszystko jedno, tylko nie...

- Zrobiłabyś to samo dla mnie - przerwała mi. - Już to zrobiłaś.

Nie czekała na moją odpowiedź. Wysunęła dłoń z mojego uścisku i pomknęła przez ogród. Richards oderwał się od lustrowania tarasu i ruszył za nią, a Calverton biegł tuż za nimi. Nie zwalniali i zobaczyłam, jak znikają za furtką.

Wystrzały przerwały ciszę. Czekałam w przerażeniu na krzyk Arden. Ale słyszałam tylko oddalające się głosy żołnierzy i ich ciężkie kroki na suchej ziemi.

Podbiegłam do ogrodzenia i przystawiłam do niego krzesło, tak jak radziła Arden. Wyobrażałam sobie, że tu jest, trzyma rękę na moim ramieniu i prowadzi mnie. Pobiegnęłam w przeciwnym kierunku i wyobraziłam sobie, że błysk jej niebieskiego swetra zamigocze wśród drzew. Czasem widziałam, jak się do mnie odwraca z zaczerwienionymi policzkami albo kiwa głową, sygnalizując w ten sposób zmianę kierunku. Nie przestawałam biec, za plecami miałam czerwone skały wbijające się w niebo. Tak było, dopóki nie poczułam, że powietrze jest chłodniejsze i robi się ciemno.

Zatrzymałam się i zdałam sobie sprawę, że jestem zupełnie sama.

Rozdział 29

Czas płynął. Minęły dwa dni, może trzy. Nie miałam motywacji do liczenia.

Leżałam w brązowej stalowej wannie w jakimś opuszczonym domu i ścisnęłam w garści tępy nóż. Stopy miałam białe i skrwawione. Pokonałam taki kawał drogi, że popękały mi sznurówki i gdzieś w trasie straciłam buty.

Przebywając między jawą a snem, wyobrażałam sobie piwnicę i wykrzywione, złączone ciała Marjorie i Otisa. Lark z twarzą przyciśniętą do zimnej cementowej podłogi. Zapach prochu i krwi. Calvertona zatrzymującego się, żeby zetrzeć z butów zabrudzenie. Palce Arden wbijające się w panice w moje ramię. Szare i bezduszne oczy Richardsa.

Powinnam była powiedzieć zaraz po przebudzeniu. Najważniejsze było wyznanie, że użyłam radia. Zamiast tego bujałam w obłokach głupiej fantazji o Calebie i jego pokoju.

Zastanawiałam się, czy mam w sobie jakąś skazę. Zostawiłam Pip. Zostawiłam Pip, Ruby, Marjorie, Otisa i Lark, posuwając się wciąż naprzód i poświęcając po drodze ich życie. Nie chciałam więcej patrzeć na zabite deskami okna, poszarpane czerwone flagi z wypisanym na czarno słowem „zaraza”. Na dzieci, które były za małe, żeby stracić matki. Nie chciałam już słyszeć poszarzałych kości chrupiących pod szczotką ani czuć rozszalałego strachu, który rozgościł się wśród moich żeber.

Nie chciało mi się jeść ani ruszać. Od kilku dni nic nie piłam. Nogi miałam skatowane i bolały mnie plecy. Kiedy słońce zniżyło się pod poziom parapetu, wyrzuciłam nóż, bo wiedziałam, że jeśli zostanę w tej wannie, koniec dopadnie mnie szybciej niż żołnierze.

Dzienne ciepło rozmyło się. Mijały kolejne godziny. W przeblaskach świadomości byłam z Arden za drewnianą budą. Miałam wizję jej twarzy w jasnym świetle, mówiącej:

„Zrobiłabyś to samo dla mnie”. To wspomnienie przyciągnęło kolejne, o mojej mamie stojącej w drzwiach i obserwującej, jak pakują mnie do ciężarówki. Widziałam talerz jajeczniczy, który postawiła przede mną Marjorie, czułam gest, jakim Arden okryła mi palce stóp kocem, i pomarszczoną dłoń Otisa na mojej dłoni.

Skuliłam się targana wstydem. W szkole i poza nią wierzyłam, że miłość to obciążenie, które może obrócić się przeciwko mnie. Zaczęłam łkać, bo znałam już prawdę: miłość była przeciwnikiem śmierci, jedyną siłą na tyle potężną, by walczyć z jej potwornym, nieuniknionym uściskiem.

Nie zostanę tu. Nie poddam się. Choćby tylko dla Arden, dla Marjorie i Otisa, dla mojej mamy. „Kocham cię, kocham cię, kocham was”.

Z wysiłkiem wydostałam się z wanny. Byłam słaba. Dom pogrążony był w mroku. Zraniłam się w stopę pękniętą płytką. Pokruszona posadzka groziła większą liczbą odłamków. Na przodzie mojego szarego swetra zaschła żółć. Nie obchodziło mnie to. Przeszukałam wszystkie pokoje, poruszając się z powolną determinacją. Pod lodówką znalazłam zamkniętą puszkę, przeszukałam wszystkie kredensy i szuflady. Przeczesałam półki z książkami, dopóki nie znalazłam tego, czego szukałam.

Taki sam atlas, jaki pokazała nam pani Florence w jedenastej klasie. Skraj okładki pokryty był skórą. Przeglądałam go, wpatrując się w nic mi niemówiące niebieskie połączenia. Widziałam mapy dziwnych miejsc o takich nazwach jak Tonga, Afganistan czy El Salvador. Nigdy nie wiedziałam o tylu częściach świata! Zastanawiałam się, jak wyglądają te miejsca, czy były to rozległe równiny, lądy oznaczone pasmami górskimi, czy tropikalne raje? Czy wszystkie ucierpiały w zarazie tak bardzo, jak my?

Strona za stroną i nie rozpoznałam ani fragmentu. Na tej samej półce, obok, stał drugi atlas, cieńszy. Na jednej z jego poznaczonych krzyżującymi się liniami map znalazłam w końcu jedną oznaczoną liczbą 80. Przesunęłam po niej palcem przez całą stronę, dopóki nie wpadła do niebieskiej plamy. Do oceanu.

Pierwszy raz od kilku dni wśród paniki, którą byłam ogarnięta, pojawiło się przeczucie szansy. Studiowałam mapę, wyrywałam strony, na których widziałam Sedonę, Arizone, zielone tereny wokół osiemdziesiątki i miejsca o nazwach takich jak Los Angeles i San Francisco. Ułożyłam je obok siebie na podłodze i zlokalizowałam wielkie jezioro, nad którym mieszkał Caleb - Tahoe.

Jutro rano zrobię zapasy i wyruszę na północ, w stronę Kalifornii. Nie mogę spędzić w tym domu kolejnego dnia, czekając na śmierć. Nawet gdyby wojsko miało mnie znaleźć, nawet gdybym miała paść na pustyni, w cieniu tych wielkich skał, musiałam się ruszać. A przynajmniej spróbować.

Rozdział 30

Wyruszyłam wcześniej, jeszcze zanim obudziły się ptaki. Znalazłam zardzewiałą puszkę groszku i zjadłam połowę na obiad i połowę na śniadanie, popijając płynem z puszki. Chodziłam od domu do domu w najbliższym sąsiedztwie i znalazłam jeszcze dwie puszki bez etykiet i słoik dżemu. To niewiele, ale na kilka dni starczy, dopóki nie znajdę bezpiecznego miejsca na odpoczynek.

Kiedy skierowałam się na północ, poranek był zimny. Szłam przez niskie zarośla rosnące przy drodze. Owinęłam się swetrem, wdzięczna temu, kto mieszkał w tym domu. Znalazłam kilka zmian ubrań i parę sportowych butów w rozmiarze 41, z napisem „Nike” na boku. Mapa prowadziła mnie przez pustynię zaznaczoną kolorem złoto - brązowym. Szłam tak szybko, jak mogłam, ale nogi miałam wciąż słabe i co kilka godzin zatrzymywałam się i oblizywałam palec zanurzony w słoiku z dżemem. Słodycz była paliwem.

Tuż przed zmrokiem dotarłam do skrzyżowania. Duży parking był zastawiony zardzewiałymi samochodami, a kawałek dalej stał ceglany budynek z powybijanymi szybami i czerwonym napisem „Bank Ameryki”.

Szłam właśnie wzdłuż splądrowanego supermarketu, kiedy usłyszałam dziwny dźwięk. Moje ciało rozpoznało go, zanim zadziałała pamięć: silnik samochodu. Wpadłam przez wyważone frontowe drzwi do banku i podbiegłam do biurek stojących pod oknem. Wczołgałam się pod nie i czekałam.

Samochód powoli jechał wzdłuż ulicy. Z mojej kryjówki słyszałam znajomy ryk i miażdżone pod kołami śmieci. Ręce zatrzęśły mi się, gdy samochód się zatrzymał i zamilkł na chwilę, jak gdyby brał długi i złowrogi wdech. Potem ruszył dalej.

Kiedy odgłos w końcu ucichł i usiadłam przy biurku, wiedziałam, co się dzieje. Żołnierze dalej mnie szukali. Musiałam ruszać.

Idąc do drzwi, nastąpiłam na plik zielonych kartek rozsianych po podłodze, pokrytych piaskiem i kurzem. Wzięłam jedną, na której widniała liczba 100 i poważna twarz starszego mężczyzny. Zdałam sobie sprawę, że to stare pieniądze. Zmiałam banknot i rzuciłam z powrotem na zakurzoną podłogę.

Szłam szybko tyłami sklepów i budynków. Kontenery na śmieci były pełne kości. Biegłam i biegłam, aż oddaliłam się od połamanych sygnalizatorów światła i poprzewracanych samochodów leżących na poboczach. Za granicami opustoszałego miasta była pustynia.

Przede mną rozciągała się łysa równina, niskie krzaki rosły tylko wzdłuż drogi, ledwo wystarczyłyby, żeby się wśród nich schować. Rozebrałam się aż do mojego pożółkłego podkoszulka, żeby choć trochę wtopić się w suchy, spękany krajobraz. Zerknęłam po raz ostatni na mapę i ruszyłam na ukos, w kierunku majaczących na horyzoncie domów. Czerwone skały wyciągały się do nieba, a co jakiś czas ocierały się o nie chmury. Nie widać było śladu dżipa.

- Te domy nie mogą być daleko - przekonywałam się. - Po prostu idź. Nie odwracaj się.

Słońce wyjrzało zza horyzontu i zaczęło ogrzewać mi skórę. Chciałam wyobrazić sobie Arden albo Pip, wzbijające chmury piasku, kiedy śpiewały do siebie, ale nie pojawił się duch żadnej z nich.

Zjadłam kolejną porcję dżemu, a gorzkie nasionka malin rozpryskiwały mi między zębami. Dodały mi sił, plecak wydawał się lżejszy i szłam szybciej w kierunku domów, które mogły zapewnić mi bezpieczne schronienie. Wkrótce

okna, drzwi, placky zabaw w ogródkach stały się wyraźniejsze.

A potem znów usłyszałam silnik. Musiał zatrzymać się na drodze za mną i czekał. Ruszyłam biegiem, pomagałam sobie ramionami, jak mogłam. Przebiegłam przez popękany chodnik do gęstszych zarośli.

Samochód przyspieszył. Słyszałam go coraz bliżej. Pompowałam ramionami coraz szybciej, gumowe podeszwy uderzały o chodnik, ale bezskutecznie. Samochód zwolnił, otwały się drzwi i usłyszałam kroki. Nogi paliły mnie od wysiłku. Byłam coraz wolniejsza, ale nie ustawałam. Nie chciałam zostać schwytana w ten sposób, na środku pustyni.

- Stój! Stój!

Po policzkach pociekły mi łzy i rozpuściły cienką warstewkę kurzu pokrywającego moją skórę.

- Eve! - zawołał znowu mężczyzna, ale się nie odwróciłam. A potem złapał mnie za ramię i pociągnął w gęste krzaki. Nie wrywałam się. Nogi mi osłabły, gdy ten ktoś brutalnie odwrócił mnie na plecy. - Eve - powiedział znowu, tym razem spokojniej. - To ja.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam twarz, którą wyobrażałam sobie tyle razy. Caleb uśmiechnął się, a jego włosy połaskotały mnie w czoło. Dotknęłam jego policzków i zastanawiałam się, czy to nie fatamorgana. Czułam pod palcami żywe ciało. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać.

Przytuliłam go. Nasze ciała zjednoczyły się, obejmowaliśmy się coraz mocniej i mocniej, aż w końcu nie było między nami nic, nawet powietrza.

- Usłyszałeś moją wiadomość? - spytałam w końcu. Caleb skinął głową.

- Chciałem odpowiedzieć, ale nie mogłem. Wiedziałem, że żołnierze tego słuchają i są już w drodze. To był szyfr...

- Wiem - powiedziałam i otarłam oczy. - Zły szyfr.

- Musimy jechać. - Caleb pomógł mi wstać. Czerwony zardzewiały samochód stał na drodze. - Wciąż cię szukają. - Ruszyliśmy w stronę auta, kanciastej maszyny z napisem „Volvo” na masce. Z rozciętego fotela pasażera wyłaziła sztywna żółta gąbka.

Caleb wcisnął pedał pod kierownicą, a ja wyciągnęłam się na siedzeniu. Ból w nogach mijał. Za nami pojawiła się chmura pyłu i świat zniknął w oparach pomarańczowego dymu.

Rozdział 31

Powietrze wpadało przez okno, owiewało skórę i targało włosy. Złoty kurz pokrył twarz Caleba, brązowe dredy i delikatną skórę za uszami.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytałam. Wjechaliśmy w płytką dziurę w nawierzchni i samochód zakołysał się na boki.

- W Sedonie jest tylko jeden przystanek Szlaku.

- Więc byłeś w domu. Zszedłeś do piwnicy? - Wbiłam palce w podartą tapicerkę. Na tylnym siedzeniu było pełno ubrań, zardzewiałych puszek bez etykiet i dwa brudne plecaki.

Caleb skinął głową i patrzył na mnie przez chwilę.

Ścisnęło mnie w gardle. Widziałam żołnierza opuszczającego broń, widziałam, jak bierze cel. Ale i tak spytałam:

- Czy Marjorie...

- Zabrali ich, wszystkich troje. - Położył mi rękę na ramieniu. Podkoszulek miał poprzecierany na szwach i spod materiału przebłyskiwało spalone słońcem ramię. - Od klapy w ziemi prowadziła smuga krwi. Szedłem jej tropem aż do lasu, ale zgubiłem ślad i byłem pewien, że - zamilkł na moment i poprawił pas - cię zabrali. Już miałam wracać, kiedy zobaczyłem coś na ziemi. Damski but. Drugi znalazłem sto metrów dalej i szedłem w tym kierunku, przeszukując pobocza.

- Widziałeś Arden? - Przycisnęłam ręce do piersi, żeby uspokoić serce. - Uratowała mnie. Odwróciła uwagę żołnierzy.

Caleb potarł palcem kierownicę, jakby ścierał jakąś - niewidoczną plamkę. Potem przestał i pokręcił głową:

- Nie widziałem. Otarłam oczy.

- Powiedziała, że spotkamy się w Kalifii, ale jest teraz sama i... - Załamalam się, kiedy wyobraziłam sobie ją samą gdzieś w lasach, z jasną skórą pokrytą pęcherzami od słońca,

wciąż całe kilometry od drogi. Albo, jeszcze gorzej, Arden na tylnym siedzeniu dżipa, pojmaną przez wojsko i odwożoną do szkoły.

Caleb ścisnął moją rękę.

- Jest twarda. Jeśli pozostanie w ukryciu, nic jej się nie stanie. - Wjechaliśmy do opuszczonego miasta i słońce zostawiliśmy za górami. Droga była nierówna, a od podskoków auta pobrzękiwały pozieleniałe monety leżące pod przednią szybą. Poobijany i odbarwiony samochód jechał wciąż naprzód i czułam się bezpieczniejsza z każdym kilometrem, który przybliżał nas do Kalifii.

- Jeśli chodzi o Leifa... - zaczęłam. Caleb rozłożył na kierownicy mapę, której brzegi przytrzymał palcami. Jechaliśmy obok starych sklepów i kęp wysuszonych krzewów. - Ja nie...

- Wiem - przerwał mi szybko Caleb. - Nie tłumacz. - Odłożył mapę i spojrzał mi w oczy. Usta miał zaczerwienione od słońca.

- Nie wiedziałam, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę. - Głos mi się załamał, kiedy to powiedziałam. - Niepotrzebnie...

- Żałuję, że uciekłem - powiedziała Caleb głośniejsz niż przedtem. Zwolnił i odwrócił się do mnie. W zielonych oczach miał łzy. Starł z brwi pył. - Tyle razy myślałem o tym dniu. Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym tam był, kiedy pojawił się ten bydlak i wrzucał was do tej ciężarówki.

- Gdzie byłeś? - Podwinęłam nogi pod siebie. - Co się z tobą działo?

Caleb pocierał skronie.

- Pojechałem w góry. Zamierzałem jeździć, aż rozjaśni mi się w myślach. Kiedy wróciłem, chłopcy byli załamani. Benny... - Caleb znów przyspieszył i wymijał dziury pełne suchych liści. - Benny był w najgorszym stanie.

- Gdzie są teraz? - Zobaczyłam przed oczami uśmiech Benny'ego, kiedy udało mu się prawidłowo przeczytać jakieś słowo, Silasa na środku ich pokoju, ubranego w tutu i kowbojski kapelusz.

- Wciąż w tym samym miejscu. Z Leifem.... - Położył dłoń z powrotem na kierownicy. Spod kół wystrzeliwały kamienie i gałązki. Dotarło do mnie znaczenie tych słów. Zostawił dom, życie, przyjaciół... Dla mnie.

Po krótkiej chwili mówił dalej:

- Pojadę z tobą do Kalifii. - Odwrócił się. - Dostaniemy się tam.

W tej liczbie mnogiej, w tym „my”, było coś kojącego. Nie było już jego ani mnie. Byliśmy my.

Teraz życie we dwójkę wydawało mi się możliwe. Życie w Kalifii, za czerwonym mostem, w górach nad oceanem. Przyjmą nas do społeczności sierot, które uciekły. Mogłabym uczyć, a Caleb polowałby i wysyłał wiadomości do chłopców z obozów pracy. A gdy tylko moglibyśmy wyruszyć w podróż, wrócilibyśmy do szkoły. Po Ruby i Pip. Tak jak obiecałam.

Popatrzyłam na dłoń Caleba i dotknęłam jej. Widok naszych złączonych palców mnie uspokoił. Słońce padało na mój policzek, ramię i gołe nogi.

Kiedy spojrzałam z powrotem na szosę, wbiłam stopy w podłogę. Złapałam się bocznych drzwi.

- Caleb, stój! - krzyknęłam. Zahamował i uderzyłam w deskę rozdzielczą. Samochód się zatrzymał.

- Nic ci nie jest? - zapytał Caleb.

Pokręciłam głową i usiadłam z powrotem na siedzeniu. Masowałam miejsce, gdzie uderzyłam ramieniem w twardy plastik.

- Co teraz? - wskazałam przed siebie.

Przed nami, na drodze, stał widoczny w ostatnich promieniach słońca van. Opony miał sflaczałe, a okna wybite.

Przed nim stał następny samochód, a przed nim jeszcze jeden; cały sznur samochodów ciągnął się wiele kilometrów przed nami. Ich przerdzewiałe zderzaki prawie się dotykały. Droga była nieprzejezdna.

Caleb wziął mapę i spojrzał na cienką niebieską linię, która miała nas wyprowadzić z Arizony.

- To była najlepsza trasa.

Wyjrzałam przez brudną szybę za zakręt drogi. Przed nami, jakieś sto metrów dalej, leżała kupka wyblakłych na słońcu kości.

- Którędy jechał Fletcher? - zapytał Caleb.

- Nie wiem - odparłam. - Było ciemno. Czasem jechał przez błoto.

Wysiedliśmy i staliśmy na drodze. Patrzyliśmy na sznur samochodów. Chcieli uciec. Ilekroć ktoś mówił o zarazie, zawsze padało to słowo: chaos.

Caleb podszedł do bagażnika i otworzył go. Wyciągnął puszki z jedzeniem, długi worek z metalowymi rurkami i jakąś tkaniną. Potem zamknął drzwi.

- Zostaniemy tu na noc - zdecydował i otworzył jedną z puszek nożem. - Żołnierze tu nie przyjadą, wiedzą, że droga jest zablokowana. Jutro zawrócimy i pojedziemy trasą, którą tu dotarłem, przez góry.

Słońce prawie zaszło, a na niebie pojawiły się białe gwiazdy. Gdybyśmy jechali dalej, żołnierze bez problemu wypatrzyliby nasze reflektory. Nie mieliśmy wyjścia.

Caleb rozstawił plandekę niedaleko chodnika, w miejscu osłoniętym przez zwiędłe brązowe krzaki. Patrzyłam, jak powoli wbija śledzie w ziemię. Zanim namiot był rozstawiony, niebo zdążyło poszarzeć, a księżyc oświetlał nam skórę chłodnym blaskiem.

- Panie przodem. - Ukłonił się i wskazał mi wejście pod ciemnozieloną płachtę.

Wewnątrz było miejsce dla nas dwojga. Caleb wszedł za mną i otarł się o moje ramię miękką tkaniną podkoszulka. Po tylu dniach rozłąki ta niespodziewana bliskość sprawiła, że się zdenerwowałam.

- No cóż - powiedziałam głośno, a każdy centymetr mojego ciała przebudził się. - Chyba powinniśmy pójść spać. - Wzięłam postrzępiony szary koc i rozłożyłam na kolanach.

- Chyba tak - roześmiał się Caleb. Mimo mroku widziałam jego uśmiech w świetle wpadającym przez cienką materię. - Ale najpierw chciałbym ci coś dać.

Wyciągnął z kieszeni mały jedwabny woreczek, tak brudny, że wyglądał jak śmieć. Ale ja od razu wiedziałam, co jest w środku.

- Zostawiłaś to w swoim pokoju, w norze - wyjaśnił i podał mi. - Pomyślałem, że to może być ważne.

Włożyłam palce do woreczka i poczułam kształt małego plastikowego ptaszka, zepsutą bransoletkę i wreszcie podarte krawędzie listu od mamy.

- Dziękuję - powiedziałam, a do oczu napłynęły mi łzy. Nawet nie wiedział, jakie to było dla mnie ważne. - Nie wiem, jak ci...

- Cśś. To nic takiego.

Wziął mnie za rękę i położył się. Jedno ramię wyciągnął tak, że mogłam na nim wygodnie położyć głowę. Przytulił mnie do siebie, czułam jego ciepło, a zarost na policzku lekko drapał mnie w czoło.

- Dobranoc, Eve.

- Dobranoc, Caleb.

Słuchałam, jak oddycha coraz wolniej, trzymałam dłoń na jego sercu, czułam pulsowanie krwi w palcach, w nogach, w sercu. Po wszystkich tych dniach zastanawiania się, wyobrażania i pragnienia, był obok mnie. Zanim odpłynęłam w sen, w mojej głowie pojawiły się trzy myśli.

Jadę do Kalifii.
Jestem z Calebem.
Jestem szczęśliwa.

Rozdział 32

Im dalej na północ jechaliśmy, tym powietrze było zimniejsze. Powiedziałam Calebowi o ciężarówce, o Fletcherze, o spotkaniu z Lark, o filmach, które Otis wyświetlał na ścianie. Opowiedziałam o śniadaniach Marjorie, o jajkach i mięsie dzika oraz o tym, jak chowałyśmy się w sekretnym pokoju, gdy żołnierze przeszukiwali dom. Opowiedziałam mu, co widziałam. O pocisku eksplodującym w piersi Otisa, o Marjorie uderzonej w twarz, o purpurowoczerwonej plamie krwi, która została mi na nodze po postrzale Lark.

- Nie mogę przestać o tym myśleć. Caleb zacisnął usta w zamyśleniu.

- Czasem, w nocy, budzę się przerażony. Wydaje mi się, że jestem z powrotem w obozie pracy i dźwigam na plecach betonowe bloki. Albo że na pryczy obok mnie leży chłopak, z ust wypływa mu krew i ślina. Ale potem zdaję sobie sprawę, że to tylko sen i że mam szczęście.

- Szczęście?

- Mam szczęście, bo mogę się obudzić. - Caleb odwrócił się do mnie. - Że teraz to już tylko koszmar. A kiedyś to było moje życie.

Samochód zaczął wjeżdżać pod górę, a silnik ryczał głośno z wysiłku. Wśród nas wyrastały góry Sierra Nevada. Patrzyłam przez okno na strome zielone zbocza i znów myślałam o mojej mamie, o piosenkach, które śpiewała mi, gdy kąpałam się w naszej wannie na lwich nogach i o tym, że robiła z palców pajaka.

- Pamiętasz swoją rodzinę? - spytałam nagle. Caleb mówił, że trafił do obozu pracy w wieku siedmiu lat, ale nic nie wiedziałam o jego wcześniejszym życiu. Czy tak jak ja jeździł na rowerze? Czy dzielił pokój z braćmi? Znał swoich rodziców?

- Myślę o nich codziennie. - Samochód zrywami wjeżdżał pod górę, spowalniany przez gęste krzaki rosnące na betonie. - Przypominam sobie czasy sprzed zarazy, gdy w ogrodzie grałem w podchody z moim bratem i jego kolegami. Był ode mnie pięć lat starszy, ale brał mnie do swojej drużyny, choć czasem musiał mi pomagać, żebym nie został schwytany. - Caleb uśmiechnął się, ale zaraz spochmurniał.

- Gdzie mieszkaliście? - Odwróciłam się do niego i usiadłam wygodniej.

Caleb zmrużył oczy.

- W miejscu o nazwie Oregon. Tam było zimno i padało. Zawsze musieliśmy nosić kurtki. Wszystko było zielone. - Samochód wpadł do dziury i zazgrzytał.

Po chwili ruszyliśmy dalej, miażdżąc kołami rośliny. - A ty? Miałaś rodzeństwo?

- Mieszkałam tylko z mamą. - Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam przepaść, zaledwie metr od samochodu i pogłębiającą się, im wyżej wjeżdżaliśmy. Pamiętałam oddech mamy w uszach i jej palce łaskoczące mnie pod pachami. - W urodziny budziła mnie na śniadanie i śpiewała: „Dzisiaj jest szczególny dzień, bo ktoś ma urodziny”. - Zarumieniłam się, gdy zaśpiewałam drżącym cienkim głosem.

- Kiedy masz urodziny? - Caleb do rytmu zabębnił palcami w kierownicę. - Zaśpiewam ci to samo.

- Nie wiem. W szkole nie obchodziłyśmy urodzin. - Wszystkie dni były takie same, jeden za drugim. Czasem, gdy jadłam szarlotkę, wyobrażałam sobie, że wetknięta jest w nią świeczka, jak w torty, które widywałam w książkach w bibliotece. - A poza tym czy ktoś w ogóle wie, jaki jest dzień?

Caleb nacisnął pedał gazu.

- Ja wiem.

- Serio? - uśmiechnęłam się do niego z niedowierzaniem. Przeczesałam włosy palcami. - Więc który dzisiaj?

- Pierwszy czerwca! - powiedział. - Zaczyna się nowy miesiąc. - Postukał palcami w kierownicę. - Zastanówmy się, kiedy możesz mieć urodziny... Jesteś zbyt kłótniwa, żeby być Strzelcem...

- Nie jestem kłótniwa! - krzyknęłam. - I co to jest strzelec? Caleb się uśmiechnął.

- Wrażliwa. Hm. Może jesteś Rakiem. Czyli jakoś w lipcu.

- Dlaczego uważasz, że jestem wrażliwa? O czym ty w ogóle mówisz? Rak? Przecież to choroba!

W świetle późnego popołudnia widziałam na jego nosie pęcherzyki, w miejscach, gdzie od słońca zlązła mu skóra.

- Astrologia to taka zabawa. Tylko dla dziwaków. - Postukał się palcem w czoło i zrobił zeza.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- Chcę mieć urodziny w sierpniu - powiedziałam. - Wtedy w szkole zmieniał się plan zajęć i zaczynały się lekcje angielskiego. Zawsze lubiłam ten miesiąc.

- Może być. Dwudziesty ósmy sierpnia?

- W porządku - zgodziłam się. Siedziałam przez chwilę w ciszy, a po ustach błąkał mi się tajemniczy uśmieszek. Po tylu latach czytania o urodzinach, oglądania rysunków, na których dzieci zdmuchiwały świece na tortach, i słuchania, jak dyrektorka mówiła, że szkoła prowadzi jedynie rejestr naszego wieku, bo dokładna data urodzenia nie ma znaczenia, nareszcie miałam własne urodziny. Dwudziestego ósmego sierpnia.

Samochód wspinał się pod górę serpentyną, silnik ryczał, a niebo za oknami zrobiło się białe. Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym zimniej się robiło, więc wyciągnęliśmy z bagażnika ubrania i włożyliśmy kurtki, spodnie i buty. Wszystko nosiło znajomy odór pleśni. Słońce skryło się za cienką warstwą szarych chmur.

Obserwowałam dłonie Caleba na kierownicy, patrzyłam, jak prawą nogą wciska pedał w podłogę, i zastanawiałam się, kiedy i jak nauczył się prowadzić. Monotonne buczenie silnika hipnotyzowało mnie. Myślami wróciłam do szkoły, do Ruby i Pip, i naszego długiego pokoju zastawionego łózkami.

- Moje przyjaciółki wciąż są w szkole. Musi być jakiś sposób, by je stamtąd wydostać.

Caleb podrapał się w kark w miejscu, gdzie dredy stykały się ze skórą. Miał na sobie grubą brązową kurtkę, podobną do tej, którą nosił w noc najazdu na magazyn. Kołnierzyk miała wykończony żółtą wełną.

- W Kalifii dowiemy się więcej. Może wówczas.

Przez dłuższą chwilę nie mówił nic, tylko patrzył na drogę, która pokryta była gałązkami i suchymi liśćmi, a kurz zamienił się w kamienie. Samochód kołysał się i podskakiwał na niepewnej nawierzchni. W końcu odchrząknął i zapytał:

- Jakie są twoje przyjaciółki?

- Pip jest śmieszna - zaczęłam. - Przez pierwsze lata w szkole ciągle bałam się, że zaraza przedrze się przez mur albo przedostaną się do nas dzikie psy. Wszystko mnie przerażało. Za każdym razem, kiedy się skarżyłam, łapała mnie za rękę i wyciągała na trawnik. „Cicho bądź”, krzyczała, „psujesz mi całą zabawę!”. A potem robiła śmieszne miny, żeby mnie rozbawić. Na przykład taką... - Odciągnęłam w dół skórę na policzkach, tak że dolne powieki odsłoniły czerwone podstawy białek.

Caleb roześmiał się i wyciągnął rękę, żeby się przede mną osłonić.

- Przestań, proszę!

- A Ruby była pierwsza, żeby powiedzieć, że masz fryzurę, jakby cię dopadła wichura, ale też pierwsza do nawrzeszczenia na kogoś innego, jeśli zamierzał zrobić to samo. Jest bardzo lojalna. - Zapatrzyłam się za okno. Droga

wiła się, otulając zbocze góry, i znikła z oczu. Caleb przekreślił gałki ogrzewania, ale powiało zimnym powietrzem.

- Znam takich ludzi. Niektórzy moi przyjaciele wciąż są w obozach pracy.

Chciałam zapytać o coś więcej, ale samochód nagle zatrzymał się i powietrze wypełnił zapach dymu. Po chwilowym zaskoczeniu, oddychając ciężko, w końcu wyskoczyliśmy na zewnątrz.

Coś się paliło z przodu, spod maski wylatywały smugi szarego dymu. Caleb odgonił dym z twarzy. Podniósł maskę, skrzywił się, gdy dotknął rozgrzanego metalu, a potem zbadał czarną skrzynkę wewnątrz.

- Zdechł - powiedział i rozkaszał się. Patrzył na drogę wijącą się kilometry przed nami aż do szczytu, za którym spadała po drugiej stronie wzgórza.

Zimne powietrze chłodziło moją nagą skórę. Założyłam kaptur i starałam się osłonić od wiatru, a w tym czasie Caleb ładował bagaże do plecaka.

- Musimy się ruszać, będzie nam cieplej.

Przeglądałam pogniecioną i zużytą mapę. Było tylko trzydzieści kilometrów do szczytu wzniesienia, potem droga prowadziła w dół.

- Powinniśmy przejść trasę w ciągu dwóch dni - powiedziałam i ruszyłam. - Może nawet mniej.

Caleb był przede mną i wpatrywał się w niebo.

- Miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma. - Owinął się kurtką i schował dłonie w rękawach, gdy ruszyliśmy pod górę. Uszy zatykały mi się od różnicy ciśnień. Trudno mi się oddychało, ale szłam dzielnie i podpierałam się kijem, tak było mi łatwiej.

Po drodze zjedliśmy ananasa i brzoskwinie z puszki, a zimny sok spłynął nam w dół przełyków. Caleb opowiadał mi o rodzinie. Jego ojciec pracował w lokalnej gazecie i czasem

przynosił do domu ogromne pudła, z których Caleb wznosił w ogrodzie prawdziwe budowle. Ja opowiedziałam mu o domu z niebieskim dachem, w którym mieszkałam, i o tym, że w piwnicy wyłożonej różowym pluszem sufit był tak niski, że nie mogłam się wyprostować. Opowiedziałam mu także o dniu, w którym trzymałam się skrzynki na listy i wbijałam paznokcie w drewno, gdy w sąsiedztwie pojawiła się ciężarówka. Ojciec Caleba wyszedł do apteki i już więcej nie wrócił. Jego mama i brat byli chorzy, więc wsiadł na rower i pojechał go szukać. Z ciemnej uliczki wyszli jacyś wandalę. Kiedy wrócił do domu, mama i brat nie żyli, ich ciała były sztywne.

- Siedziałem przez trzy dni i trzymałem matkę w objęciach. Żołnierze znaleźli mnie, gdy plądrowali domy i wywieźli do obozu pracy. - Przeszawiałam nogi jedna za drugą i wspinałam się pod górę, ale myślami byłam w tamtym domu z Calebem i gładziłam go po plecach, gdy płakał.

Przez jakiś czas szliśmy w ciszy, trzymaliśmy się za ręce, a z zimna palce zrobiły nam się różowe. Przeszliśmy osiem kilometrów, gdy z nieba zaczęły lecieć maleńkie białe kryształki. Zatrzymywały się w fałdach mojej kurtki.

- Czy to... - wyciągnęłam rękę i rozkoszowałam się zimnym dotykiem na dłoni - śnieg? - Do tej pory widziałam go albo z daleka, jak pokrywał górskie szczyty, albo na kartach książek.

Caleb popatrzył na białą warstwę pokrywającą drogę przed nami.

- Tak. Pada szybko. - Nie zatrzymał się, żeby popatrzeć.

Z tonu jego głosu wynikało, że sytuacja jest poważna, ale ja tylko stałam i patrzyłam na białe punkciki na dłoni. Myślałam o bałwanach i igloo, które w dzieciństwie widywałam w książeczkach.

Po dziesięciu minutach zerwał się wiatr. Płatki były grubsze, większe i pokrywały ziemię kilkucentymetrową warstwą. Sweter i kurtka nie wystarczały, żeby mnie ogrzać. Adidasy też nie. Przez ubranie czułam chód, a wiatr sprawiał, że się trzęsłam.

- Musimy rozstawić namiot. - Wiatr zwał kaptur Caleba i odsłonił włosy. Wyjęliśmy plandekę z pokrowca i namęczyliśmy się, żeby wbić śledzie w twardą ziemię. Uporaliśmy się tylko z jednym, gdy śnieg zaczął padać mocniej i płatki bombardowały mi policzki, utrudniając widzenie.

Caleb wbijał śledzie, ale metal się giął. Po chwili, kiedy trzęsłam się z zimna tak, że nie mogłam tego znieść, powiedziałam:

- Zostaw tak. Musimy tam wejść.

Płachtę na jednym skraju przywalałam kamieniami. Wewnątrz powstała jamka, mała trójkątna przestrzeń, do której wpełzłam, a Caleb za mną. Nie było wiele miejsca, ale z każdej strony otaczał nas materiał i choć trochę chronił przed burzą.

- Jak długo to potrwa? - spytałam. Nie czułam rąk. Chłód wdarł mi się pod rękawy.

Caleb znów naciągnął kaptur. Włosy miał przysypane śniegiem.

- Nie wiem. Może całą noc.

Potem przyciągnął mnie do siebie i objął. Od razu zrobiło mi się cieplej, gdy mogłam patrzeć na jego twarz z bliska.

Uspokoił mi się oddech, strach wyparował, nie drżałam już. Caleb wyciągnął rękę i zgarnął mi z rzes ostatni płatek śniegu.

- Benny powiedział mi, że kochać kogoś, to wiedzieć, że życie bez tej osoby byłoby gorsze. - Uśmiechnął się. - Skąd mu to przyszło do głowy?

Czułam, że pod jego dotykiem moja skóra robi się gorąca. Uśmiechnęłam się, ale nic nie powiedziałam.

Przysunął się bliżej i wyznaczał palcami niewidzialne linie na moich policzkach.

- To dlatego musiałem cię odnaleźć.

Przycisnął wargi do moich ust i mocniej przygarnął ramieniem. Uniosłam trochę głowę, żeby zatopić się w jego pocałunku. Nie mogłam się powstrzymać. Przemknęły mi przez myśl wszystkie lata nauk o głupocie Julii, o Annie Kareninie i Ednie Pontellier. Ale po raz pierwszy wiedziałam coś na pewno.

Najważniejsza była chwila. Zbyt piękna, by ją stracić.

Rozdział 33

Kiedy otworzyłam oczy, widziałam tylko biel. Przez chwilę myślałam, że umarłam i jestem w niebie. Uniosłam fragment materiału, który okrywał mi twarz. Śnieg wciąż tu był. Ziemia zamarzła. Ale burza ustała i na niebie było jasne słońce.

Wyczołgałam się spod zawalonego namiotu. Caleb spał, powieki mu drgały, jedno ramię schował pod siebie. Poza naszym schronieniem, daleko pode mną, świat był pogrążony w ciszy i tak odległy, bez pistoletów, żołnierzy i szkół. Moje ciało przenikała ta sama energia, co skały, liście i niebo. Istniałam tak po prostu i byłam nieskończenie wolna.

Podniosłam ręce i pozwoliłam, żeby wiatr owiewał mi palce. Wtedy coś twardego uderzyło mnie w plecy. Odwróciłam się. Caleb klęczał obok namiotu, w dłoniach formował mokrą kulę, a na twarzy miał łobuzerski uśmiech. Rzucił we mnie kulą i trafił w szyję.

Pisnęłam i ukucnęłam, żeby zgarnąć jak najwięcej śniegu i utoczyć z niego kulę.

- Zapłacisz mi za to! - Goniłam go wśród niskich drzewek i przez skały, prawie się przewróciłam, gdy udało mi się trafić go w plecy raz, a potem jeszcze drugi i trzeci. Byłam zachwycona i biegłam jeszcze szybciej.

Rzucił w moją stronę, ale nie trafił. Wtedy złapałam go za rękę i pociągnęłam na śnieg.

- Poddaję się! - krzyknął ze śmiechem. Wzięłam garść śniegu i natarłam mu szyję. Skulił się, żeby uniknąć zimna.

A potem jednym płynnym ruchem przewrócił mnie, objął, przysunął twarz do mojej i powiedział:

- Litości! Wiesz, co to litość? - A potem całował mnie powoli, radośnie i pozwolił, żebym upadła w śnieg.

Może to dlatego, że minęła burza i pogoda chwilowo sprzyjała, a może szczęście dodało nam sił, ale zesłiśmy z

góry w ciągu jednego dnia. Kiedy słońce zaczęło się obniżać, pokonywaliśmy właśnie pierwszy odcinek płaskiej drogi, a pod naszymi stopami pojawił się nawet mech.

- Tam się zatrzymamy - powiedział Caleb i pokazał palcem na małe skupisko domów jakieś półtora kilometra dalej. - Mam nadzieję, że znajdzie się coś, co będziemy mogli wykorzystać do dalszej podróży, rowery, samochód, cokolwiek.

- Skąd wzięłeś tamten samochód? To volvo? - zapytałam. Doznałam takiej ulgi, kiedy go zobaczyłam, poczułam obok siebie, że zapomniałam zapytać, skąd właściwie wziął auto.

Wokół głowy Caleba krążyła mucha. Zamachnął się na nią. Zanim odpowiedział, zatrzymał się na chwilę.

- W zamian oddałem Lilę członkom gangu. - Starał się uśmiechnąć. - To nie są źli ludzie. Po prostu samolubni. Nic jej nie będzie.

Wiedziałam, że kochał tego konia. Pokazywał to sposobem, w jaki rozplatał jej grzywę albo uspokajał ją, szepcząc coś do ucha. Widziałam, jak przeczesuje wzrokiem horyzont, szukając jej, tego dnia, gdy uciekliśmy żołnierzom. Złapałam go za rękę i ścisnęłam, bo wiedziałam, że zwykłe dziękuję nie wystarczy. Nic, co mogłabym powiedzieć, nie było wystarczające.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu, aż nagle Caleb zatrzymał się i spojrzał na coś na poboczu drogi.

- Co? - zapytałam, kiedy złapał mnie za rękę i pociągnął do tyłu. - Co to jest?

- Musimy się schować. - Wskazał na rośliny na poboczu drogi. Krzaki były rozdzielone pośrodku, jakby przejechało po nich auto. - To pułapka.

Odwróciłam się. Za nami były góry, ale dzieliła nas od nich tylko trawiasta przestrzeń.

- Nie ma się gdzie schować.

Dwieście metrów dalej, przy zabudowaniach, coś się poruszyło. Najpierw jedna postać, a potem druga wyłoniły się z mroku.

- Dotarliście do blokady drogi. Musicie mieć pozwolenie, żeby przejść. - Jedna z postaci uniosła rękę i gestem zawołała nas do siebie.

Caleb puścił moją rękę. Spojrzał na mnie, a potem na góry.

- Rób, co ci każę. Schowaj twarz pod włosami. Podeszliśmy. Plecak ciążył mi, ale sięgnęłam pod kaptur i kilka splecionych pasm włosów wyciągnęłam na twarz.

Trzech strażników stało przed starym lokalem z tablicą „Autonaprawa” nad wejściem. W środku stał rządowy dzip, na warsztatach rozłożone były porzewiałe narzędzia i pręty, a pod ścianami stosy popękanych opon.

- Przepraszamy - powiedział Caleb i spuścił wzrok. - Jestem tu tylko z siostrą, szukamy czegoś do jedzenia.

Żołnierz podszedł do nas. Miał tak jasne rzęsy i brwi, że nadawały mu wygląd nieowłosionej salamandry. Wpatrywałam się w jego czarne i lśniące buty. Jeszcze nigdy nie widziałam tak czystych butów.

- Poszliście w góry, żeby szukać jedzenia? - Dłoń trzymał na kolbie przytroczonego do pasa pistoletu.

- Przeszliśmy przez góry. Mieszkamy po drugiej stronie. Nasz dom podpalił gang buntowników. - Żołnierze przyglądali się nam, widzieli podarte ubrania, brud pod paznokciami i warstewkę kurzu na skórze.

- I macie pozwolenie na życie poza Miastem?

- Tak. - Skinął głową Caleb. Już kilometr temu zdjął kurtkę, a teraz kołnierzyk jego podkoszulka był mokry od potu. - Ale straciliśmy je, jak wszystko.

Trzeci żołnierz zabrał nam plecaki. Usiadł na ziemi i przejrzał je. Oglądał puszki bez etykiet, podartą mapę i

namiot. Potem odwrócił się do pozostałych i pokręcił głową. Włosy miał króciutko obcięte.

- Jak się nazywacie? - zapytał zwalisty. Zwracał się do Caleba, ale patrzył na moje włosy, widoczny fragment mojej twarzy i chude, podrapane nogi.

Caleb stanął obok mnie.

- Ja jestem Jacob, a to jest Leah - powiedział bez wahania i pewnie, ale rudowłosy żołnierz patrzył na mnie.

Spływałam potem.

Przepuście nas, myślałam wpatrzona w lśniące buty żołnierza. Proszę, przepuście nas.

Słuchałam jego oddechu. Potem z trzaskiem wyłamałam sobie palce, które wydały taki dźwięk jak łamana gałązka.

- Zdejmij koszulkę - nakazał.

Zamarłam, zanim zdałam sobie sprawę, że mówi do Caleba.

Caleb trzymał ręce wyprostowane wzdłuż ciała.

- Proszę pana, ale ja nie... - zaczął z napięciem w głosie.

- Proszę, zostawcie nas - powiedziałam i po raz pierwszy podniosłam głowę. - Chcemy tylko coś zjeść i odpocząć.

Ale ten z ogoloną głową wyciągnął nóż i z uśmiechem jednym szybkim ruchem rozciął rękaw podkoszulki Caleba. Odsłonił tatuaż.

- Co my tu mamy? - zapytał rudy. Wciąż trzymał rękę na broni. - Uciekinier? A gdzie znalazłeś dziewczynę, ty żaloszny śmieciu?

Ten krótko ostrzyżony gapił się na mnie. Był młody, delikatny wąsik ledwo przebijał się nad jego górną wargą.

- To ona - mruknął w końcu. - To ta.

Caleb zaatakował rudego i popchnął go. Młodszy sięgnął po pistolet. Zwalisty złapał mnie za szyję i przyłożył mi do gardła nóż. Czulałam na skórze zimny metal. Żołnierz sapał mi w ucho, czulałam odór alkoholu.

Rudy zatoczył się i pociągnął Caleba do garażu, a potem do bagażnika dżipa. Uderzył głową w zderzak, gdy Caleb sięgnął po jego broń. Żołnierz bronił się łokciem.

- Debile, zróbcie coś! - Wystękał, gdy Caleb znalazł się nad nim. - Pomóżcie mi! - Caleb był od niego większy i na tyle potężny, żeby go przygwoździć do podłogi.

- Weź ją - warknął zwalisty i popchnął mnie do młodziaka, który zacisnął wokół mojej szyi chude ramię i przytrzymał blisko siebie. Czułam, jak wali mu serce, gdy odciągał mnie od mężczyzn kotłujących się przy przedniej oponie dżipa.

Zwalisty żołnierz zaszedł Caleba od tyłu i uderzył go pięścią w nasadę czaszki. Caleb, ogłuszony, upadł na leżącego na ziemi rudowłosego.

- Nie! - krzyknęłam, gdy żołnierz wyjął nóż. Z furją dźgnął Caleba w nogę.

Potem zamachnął się raz jeszcze, tym razem celował wyżej, w nieosłonięte gardło. Chciał go zabić.

Sięgnęłam ręką do biodra młodego żołnierza i wyczułam pod dłonią pistolet. Nie zastanawiając się, wyciągnęłam go z kabury i wycelowałam w stronę żołnierza trzymającego nóż na gardle Caleba.

Nacisnęłam spust i w twarz buchnął mi obłoczek dymu. Żołnierz krzyknął, pocisk trafił go w bok. Caleb sturlał się z rudowłosego żołnierza, więc wycelowałam raz jeszcze i kolejny nabój utkwiał w piersi mężczyzny.

Caleb złapał pistolety pozostałych i rzucił je na trawę. Rudy jęknął, a w gardle zbulgotała mu krew. Potem umilkł.

Caleb usiłował wstać, ale krzyknął przeraźliwie, a na udzie miał czerwoną plamę.

- Musimy się stąd wydostać. - Spojrzał na mnie. Potem zachwiał się i upadł, a ból wykrzywił mu twarz.

Obok mnie stał młody żołnierz. Miał ręce podniesione do góry i nie ruszał się z miejsca.

- Ty - usłyszałam swój głos - zawieziesz nas.

- Naprawdę? - zapytał. Wyglądał teraz na chudszeo, mniejszego, a usta mu drżały.

- Już. - Nie spuściłam go z muszki, dopóki nie ruszył w stronę samochodu. - No już! - wrzasnęłam i pośpiesznie zapalił silnik.

Żołnierz wyprowadził samochód z garażu, prawie przy tym przejeżdżając po nogach rudowłosego. Pomogłam Calebowi wsiąść, nie chowając przy tym pistoletu, i zatrzasnęłam drzwi.

Rozdział 34

Szybciej - powiedziałam - musisz jechać szybciej. - Przytknęłam pistolet do piersi żołnierza, gdy skręcił w lewo na wyboistą drogę numer 80. Rozejrzałam się, wypatrując innych samochodów. Niedługo wyruszą za nami, królewska armia zostanie postawiona w stan gotowości i zaczną szukać pary, która zabiła ich ludzi i ukradła im samochód.

Żołnierz przycisnął pedał, ale ręce wciąż mu się trzęsły. Na fotelu za mną Caleb usiłował zabandażować nogę. Przez godzinę wykonywał opatrunek uciskowy. Teraz odkleił od skóry przesiąknięte krwią spodnie, czym wywołał kolejny krwotok.

- Musimy coś z tym zrobić - zdecydowałam, kiedy dziup zakołysał się na jakimś wyboju. Caleb był blady, a teraz jego twarz przybrała zielonkawy odcień. - Tracisz za dużo krwi.

- Staram się - powiedział i zawiązał na udzie pasek tkaniny. Ruchy miał spowolnione, a przed zawiązaniem supła zatrzymał się, jak gdyby musiał się zastanowić, jak to zrobić dobrze. - Muszę tylko... - mówił ciszej niż przedtem.

Widziałam, że słabnie, każdy ruch kosztował go więcej wysiłku niż poprzedni. Palec trzymałam wciąż na spuście i skupiałam się z powrotem na żołnierzu. W jego twarzy widziałam tych dwóch mężczyzn z piwnicy, którzy rozmawiali spokojnie, przeszukując meble i szafy, żeby nas znaleźć. Widziałam, jak zabijają Marjorie i Otisa. Słyszałam huk wystrzału, który zabrał Lark, i złowrogi trzask gałązek pod ich stopami, gdy ścigali mnie w lesie.

- Mówiłam, że masz się pospieszyć - powiedziałam zimno.

- Przepraszam, staram się - odparł żołnierz. Znow naciśnął pedał i pęd aż wgniotło mnie w oparcie.

Caleb zajęczał nisko. Ręce miał całe we krwi. Po dłuższej chwili żołnierz przeniósł wzrok z pistoletu na drogę.

- Jeśli się zatrzymamy, pomogę mu.

Wciąż mierzyłam w niego, bo bałam się, co może zrobić, gdy zabiorę broń. Za mną Caleb pokręcił głową.

- Kłamiesz - stwierdziłam. - To podstęp. Jedź.

Nie mogliśmy być dalej niż sto kilometrów od Kalifii. Tam znajdziemy pomoc. Caleb wypocznie.

- W schowku na rękawiczki jest apteczka. - Młody żołnierz skinął głową w stronę małej szafki przede mną. - Mogę zszyć ranę.

- Nie ufam ci - powiedziałam, ale widziałam, jak Caleb zaciska pięści, usiłując sobie radzić z bólem.

- Jeśli to zrobię, puścisz mnie wolno. - Żołnierz patrzył na mnie błagalnie spod gęstej zasłony rzęs.

Spojrzałam za siebie. Caleb ścisnął skraj siedzenia, a głowę miał odchyłoną w tył. Prowizoryczny bandaż nie pomagał. Mogło się nie udać tyle rzeczy. Stare opony mogły popękać, mogło zabraknąć benzyny. Jeśli spotkamy jeszcze jakiś patrol, będzie nam potrzebna jego siła. Caleb zamknął oczy i powoli odpływał w sen.

- Zatrzymaj się - odezwałam się w końcu. - Zrób to szybko.

Dżip zjechał na pobocze i zahamował przy jakichś budynkach. Nad nami górowało wielkie żółte M. Wsiadłam z samochodu i okrążyłam go. Wciąż celowałam w żołnierza, gdy wyciągał czerwoną skrzyneczkę ze schowka. Wyjął igłę i nawlekł nitkę.

Pewnym ruchem rozwiązał bandaż na udzie Caleba. Ręce już mu się nie trzęsły. Wbił igłę w ranę i pociekła świeża krew. Wyciągnął z apteczki gazę. Nie widziałam czegoś tak białego, odkąd opuściłam szkołę. Gaza była bielsza nawet niż starannie wyprane koszule nocne, w których sypiałyśmy.

Przycisnął gazę do skóry Caleba. Szybko zmieniła kolor na głęboko czerwony. Potem oczyścił ranę i ciasno zszył czarną nicią, nie zwracając uwagi na krwawy widok.

Kiedy skończył, Caleb otworzył oczy.

- Dziękuję - powiedział.

Młody chłopak odwrócił się do mnie i spojrzał na mnie.

- Czy mogę już iść? - Po policzkach pociekły mu łzy.

Caleb znów pokręcił głową. - Musi prowadzić.

- Obiecałam mu - powiedziałam powoli. Opuściłam broń. Przed nami ciągnęły się złote wzgórza.

- Nie możemy.

Żołnierz błagalnie złożył ręce.

- Przecież i tak tu umrę - powiedział. - Czego ode mnie chcecie? Zrobiłem to, co obiecałem.

Wyglądał tak niewinnie z wąską klatką piersiową i kościstymi nogami. Nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat.

Kiwnęłam głową w bok, tam gdzie droga ustępowała miejsca piaskowi i krzewom.

- Idź - rzuciłam. - Szybko.

Nie odwracając się za siebie, pobiegł.

- Nie powinnaś była tego zrobić - stwierdził Caleb.

Obserwował szwy. Potem zmienił pozycję i oparł się wygodnie.

- To tylko chłopak - powiedziałam.

- W armii Króla nie ma chłopaków. - Skóra Caleba była czerwona od słońca. - Kto będzie teraz prowadził?

- Obiecałam mu - powtórzyłam, ale tak cicho, że wątpię, czy usłyszał.

Wróciłam na przednie siedzenie i usiłowałam przypomnieć sobie, jak się tu dostaliśmy. Przekręciłam kluczyk tak, jak robił to żołnierz. Trzymałam kierownicę tak, jak Caleb przez całe kilometry jazdy przez pustynię. Potem przesunęłam drążek pośrodku, żeby znalazł się przy literce D.

Nacisnęłam pedał i dżip potoczył się naprzód, nabierając prędkości. Coraz szybciej jechaliśmy w stronę Kalifii.

Rozdział 35

Po kilku godzinach jazdy przekroczyliśmy ogromny szary most i wjechaliśmy do zrujnowanego miasta o nazwie San Francisco. Wyrosły wokół nas stare, zdobione domy, których kolorowe fasady zarośnięte były bluszczem i mchem. Pośrodku drogi stały porzucone samochody. Zmuszały nas do jazdy chodnikiem, a leżące tam kości chrzęściły pod kołami dżipa. Caleb trzymał mapę i kierował mnie wśród stromych wzniesień. Monitorował każdy zakręt, każde zwiększenie prędkości, aż w końcu droga wyprostowała się i obok nas był już tylko pas błękitu.

- Ocean - powiedziałam. Zatrzymałam się, żeby popatrzeć.

Pod nami fale wpadały jedna na drugą, pieniać się na biało. Ocean był ogromny i wyglądał jak odbicie nieba. Uchatki spały na brzegu, ich wilgotne ciała lśniły. Stada ptaków kołowały nad naszymi głowami i witały nas skrzekliwymi okrzykami.

- Dotarliście! - krzyczały. - Udało się wam!

Caleb dotknął mojej dłoni. Na skórze wciąż miał zaschniętą krew.

- Ostatni raz widziałem go jako dziecko. Rodzice kiedyś nas tu przywieźli i jechaliśmy tramwajem linowym. To był taki wielki drewniany wagon, ja stałem przy szybie i... - Pograżył się w opowieści.

Siedzieliśmy tak, trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy przed siebie.

- To on - powiedziałam i wskazałam na czerwony most wznoszący się niecałe półtora kilometra przed nami i odcinający się na tle błękitu. - Most do Kalifii.

Caleb zerknął na mapę.

- Tak, to on. - Ale się nie uśmiechnął. Miał dziwny wyraz twarzy. Wyglądał na smutnego. - Cokolwiek się zdarzy, Eve - zaczął i ścisnął moją dłoń - chciałbym, żebyś...

- O czym ty mówisz? - Spojrzałam na jego zranioną nogę. - Dojechaliśmy. Teraz wszystko będzie dobrze. - Pochyliłam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

Kiedy popatrzył na mnie, zobaczyłam łzy.

- Tak, wiem.

- Nic ci nie będzie - pocieszyłam go znów i pocałowałam w czoło, w policzki, w grzbiet dłoni. - Nie martw się, jesteśmy na miejscu. Tu ci pomogą.

Uśmiechnął się słabo, a potem znów opadł na siedzenie.

Nacisnęłam pedał i nie zatrzymaliśmy się aż do końca chodnika. Każdy centymetr kwadratowy szosy zajęty był przez porzucone auta. Caleb wysiadł z dzipa. Na policzki wróciły mu rumieńce, ale idąc, kulał ze skrzywioną miną i starał się stąpać lewą nogą.

Ruszyliśmy pod górę, mijaliśmy opuszczone domy i sklepy. Caleb szedł niepewnie. Coraz mocniej opierał się na moim ramieniu. Wzdrygnęłam się, gdy czarna myśl wpadła mi do głowy: a co, jeśli nie będzie w porządku? Przyciągnęłam go bliżej do siebie, jak gdyby mój uścisk miał moc zatrzymania go tutaj, przywiązania do mnie na zawsze.

W końcu dotarliśmy do miejsca, w którym most wyrastał ze skały. Przy wejściu rozszalała się roślinność, trawa, krzewy i drzewa zarastały okolone czerwonym metalem wejście. Odchyliłam zasłonę z winorośli i odsłoniłam pozieleniałą od upływu lat tabliczkę. „Golden Bridge, 1937”.

Weszliśmy na most i serce zabiło mi szybciej. Bariereki przewracały się i nic nie oddzielało poszarpanej krawędzi szosy od powierzchni wody znajdującej się prawie sto metrów pod nami. Lawirowaliśmy między starymi samochodami, ostrożnie stąpaliśmy po mchu i chwastach porastających most.

We wrakach samochodów siedziały poprzypinane pasami szkielety. Z boku stała ciężarówka, z której wysypywały się zapleśniałe pozostałości po jakimś wyposażeniu mieszkania - połamane ramy, porozrzucane książki, materac. Szłam stopa za stopą i słuchałam urywanego oddechu Caleba.

Kiedy wydawało się, że zmęczenie nas pokona, spojrzałam w górę. Po drugiej stronie mostu, wysoko na zboczu wzgórza stała kamienna kolumna z latarnią na szczycie. Ten sam sygnał zobaczyłam w lesie tej nocy, gdy uciekałam przed Fletcherem. Usłyszałam głos Marjorie:

- Jeśli pali się światło, jest dla was miejsce. To koniec Szlaku.

- Jeszcze tylko kawałek - obiecałam i pomogłam Calebowi wyminąć przewrócony motocykl. - Nie martw się. - Przytuliłam go mocniej, żeby do mnie wrócił. - Pomyśl o tym, że już wkrótce będziemy na miejscu. Będziesz mógł się położyć. Tam będzie jedzenie. Słodkie ziemniaki, królicze mięso i jagody. Po przespanej nocy od razu poczujesz się lepiej.

Caleb owijał się podartą koszulką, osłaniał od wiatru. Skinął głową, ale oczy wciąż miał smutne. Zastanawiałam się, czy pomyślał o tym, co ja.

Most wychodził na gęsty las. Szliśmy udeptaną ścieżką po wzgórzu aż do miejsca, gdzie wśród niskich drzew przeświecała latarnia. Dotarliśmy do wysokiej drewnianej bramy. Kiedy się zbliżyliśmy, wyszła nam na spotkanie jakaś postać z wycelowanymi w nasze piersi karabinami.

- Kim jesteście? Czego chcecie?! - zawołała młoda kobieta. Była ode mnie tylko parę lat starsza. Jasne włosy miała spięte z tyłu. Ubrana była w luźną zieloną sukienkę, ubrudzoną błotem, i wysokie czarne buty.

- Szukamy Kalifii - powiedziałam. Uniosłam ręce, żeby zobaczyła, że nie jestem uzbrojona. - Jesteśmy sierotami.

Uciekliśmy. Przebyliśmy kawał drogi, żeby tu dotrzeć. Potrzebujemy pomocy.

Dziewczyna przyjrzała się nodze Caleba zabandażowanej kawałkiem zakrwawionego materiału. Zerknęła na brązowe dredy, podartą koszulkę i spodnie z nogawką odciętą nad raną.

- Jesteście razem? - spytała, patrząc to na niego, to na mnie.

Za nią pojawiła się starsza kobieta.

- On nie może wejść - wtrąciła się i pokręciła głową.

Miała ciemniejszą skórę i gęste czarne włosy uczesane jak gniazdo dokoła głowy. Jedną rękę trzymała na kolbie pistoletu za paskiem.

- Jak to? - zapytałam. Caleb już się cofał, już nie opierał się o moje ramię.

Blondynka wskazała na niego:

- Nie przyjmujemy tu takich jak on.

- Takich jak on? - powtórzyłam i przyciągnęłam Caleba z powrotem. - Ale on jest ranny. Nie może wracać. Proszę.

Dziewczyna była nieprzejednana. - Nie wolno. Przykro mi. - Oparła karabin na ramieniu i patrzyła sponad lufy.

Złapałam go za koszulkę, ale odwijał mi palce jeden po drugim, aż w końcu w mojej dłoni nic już nie było.

- W porządku - powiedział i ruszył z powrotem. - Ty idź. Musisz iść. Poradzę sobie.

- Nie poradzisz sobie! - krzyknęłam, a do oczu napłynęły mi gorące łzy. - Musisz tam wejść. Proszę - poprosiłam ponownie, patrząc na jego zakrwawioną nogę i bandaż pokryty brudem. Dziewczyna z bronią pokręciła głową.

- Wiedziałem, że tak będzie - wyznał Caleb. - Kalifia zawsze była tylko dla kobiet. Proszę cię, Eve, wejdź do środka.

Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie przedyskutowaliśmy tego, co się stanie, gdy tu dotrzemy. Za każdym razem, gdy o

tym mówiłam, kiwał głową, uśmiechał się niepewnie i nie patrzył na mnie. Chciał mnie tu doprowadzić, ale wiedział, że nie zostanie. To był zawsze tylko majaczący się na horyzoncie cel, a nie miejsce do życia.

- Tu będziesz bezpieczna. - Odwrócił się z nową siłą i trzymał się gałęzi drzew, gdy schodził w dół zbocza. Odległość między nami powiększała się, szedł pewnie.

Pobiegłam za nim i złapałam od tyłu, zapierając się nogami, ciągnęłam go z powrotem.

- Możemy zamieszkać gdzie indziej. Pójdę z tobą... Caleb się odwrócił.

- Gdzie? - zapytał i pochylił się, zmarszczywszy brwi. - Gdzie jest to „gdzie indziej“?

Ścisnęło mnie w gardle.

- Może jest jeszcze jakieś miejsce na Szlaku. Albo możemy żyć w lasach - zaproponowałam. - Albo w norze. Możemy wrócić do nory. Będę ostrożna.

Caleb pokręcił głową i pogładził moje splątane włosy.

- Nie możesz wrócić do nory. Ścigają cię żołnierze, Eve. Znaleźli nas u podnóża góry, więc znajdą nas znowu.

Wpatrywał mi się w oczy, dopóki nie skinęłam głową. Ten ruch był tak nieznaczny, że prawie niezauważalny. Potem pocałował mnie, dotykał ustami moich policzków, brwi, ust.

Chłonełam wszystko. Łagodne światło tańczące na jego skórze, blade piegi na policzkach, zapach dymu i potu, tak bardzo kojarzący mi się z nim.

Nie zapomnieć jego twarzy, myślałam. Nie pozwolić jej się wymknąć.

- Wrócisz? - zapytałam, a łzy zmywały całodzienny kurz. Przycisnęłam usta do jego policzka. - Proszę.

- Spróbuję - powiedział tylko. - Zawsze będę próbował.

Otworzyłam usta, żeby się pożegnać, ale żadne słowa nie przeszły mi przez gardło. Caleb wziął mnie za rękę i

przycisnął ją do ust. Pocałował ją i puścił. Zamknęłam oczy, a łzy popłynęły strumieniem.

Nie mogłam tego powiedzieć, nie umiałam się pożegnać. Kiedy otworzyłam oczy, był już u podnóża wzniesienia. Jego postać była coraz mniejsza i mniejsza, gdy oddalał się, idąc łukiem mostu.

Moje wizje wspólnego życia okazały się złudzeniami, przepędzonymi przez siły pozostające poza naszą kontrolą. Caleb odszedł i nie wiedziałam, czy jeszcze kiedyś go zobaczę.

Kiedy był już daleko, odwrócił się po raz ostatni i pomachał.

„Kocham cię”, zdawał się mówić, kiedy tak machał. Odmachałam mu.

„Kocham cię, kocham cię, kocham cię”.

Podziękowania

Przede wszystkim wielkie dzięki dla moich przyjaciół w Alloy Entertainment, którzy nigdy nie przestali we mnie wierzyć i mnie wspierać: cudownemu Joshowi Bankowi dziękuję za lancz, którego nie musiał odbyć. Sarze Shandler, genialnej trymerce słów, dziękuję za miłość, jaką obdarzyła tę książkę od pierwszej strony. Lanie Davis dziękuję za popchnięcie mnie w dobrym kierunku. Joelle Hobeika, wydawcy, dziękuję za jej celne uwagi, drobiazgową redakcję, humor i entuzjazm. Uchroniłaś mnie przed szaleństwem w ciągu tych pierwszych miesięcy, kiedy więcej czasu spędzałam, mówiąc do wymyślonych postaci niż do żywych ludzi.

Jestem zobowiązana Farrin Jacobs i Zareen Jaffery z HarperCollins, pierwszym entuzjastkom Eve, za ich nieustające wsparcie i opiekę edytorską. Dziękuję także bardzo Kate Lee, superagentce i powiernicy, za kawał dobrej roboty.

Mam to szczęście, że moi przyjaciele cieszą się z moich sukcesów tak jak z własnych. Zaslugują na o wiele więcej niż ogólne „dziękuję”, które mogę im tu sprezentować. Szczególnie dziękuję tym, którzy czytali projekt książki, kiedy jeszcze nie byłam gotowa pokazać jej nikomu więcej: C.J. Hauser, Allison Yarrow i Aaronowi Kandellowi. Jak zawsze wyrazy wdzięczności kieruję też do mojego brata, Kevina, i rodziców, Toma i Elaine. Kocham was, kocham was, kocham was.